

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/469

1986



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

OŚWIADCZENIE «KULTURY»

W. KULERSKI: **SPOŁECZEŃSTWO PODZIEMNE**

T. NOWAKOWSKI **ADRENALINA**

J. LISIAK: **NOTATKI Z CODZIENNOŚCI**

SPIS RZECZY

Redakcja „Kultury”:	<i>Oświadczenie</i>	3
Wiktor Kulerski:	<i>Spółeczeństwo podziemne</i>	5
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	26
Tadeusz Nowakowski:	<i>Adrenalina czyli popas w obcym rewirze</i>	41
WIERSZE		
Ryszard Krynicki:	<i>Jeżeli w jakimś kraju</i>	58
Rafał Grupański:	<i>Wizyta</i>	63
Jan Nepomucen Rzecki:	<i>Widziane z ukosa. — Zamówienie. — Pokwitowanie</i>	63
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Edward Lipiński:	<i>Socjalizm — utopia i rzeczywistość</i> ..	66
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	76
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (11)</i>	82
SPRAWY I TROSKI		
Benedykt Heydenkorn:	<i>Pół wieku emigracji zarobkowej</i>	87
—	<i>Zbieramy pamiątki Akowskie</i>	90
K R A J		
Józef Lisiak:	<i>Notatki z codzienności</i>	92
Lothar Herbst:	<i>List do gen. Kiszczaka</i>	103
Zniechęcony:	<i>Jak działa kolportaż NOW-ej?</i>	105
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	106
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	113
Józef Darski:	<i>Kronika ukraińska</i>	117
KRONIKA KULTURALNA		
Jan Podlaski:	<i>Sztuka nie umiera</i>	121
Nina Taylor:	<i>Dziedzictwo W. X. Litewskiego w literaturze emigracyjnej</i>	124
—	<i>Międzynarodowa nagroda literacka „Vilenska”</i>	137
K S I A Ź K I		
Stanisław Barańczak:	<i>Zreprzywątzczać mit</i>	139
Jan Podlaski:	<i>„Szarlotka w blaszance”</i>	144
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Nowy tom Bibliografii emigracyjnej</i> ..	147
Włodzimierz Odojewski:	<i>Berliński „Archipelag”</i>	149
—	<i>Pani Hańska i Czernobyl</i>	150
—	<i>Aproximações — Zbliżenia</i>	151
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	151
WOLNA TRYBUNA		
Jerzy Surdykowski:	<i>Ofiara jest winna?</i>	153
Jakub Karpiński:	<i>Pojęcia i gwóźdz</i>	155
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca i kroniki: amerykańska i kanadyjska</i>	162
◆		
I. Lasota, W. Majewski, G. Poman, St. Marcinkowski, A. Wołyński:	<i>Listy do Redakcji</i>	166
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	171
DOKUMENTY		
Arcybp Bronisław Dąbrowski:	<i>Odpowiedź na list Cz. Bieleckiego z marca 1986</i>	172
Czesław Bielecki:	<i>List otwarty do Arcybpa Br. Dąbrowskiego z 7 lipca 1986</i>	173

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1986

INSTYTUT  LITERACKI

DO NASZYCH PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW

W ślad za naszym komunikatem, zamieszczonym we wrześniowym numerze *Kultury* (strona 22), zawiadamiamy że mimo stałych wzrostów cen we Francji *nie podwyższamy* prenumeraty *Kultury* na 1987 rok, która w dalszym ciągu kosztuje:

rocznie — F. 440,00
półrocznie — F. 230,00.

Musimy jednak wyrównać do powyższych cen wysokość prenumeraty w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie i w Australii, gdyż na skutek spadku dolara w tych krajach o przeszło 30% ponieśliśmy w bieżącym roku ogromne straty. Chcieliśmy w *Kulturze* ogłosić wysokość prenumeraty w tych krajach we frankach, ale nasi przedstawiciele na to się nie zgodzili, twierdząc że wprowadzi to niesamowite zamieszanie. W związku z tym prenumeraty w wymienionych krajach będą wynosiły — a mianowicie:

Stany Zjednoczone: prenumerata roczna — \$ US 68,00; półroczna — \$ US 35,00; dopłata lotnicza rocznie — \$ US 16,00.

Kanada: prenumerata roczna — \$ can. 92,00; półroczna — \$ can. 47,00; dopłata lotnicza rocznie — \$ can. 23,00.

Australia: prenumerata roczna — \$ A. 110,00; półroczna — \$ A. 60,00; dopłata lotnicza rocznie — \$ A. 31,50.

Wierzymy, że nasi Czytelnicy zrozumieją konieczność tego wyrównania cen.

REDAKCJA „KULTURY”

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Joanna Bielobradek, Chicago, IL (USA) — zamiast kwiatów na grób Siostrzeńca śp. Roberta Kosińskiego, który zginął w wypadku samochodowym w Warszawie w dniu 3 lipca bież. roku — \$ 50,00	F. 325,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — w 7-mą rocznicę śmierci Zygmunta Hertza — \$ 100,00	F. 650,00
Prof. S. Judek, Ottawa (Kanada), po raz 7-my	F. 270,00
Dr Kazimierz Łaski z Rodziną, Wiedeń — zamiast kwiatów na grób nieodżałowanego przyjaciela prof. dr. Andrzeja Zięby	F. 500,00
Bolesław T. Łaszewski, Nowy Jork, po raz 20-ty — \$ 86,00 ..	F. 559,00
Dr Jan Stanisław Matuszkiewicz, Logan, OH (USA) — w 22-gą rocznicę śmierci Ojca, dr. Jana Matuszkiewicza — \$ 500,00	F. 3.250,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 175)

Oświadczenie «Kultury»

1. Zwolnienie wszystkich więźniów politycznych musi budzić we wszystkich Polakach uczucie radości.

2. Zwolnienie to nie powinno jednak być traktowane jako akt łaski, za który należy być wdzięcznym władzy. Trzeba natomiast widzieć w nim zwycięstwo wszystkich tych sił, które w Kraju i za granicą wywierały naciski w tym kierunku.

3. Władza PRL oczekuje teraz demontażu wszystkich struktur podziemnych oraz zaprzestania wszelkiej działalności niezależnej: związkowej, politycznej i kulturalnej. Jesteśmy temu absolutnie przeciwni. Świeże oświadczenie TKK i Bujaka wskazują, że zajmują oni takie samo stanowisko.

4. Przyczyny, które zaprowadziły działaczy podziemia do więzienia nie przestały, jak dotąd, istnieć. Władza nie wystąpiła nawet z żadnym programem reform instytucjonalnych, który czyniłby zadość postulatowi wysuwanyemu nieustannie od roku 1980.

5. Mglisty projekt stworzenia przy Radzie Państwa Rady Konsultacyjnej o nieokreślonym składzie i równie nieokreślonych uprawnieniach nie może przesłonić faktu, że wszystkie ustawy represyjne wprowadzone po 13 grudnia 1981 nadal pozostają w mocy. W tym stanie rzeczy aktualne pozostaje domaganie się pluralizmu — w szczególności związkowego. Można bowiem przewidywać, że o ile ten postulat nie zostanie spełniony, liczba więźniów politycznych zacznie znowu szybko rosnąć. W związku z tym nie wolno ustawać w żądaniu wprowadzenia statusu więźnia politycznego.

6. Rzeczą w najwyższym stopniu szkodliwą byłoby wycofanie się z obszarów niezależności, wywalczonych w ciągu minionych dziesięciu lat. Nie powinni o tym zapominać także działacze polityczni na emigracji; ich podstawowym obowiązkiem pozostaje

nadal udzielanie pomocy i popieranie TKK Solidarności oraz wszystkich wartościowych inicjatyw niezależnych.

7. Ci zaś, którzy z rozmysłem rezygnują z działalności niezależnej na rzecz koncesjonowanej swobody pisania pod kontrolą cenzury osłabiają wolę oporu w społeczeństwie i zrywają solidarność z ludźmi, którzy opuszczają teraz więzienia.

8. Jak zwykle w momentach krytycznych, wybuchają spory, rozlegają się wzajemne oskarżenia, powstają rozmaite mafie, zaczyna dominować plotka, pojawiają się samozwańczy przywódcy. Władze PRL podsycają to zjawisko, dążąc do destabilizacji ruchów niepodległościowych poprzez sianie zamętu. Potępiamy to kategorycznie. I nie cofniemy się w przyszłości przed publicznym napiętnowaniem konkretnych, znanych nam wypadków.

13 września 1986

REDAKCJA

Spółeczeństwo podziemne

(ROZMOWA KULTURY NIEZALEŻNEJ
Z WIKTOREM KULERSKIM)

K.N.: — *W pierwszych miesiącach stanu wojennego sformułowałeś program „Spółeczeństwa Podziemnego”. Raczej hasło, niż program. Stąd pewne częste później nieporozumienia. Jak sobie właściwie to „spółeczeństwo podziemne” wyobrażałeś?*

W.K.: — *Jeśli teraz mówiłbym o tym, jak wówczas wyobrażałem sobie spółeczeństwo podziemne, łatwo mógłbym ściągnąć na siebie zarzut podretuszowywania mojej ówczesnej propozycji tak, aby bliższa była obecnemu stanowi rzeczy. Jeśli ograniczę się do przytoczenia cytatu z własnego tekstu, mogę zostać posądzony o brak skromności. Z dwojga złego wybieram to drugie.*

W marcu 1982 roku napisałem: „... konieczne jest utworzenie nie tyle państwa podziemnego, co zorganizowanie się w podziemne spółeczeństwo. A zatem nie ośrodek centralny i pełna wobec niego dyscyplina lecz ruch wielośrodkowy, zdecentralizowany, nieformalny, składający się z niezależnych od siebie, luźno powiązanych grup, kół, komitetów itp. o dużej samodzielności i swobodzie decyzji. Musiałyby one zapewnić stałą i skuteczną pomoc wszystkim prześladowanym przez władze, rozwinąć obieg niezależnej informacji i wolnej myśli, stworzyć sieć społecznej łączności i zapewnić możliwość samokształcenia i doksztacenia, dawać oparcie moralne i psychiczne”.

Wówczas pisałem to na gorąco — że tak powiem — i pod naciskiem chwili, zresztą bez zamiaru publikacji. Były to przeznaczone dla Zbyszka, naprędce skreślone uwagi po lekturze maszynopisu artykułu Jacka Kuronia pt. „Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia”. Zbyszek otrzymał moje uwagi już po napisaniu

polemiki z Jackiem. Doszedł do wniosku, że nasze teksty uzupełniają się i oba wysłał do redakcji *Tygodnika Mazowsze*, gdzie ukazały się razem z artykułem Jacka. Dzisiaj na pewno napisałbym to inaczej, jednak meritum pozostałoby bez zmian.

Co do nieporozumień, to wynikają one przede wszystkim — choć nie tylko — z nazwy: społeczeństwo podziemne było z jednej strony celowym przeciwstawieniem się pomysłowi budowy II Państwa Podziemnego, lub inaczej — koncepcji jego reaktywowania, co uważałem za niesłuszne i zwodnicze, z drugiej strony celowym nawiązaniem do tamtej nazwy, dyktowanym względami propagandowymi. Hasło nowego państwa podziemnego było wówczas tak popularne, tak chwytliwe, iż byłem przekonany, że jeśli cokolwiek można mu przeciwstawić z jaką taką szansą na powodzenie, to hasło równie atrakcyjne, przemawiające do wyobraźni i budzące skojarzenia z tradycją jak tamto, ale jednocześnie wnoszące *novum* możliwe do urzeczywistnienia i zapobiegające niebezpiecznemu powtarzaniu starej recepty, zresztą na inną chorobę.

Przymiotnik „podziemne” ponadto określa, iż chodzi tu o życie społeczne wyjęte spod pisanego dekretami i ustawami bezprawia; o życie ścigane, tropione i dławione przez państwo przemocą; o życie szukające azylu w konspiracji, w miejscach prywatnych lub uswięconych. Na pewno nie odzwierciedla on *continuum* występującego między tajnym spotkaniem TTK a jawną niezależną kontrmanifestacją 1-majową, między podziemną drukarnią a niezależną imprezą kulturalną w którejś ze świątyń, między zakonspirowanym Komitetem Helsińskim a oficjalną Prymasowską Komisją Charytatywno-Społeczną. Czyż jednak którykolwiek z innych proponowanych przymiotników — niezależne, równoległe, alternatywne itp. — oddaje w pełni, lub choćby lepiej istotę zjawiska? Każdy z nich podkreśla inny jego aspekt. Osobiście pozostaję przy pierwotnej nazwie, bowiem jedynie słowo „podziemne” określa jedną z bardzo ważnych cech tego społeczeństwa, implikując jednocześnie pozostałe.

K.N.: — *A jak widzisz teraz to społeczeństwo podziemne? Co z niego stało się faktem, co się nie stało, bo nie mogło się udać — a co jeszcze można by stworzyć?*

W.K.: — Społeczeństwo podziemne jest, istnieje, żyje. Prześladowani nie pozostają nieznanymi, samotnymi, bez pomocy. Żelazna kurtyna dzieląca nas od cywilizowanego i wolnego świata jest dziurawiona. Odległa prowincja nie jest już ziemią zapomnianą, interior. Rządowe ośrodki badań dorachowały się minimum 3 milionów czytelników niezależnej prasy. Sporne jest to, czy uka-

zuje się mniej, czy więcej niż tysiąc tytułów niezależnych czasopism. Mówiąc o niezależnych oficynach, mam na myśli już nie tylko poligraficzne, ale również fon- i videograficzne. Niezależne imprezy kulturalne — wystawy, spektakle, koncerty, odczyty — idą w setki. Utrzymana została ciągłość istnienia NSZZ Solidarność, a ponadto reaktywowały się w podziemiu ośrodki autonomicznych i branżowych związków zawodowych. Niekwestionowaną pozycję zdobyły i utrwały nowe niezależne struktury, takie jak: Komitet Helsiński, Komitet Obrony Praworządności, Komitet Kultury Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki, Społeczny Komitet Zdrowia, Zespół Oświaty Niezależnej, Komitety Oporu Społecznego, Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników, Solidarność Walcząca, by nie wymieniać rozlicznych ugrupowań politycznych, młodzieżowych itp. Co jakiś czas powstają następne niezależne struktury aktywizujące następne środowiska społeczne, jak ruch Wolność i Pokój, Komitety Obrony Przeciwko Przemocy, Instytut Europy Wschodniej, Nowa Koalicja, Federacja Młodzieży Walczącej.

Ten społeczny ruch solidarności nie doprowadził i zapewne nie doprowadzi do wyjęcia spod kontroli reżimu całości życia społecznego, pozostawiając mu wyłącznie struktury administracyjne, jak to pisałem na wyrost i nieco demagogicznie w marcu 1982 roku. Jednak to, że społeczeństwo podziemne stało się rzeczywistością tak bogatą i wywierającą wpływ również na zachowanie się reżimu, dalece przewyższyło moje oczekiwania. Prawdę mówiąc, nie bardzo w to wierzyłem wówczas, choć nie widziałem innej drogi. Zaskoczeniem jest dla mnie tak nieprawdopodobny rozwój niezależnego życia kulturalnego, taka ilość imprez, wydawnictw. Nie myślałem o videotekach, o radiu Solidarność, o wchodzeniu na ekrany telewizyjne. Nie spodziewałem się rozwoju ruchu młodzieżowego. Uważam, że pod niektórymi względami jesteśmy dzisiaj przygotowani do kontynuowania Długiego Marszu — by użyć określenia Adama Michnika — lepiej, aniżeli do jego zaczynania przed czterema laty.

A co nie udało się, zresztą niekoniecznie dlatego, że nie mogło się udać? Przede wszystkim wyobrażałem sobie mniejsze, aniżeli ma to miejsce, zdezaktywizowanie NSZZ Solidarność na szczeblu zakładów pracy i w mniejszych miastach. Liczyłem na to, że zasięg aktywnego społeczeństwa podziemnego będzie większy właśnie dzięki liczebności Związku. Ruch Solidarności znajduje się nadal daleko poza opłotkami elit — co tak dalece uodpornia go na przeciwdziałania policyjne — ale nie osiągnął powszechności takiej, jaką wydawał się móc osiągnąć. Dużo większe rozmiary, aniżeli przypuszczałem, przybrała ucieczka w prywatność i aktywność religijną. Jak dotychczas nie odtworzyły się w podziemiu związki i stowarzyszenia twórcze, choćby nawet w zmienionym

charakterze. Ich nieobecność w społeczeństwie podziemnym jest odczuwana bardzo dotkliwie. Na znaczne trudności napotyka odbudowa NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych i — niestety — wygląda na to, że skapitulowali rzemieślnicy indywidualni, co jest brakiem nie do powetowania. Ich struktury mogłyby mieć znaczenie nie do przecenienia. Zbyt powoli rozwijają się niezależne wydawnictwa poli-, fono- i videograficzne, lecz nie ich to wina. Pewną stagnację widać w działalności Rady Edukacji Narodowej, a plany oświaty niezależnej — jak się okazało — przerastały jej możliwości. Powolny jest postęp prac w dziedzinie radia i telewizji. Dotychczas pozostają nieaktywizowane środowiska mniejszości narodowych. Całkowicie poza naszym zasięgiem — i chyba rzeczywiście nie mogło być inaczej — pozostała cała sfera działań gospodarczych. Wielką naszą stratą i zmarnowaną szansą jest wreszcie to, że po kolejnych amnestiach nie udało się doprowadzić do utworzenia jawnych, związkowych ośrodków regionalnych i krajowego, komplementarnych do komisji podziemnych i zdolnych do stopniowego przejmowania ich ról w miarę możliwości, warunków i potrzeb. Teraz już chyba nie zdołamy tego nadrobić.

Jeśli chcesz, bym mówił o tym, co jeszcze można i należałoby zrobić, to na razie — nie ujawniając przedwcześnie innych zamierzeń — ograniczę się do jednej sprawy — społecznego ruchu ekologicznego. Jesteśmy z tym spóźnieni także w porównaniu z niektórymi innymi krajami Europy Wschodniej, mimo że potrzeby, możliwości i znaczenie takiego ruchu wydają się u nas znacznie większe.

K.N.: — *Istniały odmienne koncepcje walki podziemnej, waszej wręcz przeciwstawne: nie Długiego Marszu, lecz zwycięstwa poprzez Wielki Skok — strajk generalny. Albo tworzenie partii politycznych, co miałoby w nieokreślony bliżej sposób przynieść niepodległość. Czy wreszcie gra polityczna z komunistami, która miałaby ich wyprowadzić w pole. Na ogół autorzy tych koncepcji uważali, że tylko ich pomysł jest coś wart, a budowa podziemnego społeczeństwa to utopia, demobilizująca i rozpraszająca siły. Jak dzisiaj, po czterech latach, widzisz ten konflikt?*

W.K.: — Jest to konflikt w znacznym stopniu przebrzmiały, może już nawet — przynajmniej na razie — bezprzedmiotowy. Rozstrzygnęło go samo życie.

Strajk generalny? Taktykę wpędzania w róg przeciwnika znacznie cięższej wagi uważam za nader ryzykowną, podobnie jak dążenie nieregularnej partyzantki uzbrojonej tylko w lekką broń do frontalnego starcia. Poza tym po prostu... nie wyszło! Nie widać już zwolenników tego rozwiązania.

Najpierw niepodległość, a potem wszystko inne? Proszę bardzo, tylko niech ktoś wreszcie powie, jak to zrobić, albo — lepiej — niech po prostu zacznie ją robić, tak abyśmy wszyscy nie zginęli razem z nią. Wtedy chętnie pomogę.

Partie polityczne? Nie mam nic przeciwko nim, choć nikt nie potrafi wytłumaczyć, w jaki to sposób one właśnie mogłyby pchnąć sprawę do przodu. Jeśli mają zwolenników, to niech wreszcie powstaną. Wolałbym tylko, aby nie ożywiały się sztucznie, kosztem innych rzeczywistych struktur i nie wykorzystywały ich jako podpórek. Ugrupowaniom politycznym to nie pomoże, a ugrupowaniom społecznym niebacznie wchodzącym w takie alianse może poważnie zagrozić destrukcją wynikającą z rywalizacji, rozgrywek i rozłamów politycznych. W *Niepodległości*, która takie sojusze proponowała, do rozłamu już doszło. Jak wyglądałaby sytuacja w strukturach społecznych, gdyby wcześniej weszły w sojusze z *Niepodległością*?

Gra polityczna z komunistami? Nie znam takiego, który wygrałby ją, nie będąc od nich silniejszym. W każdej grze obowiązują jakieś zasady. Komuniści znają tylko jedną — własną korzyść, a to chyba nieco przymało. Wystarczająco wielu próbowało i próbuje z nimi grać z nie najlepszym skutkiem, choćby tylko w ostatnich latach. Byli już tacy zapaleni gracze, którzy dyskretnie wizytując osoby niedwuznacznej kondyty doczekali się tylko ujawnienia przez nie wiadomości o tych spotkaniach. Inni odwiedzając podejrzane gabinety wystawiali później za granicą poczynaniom ich gospodarzy całkiem niezłe cenzurki. Nie powiem, jedynym zyskiem okazała się utrata wiarygodności i plama na uprzednio nieskalanym imieniu. Do paru osób napomnienie, „że paktować z diabłem nie wolno” dotarło tragicznie spełnione. Szacowni oświeceni próbujący grać o swoje zaścianki i ratować je, zostali pozbawieni godności akademickich równie bezceremonialnie jak rzekomi ekstremiści, którzy nie tylko własnych podwórek bronili. Osobiście wolę trzymać się jak najdalej od szulera, a poza tym grać nie lubię. Jeśli inni jednak tego bardzo potrzebują, to już ich sprawa. Największe koszty ponoszą oni sami.

Społeczeństwo podziemne — ta ponoć utopia, jakoby demobilizująca i rozpraszająca siły, pomówiona bez sensu i z odrazą o pozytywistyczny, organicznikowski rodowód — stało się ciałem, które umożliwia niewielkie, lokalne i niekiedy skuteczne strajki, stwarza forum dla niekończących się dysput ludziom zaczynającym od niepodległości, umożliwia prezentację poglądów zwolennikom partii politycznych, a wreszcie niektórym graczom pozwala próbować swych gier. Przypuszczam, że gdyby nie społeczeństwo podziemne, to wielu jego przeciwników i prześmiewców trzymałoby dziś w rękę nie *Tygodnik Mazowski* lub *Niepodległość*, a tylko *Słowo Powszechne* z kiosku lub *Trybunę Ludu* od

klawisza i mogliby sobie co najwyżej pomonologować, w dodatku niezbyt głośno.

Mówienie, że jakaś orientacja i jej zwolennicy tylko demobilizują i rozpraszają siły przypomina mi bardzo demagogię komunistów. Jakoś zwolennicy strajku generalnego, zaczynania od niepodległości, partii politycznych, a wreszcie gry z komunistami nie zdemobilizowali społeczeństwa podziemnego, nie rozpraszili jego sił oraz nie przeszkadzili tym, którzy wybrali się w Długi Marsz. Dłaczegóż odwrotnie miałoby być odwrotnie?

To, że jestem zwolennikiem społeczeństwa podziemnego nie znaczy, bym lekceważył inne koncepcje, uważał je za niepotrzebne. Jedną z istotnych wartości tego społeczeństwa jest to, że monolityzmowi, centralizmowi i nietolerancji systemu autorytarnego przeciwstawia pluralizm, policentryzm i tolerancję demokracji. Jeśli cokolwiek jest w stanie przygotować nas do niepodległości tak, abyśmy nie zatruli jej autorytarnym reżimem własnego chowu, to właśnie społeczeństwo podziemne z całym wachlarzem ugrupowań reprezentujących różne koncepcje, różne wizje, różne programy, a zarazem jednoczone wspólnotą celów jakimi są niepodległość i demokracja oraz wspólnotą zasad walki bez przemocy. Im szerszy jest ten wachlarz, tym większe możliwości właściwego wyboru, tym mniejsze niebezpieczeństwo popadania w zaślepienie, fanatyzm, skrajności. Poza tym warunki i sytuacje zmieniają się, a w każdym razie mogą się zmieniać. W stosownej chwili potrzebni będą tacy, którzy potrafią przygotować i przeprowadzić Wielki Skok. Jeśli wybijemy się na niepodległość, to zapewne okaże się, iż dysputy dzisiejszych wizjonerów na coś się przydadzą i będą potrzebni działacze polityczni oraz wypracowane przez nich programy. Trudno wykluczyć nawet i to, że nadwężony lecz jeszcze nie całkiem opadły z sił komunizm wymagał będzie jakiejś taktycznej gry politycznej i przydadzą się tacy, którzy lubią takie rzeczy robić z komunistami. Póki co chyba lepiej jednak pamiętać że społeczeństwo podziemne, jeśli nawet samo nie jest gałęzią, na której wszyscy połem siedzimy, to niewątpliwie jest jej podporą. Niech pomyślą o tym także ci spośród naszych mędrków, którzy podejmując zagranicznych gości albo sami odprawiając zagraniczne wojaże tak łatwo nieraz dezawuuują Solidarność i społeczeństwo podziemne. Chyba że chcą w taki właśnie sposób osłaniać własną bierność i własny oportunizm. Dobrego interesu raczej na tym nie ubiją.

K.N.: — *Jaka jest wasza rola w tym podziemnym społeczeństwie?*

W.K.: — Aby na to odpowiedzieć, potrzebne jest parę słów o NSZZ Solidarność przed grudniem i po grudniu. Co tutaj zmieniło się, a co nie? Ograniczając się do spraw moim zdaniem

szczególnie istotnych, trzeba przypomnieć, że NSZZ Solidarność był i pozostaje niezależnym i samorządnym związkiem zawodowym, że jego ideą była i pozostaje Solidarność, podstawową zasadą jego walki — walka bez przemocy, a jego programem — Program Samorządnej Rzeczypospolitej; że posiadał i nadal posiada przywódców wybranych na drodze pierwszych od dziesiątków lat, wolnych i demokratycznych wyborów, w których uczestniczyło 10 milionów Polaków, związkowców. Jednak poprzednio NSZZ Solidarność działał jawnie, a obecnie działa w podziemiu; poprzednio miał jawne i czynne poparcie 10 milionów związkowców i zapewne jeszcze większej liczby sympatyków, a obecnie większość z nich przestawiła się na poparcie ukryte i bierne; poprzednio o sile związku stanowiły przede wszystkim masy członkowskie i aktywność struktur zakładowych, a obecnie stanowią o niej liczne kadry działaczy, struktury ponadzakładowe i pozazakładowe oraz liczne struktury niezależne od Związku i wspierające go; poprzednio Związek, który dzięki swej sile wybił się na niezależność, był niemalże monopolistą w dziedzinie działań niezależnych, a w każdym razie na pewno stanowił jedyną liczącą się strukturę niezależną — jeśli pominąć Kościół — natomiast obecnie dominuje, jest jednak tylko jedną z wielu możliwych struktur podziemnych; poprzednio potrzeby, możliwości i warunki w znacznie większym stopniu przemawiały za centralizacją wszelkich działań niezależnych, obecnie zaś — być może — przemawiają za nią tylko niektóre potrzeby, ale możliwości po temu są co najmniej wątpliwe, a warunki wprost sprzeciwiają się takiej centralizacji; poprzednio Związek miał względnie szerokie pole działania, które obecnie uległo daleko idącemu zwężeniu, przy czym w dziedzinach szczególnie ważnych dla każdego, autentycznego związku zawodowego stało się ono wyjątkowo skromne, najdelikatniej mówiąc. Społeczeństwo podziemne, którego najważniejszym składnikiem jest NSZZ Solidarność i które ze Związku wyrosło, coraz dalej posuwa się na drodze pluralizmu i demokracji, co jest czymś naturalnym, ze wszech miar pożądanym i godnym jak najdalej idącego poparcia.

Cała ta sytuacja nie może nie znajdować odbicia w pewnych zmianach roli, jaką odgrywamy. Przede wszystkim pozostajemy podziemnym kierownictwem NSZZ Solidarność i właśnie ta rola obecnie zmusza nas do przyjęcia także innych, narzucanych nam konieczności i okoliczności. Często jesteśmy postrzegani i traktowani jako reprezentacja całości społeczeństwa podziemnego. Trudno wyprzeć się tego ze względu na znaczenie Związku dla innych struktur i na wyjątkową możliwość występowania pod własnymi nazwiskami. Nie wolno nam jednak dopuszczać się uzurpacji, lekceważenia odrębności i niezależności pozostałych struktur, a tym bardziej jakichkolwiek prób ich anektowania. Niekie-

dy właśnie w roli reprezentantów całego społeczeństwa podziemnego jesteśmy mu potrzebni. To, co w rezultacie i z biegiem czasu wytworzyło się, pojmuję jako swoistą, opartą na podstawowym wzajemnym zaufaniu, niepisaną umowę — *gentlemen's agreement*. Tam, gdzie jest to konieczne dla wspólnego dobra, reprezentujemy całość społeczeństwa podziemnego, nie naruszając podmiotowości i niezależności jego struktur, które z kolei milcząco to akceptują i wspierają nas w takiej roli. Jak trudne sytuacje spotykają nas w jej pełnieniu, mówi przykład, kiedy to nie mając czasu na porozumienie się z Komitetem Kultury Niezależnej i kierując się jego dobrem, zaryzykowaliśmy bez porozumienia podpisać się wspólnie z nim pod jednym z dokumentów, który natychmiast trzeba było opublikować. Okazało się, że w tym zupełnie wyjątkowym przypadku nie było zastrzeżeń i *post factum* uzyskaliśmy pełną aprobatę Komitetu, a nawet podziękowanie za podjęcie tego ryzyka.

Pełnienie obu wymienionych ról narzuca nam także następną, którą określiłbym jako rolę swoistych gwarantów niezależności struktur niezwiązkowych od naszej „kierowniczej roli”. Uważam, że do tego zobowiązuje nas nie tylko wzgląd na wartości nadrzędne, ale również Program Samorządnej Rzeczypospolitej. Domniemanie korzyści, jakie mogłyby — według niektórych działaczy związkowych — płynąć z takiego czy innego podporządkowania Związkowi struktur od niego niezależnych, nie mogą, a w każdym razie nie powinny przesłaniać nam wartości nadrzędnych. Zabiegając o osiągnięcie celów bliższych, nie możemy tracić z oczu celów dalszych. Zabiegając o dobro Związku, nie wolno nam tracić tego, czemu nasz Związek ma służyć i do czego ma nas prowadzić.

To, że mimo różnic zdań, nawet sporów, mimo nieporozumień zarówno wewnątrz naszego Związku, jak i między jego działaczami a przedstawicielami innych struktur niezależnych, współpraca układa się względnie harmonijnie, uważam za rzecz godną podkreślenia. Tylko życzyć można by sobie, aby rozwijała się tak nadal nie tylko w Kraju. Pragnęlibyśmy, aby ta współpraca była należycie rozumiana i kontynuowana także przez związanych z nami działaczy emigracyjnych, zamiast wywoływać obawy i nieporozumienia.

Role, o których mówiłem to jeszcze nie wszystko. Jak już zaznaczyłem, poczynając od 13 grudnia możliwości działań w sferach najbardziej interesujących dla każdego autentycznego związku zawodowego kurczyły się bardzo szybko. Punkt ciężkości przesunął się ku działaniom długofalowym, szczególnie w dziedzinie szeroko pojmowanej kultury. Prześladowania wymagały zajęcia się na stałe i na dużą skalę kwestią praw człowieka, samoobroną przed ich gwałceniem oraz pomocą charytatywną. Nie będącemu w stanie sprostać wszystkim rozlicznym potrzebom Związkowi

przyszły w sukurs różne inne niezależne struktury społeczeństwa podziemnego. To wysunęło na pierwszy plan utrzymywanie łączności, działalności, którą określiłbym jako pośrednictwo oraz pomoc wzajemną. Znowu NSZZ Solidarność jako największa struktura o zasięgu ogólnokrajowym, przenikająca niemal wszystkie środowiska i warstwy społeczne, nienajgorzej zorganizowana i względnie stabilna okazała się niezastąpiona, a nam przybyło ról. Istotne jest to, że obecnie stanowimy m.in. coś w rodzaju biura łączności, pośrednictwa i pomocy. Takie zmiany ról stawiają przed nami wciąż nowe wymagania. Czym innym jest zajmowanie się jedną strukturą, a czym innym reprezentowanie i podtrzymywanie całego kompleksu różnorodnych struktur, niezależnych również i od nas. Czym innym jest organizowanie pracy, a czym innym ułatwianie, umożliwianie tego innym, chronienie, pośredniczenie. Prowadzenie walki zbiorowej — także cywilnej — nakazuje centralizację i hierarchiczność, natomiast budowanie społeczeństwa demokratycznego wymaga poszanowania czegoś wprost przeciwnego. Podziemie — szczególnie na wyższych szczeblach — wymaga od człowieka cech właściwych raczej wojskowemu, aniżeli działaczom społecznym. Ludzie obdarzeni takimi cechami łatwiej decydują się na podziemie, korzystniej przechodzą sprawdzian życia i pracy w nim, które dodatkowo wpływają na rozwijanie właśnie takich cech. Wreszcie wszyscy jesteśmy wychowankami zupełnie innego systemu, aniżeli ten, pod jaki chcemy kłaść podwaliny w społeczeństwie podziemnym. Wszystko to wymaga od nas wielkiej elastyczności, stałego pokonywania nawyków, niedouczenia, ambicji i partykularyzmów. Wszyscy jesteśmy nowicjuszami i dyletantami w zakresie demokracji.

K.N.: — *Jaka jest relacja między wami a najrozmaitszymi „firmami” podziemia, jak wydawnictwa, czasopisma, Komitet Kultury Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki, Zespół Oświaty Niezależnej, Komitet Helsiński, Społeczny Komitet Zdrowia, Komitet Obrony Praworządności, KOS, struktury międzyzakładowe, grupy ekspertów, Radio Solidarność? Czy chodzi o podporządkowanie, czy — jak to wiemy z własnego doświadczenia — o coś innego?*

W.K.: — Znowu muszę odwołać się do rozróżnienia między Ruchem Solidarności a NSZZ Solidarność, będącym jednym ze składników tego ruchu, podobnie jak inne niezależne struktury.

Niektóre z wymienionych przez ciebie struktur są strukturami związkowymi i jako takie w ten czy inny sposób są podporządkowane władzom związkowym różnych szczebli. Do takich zależnych od kierownictwa NSZZ Solidarność struktur należą porozumienia międzyzakładowe i terenowe, grupy ulotkowe, radio

Solidarność, niektóre czasopisma, grupy ekspertów itp. Pozostałe struktury, o których mówiłeś, są strukturami niezależnymi od NSZZ Solidarność, działającymi niezależnie we właściwych sobie dziedzinach i według własnych założeń, zachowującymi swoją organizację, dysponującymi własnymi funduszami, często mającymi własne czasopisma i wydawnictwa, a niekiedy i własne przedstawicielstwa zagraniczne, podobne jak nasz Związek.

Te struktury, które wymieniłeś, dosyć ściśle współpracują z NSZZ Solidarność na zasadach partnerskich i nie wchodzi tu w grę stosunek nadrzędności i podporządkowania. Tak np. Komitet Helsiński i Społeczny Komitet Zdrowia wykonują niektóre prace na nasze zamówienie; KOS i OKOR wspólnie z nami przeprowadzały szereg akcji związkowych; znane pod nazwą OKN-a porozumienie Zespołu Oświaty Niezależnej, Komitetu Kultury Niezależnej, Społecznego Komitetu Nauki i Społecznego Komitetu Zdrowia w istocie rzeczy realizuje stosowne części Programu Samorządnej Rzeczypospolitej uchwalonego na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ Solidarność w Gdańsku; bliskie stosunki łączą nas z Instytutem Europy Wschodniej, Federacją Młodzieży Walczącej, z niektórymi oficynami wydawniczymi — NOWĄ, CDN-em, Przedświtem, WSKOS-em, Niezależnym Wydawnictwem Harcerskim, z niektórymi czasopismami niezależnymi — *Krytyką, Kulturą Niezależną, Nową Koalicją, Obozem, Vacatem, Praworządnością, Kosem*. Podkreślam, że podałem tu tylko pierwsze z brzegu przykłady i że niewymienienie z nazwy jakiejś struktury czy któregoś czasopisma nie oznacza, iż nie współpracujemy z nimi. Warto może powiedzieć i to, że struktury, z którymi bliżej nie współpracujemy — niekiedy bardzo krytycznie do nas ustosunkowane — zazwyczaj także uczestniczą w ważniejszych akcjach NSZZ Solidarność, wspierają je albo co najmniej zachowują podstawową lojalność wobec Związku.

Wszystko, co powiedziałem, nie oznacza, iż relacje między NSZZ Solidarność, a niezależnymi strukturami niezwiązkowymi od początku i przez wszystkich spośród nas były i są postrzegane tak, jak to przedstawiłem. Większość z nich początkowo o tych sprawach nie myślała. Byliśmy obciążeni ponad miarę wytrzymałości pracami przy rekonstrukcji i łataniu tego, co z naszego Związku pozostało po 13 grudnia oraz bezpośrednimi akcjami związkowymi, nie mając ani sił, ani czasu, ani funduszy na to, aby zajmować się czymkolwiek innym aniżeli to, co nie cierpiało zwłoki. Większość spośród nas w gruncie rzeczy nie bardzo dowierzała perspektywie Długiego Marszu. Gdzieś w głębi tliły się iskry nadziei, że sytuacja odwróci się wcześniej. Wielu nie zbyt wierzyło i w to, by poza Związkiem — jeśli nie mówić o Kościele — ktokolwiek był w stanie wypracować jakieś poważniejsze, względnie trwałe formy oporu. Nie docenialiśmy róż-

nych rzeczy zapatrzeni we własne wizje i własne przedsięwzięcia. Niejednokrotnie z rezerwą a nawet z pewnym lekceważeniem patrzyliśmy na inicjatywy wychodzące z innych kręgów, wybiegające poza nasze aktualne przedsięwzięcia, nie ryzykując zbyt daleko idącego poparcia.

I tak, mimo że udzielaliśmy niezależnym strukturom pomocy finansowej, rzeczowej i moralnej, nie doszło do poparcia przez TKK najwcześniej startującej oświaty niezależnej, po czym niezależna kultura, nauka i zdrowie już nawet nie zwracały się o to. Mimo, iż czas nagił, deliberowano nad raportem Komitetu Helsińskiego, próbowano wysuwać propozycje zmian, zanim wreszcie uzyskał poparcie TKK. Drugi raport w ogóle się tego nie doczekał. Przy następnych Komitet Helsiński już czegoś takiego nie potrzebował, bowiem był dostatecznie znany i ceniony za wartość i wysoki poziom swoich opracowań. Dopiero wtedy zaczęto zastanawiać się, jak doszło do tego, że brak na nich naszej pieczęci. Bywało, że redakcja związkowego czasopisma wzbraniała się przed zamieszczeniem deklaracji założycielskiej nowopowstającego niezależnego komitetu społecznego, bowiem — jak mówiono — nigdy nie wiadomo, czy nie okaże się efemerydą i jak będzie działał. Później ta sama redakcja zabiegała o wywiady z działaczami tegoż komitetu. Podówczas najpewniejsze, najskuteczniejsze, najbardziej warte inwestowania i propagowania wydawały się nam nasze własne przygotowania do strajków i manifestacji.

Sytuacja zaczęła zmieniać się dopiero wtedy, kiedy z jednej strony niemal do zera spadły możliwości przeprowadzania bezpośrednich akcji związkowych, a z drugiej strony stały się widoczne i wzbudziły uznanie efekty pracy niezależnych komitetów społecznych, a na domiar wszystkiego zaczęły one dysponować własnymi, bynajmniej nie małymi funduszami. Co więcej — wśród związkowców w strukturach niższych szczebli wzrosło zainteresowanie działalnością na polu szeroko pojętej kultury oraz zapotrzebowanie na współpracę z odpowiednimi komitetami niezależnymi, a region Mazowsze przerzucił na ich barki całość wydatków związanych z oświatą, kulturą i nauką, ratując w ten sposób swój przeciążony budżet. Dopiero wówczas niezależne struktury, które wcześniej i na serio przyjęły perspektywę Długiego Marszu, zogniskowały na sobie naszą uwagę. Wtedy to wszyscy zaczęliśmy zastanawiać się nad wzajemnymi stosunkami. Dla wielu spośród nas nieco trudna do przyjęcia okazała się niezależność tak ważnych struktur... także od nas samych. Dały o sobie znać tendencje do takiego czy innego uzależnienia ich od Związku, podporządkowania a nawet inkorporacji, uzasadniane w różny sposób. Odezwały się echa „kierowniczej roli” oraz niezrozumienie prawideł i mechanizmów życia społeczeństwa demokratycznego. Wszycyśmy od tej samej macochy, komuny. Tymczasem struktury

ry niezależne wspierające Związek i blisko z nim współpracujące, pomne doświadczeń przeszłości, a i nie lekceważące różnych ewentualności na przyszłość, okazały się niezbyt skłonne do przyjęcia roli przybudówek. Mają już na to argumenty trudne do odparcia.

Gwoli sprawiedliwości może warto zaznaczyć, że niektóre ugrupowania (np. *Niepodległość*) również okazały w pewnej chwili swoje względy niezależnym strukturom społecznym, wysuwając propozycje tworzenia wspólnie z nimi megastruktur.

Skoro członkowie i sympatycy NSZZ Solidarność stworzyli ważne niezależne struktury wchodzące w skład ruchu Solidarność, uzupełniające działalność naszego Związku i wspierające go, a nawet wyręczające w niektórych dziedzinach, to znaczy że struktury takie oraz taki rodzaj ich relacji z nami przeszły próbę życia, są potrzebne i korzystne dla nas wszystkich. Z tego możemy się tylko cieszyć.

K.N.: — *Czy w przypadku sporu między „firmami” odwołują się one do waszego arbitrażu i — jeśli tak — jak wtedy postępujecie?*

W.K.: — To się zdarza. Mieliliśmy już różne przypadki. Zwracały się do nas z wnioskiem o arbitraż struktury, w których doszło do rozłamów, struktury między którymi powstał zatarg i struktury, które poczuły się wykorzystywane, a nawet padły ofiarą nieuczciwości. Zwracały się w takich sprawach także poszczególne osoby. Jeśli sprawa jest poważna, zazwyczaj bierze ją na siebie jeden spośród nas w zależności od sfery zainteresowań, podziału pracy i rodzaju struktury. Po zbadaniu — co nie raz wymagało paru miesięcy — i przedstawieniu propozycji rozwiązania konfliktu pozostałym z nas, podejmujemy wspólną decyzję i przedstawiamy ją stronom. Jak dotychczas były one przyjmowane i konflikty udało się zlikwidować. Oczywiście, że zdarzają się sprawy zawikłane, nie do rozplątania, gdzie nie sposób oddzielić faktów od odczuć, racji od emocji. W takich przypadkach jedynym wyjściem jest rozstanie stron z powodu „niezgodności charakterów” bez dochodzenia winy i wynagrodzenia strat. Bywa, że konflikt ulega przedawnieniu z powodu... uwięzienia jednej ze stron przez wspólnego przeciwnika. Wtedy strona pozostała włącza się do akcji ratowniczej na rzecz uwięzionej.

Najtrudniejsze sprawy — zresztą sporadyczne — wynikają z braku uczciwości. Na szczęście i tu już powstały interesujące mechanizmy podziemnego życia społecznego. Przytoczę dwa przykłady. Jedna z niezależnych struktur przypadkowo znalazła się w posiadaniu offsetu będącego własnością innej struktury. Nie ma tu potrzeby mówić, jak ogromną wartość mają w podziemiu maszyny drukarskie, nie przymierzając, jak karabiny maszynowe

dla partyzantów lub rakiety dla mudzaheddinów afgańskich. Rzecz oczywista, że kiedy sprawa wyszła na jaw — tak, tak! w podziemiu przed podziemiem niewiele da się ukryć — szczęśliwcy nie mieli najmniejszej ochoty oddać zdobyczy. Pertraktacje przeciągały się w nieskończoność. Przecież nie mamy ani mocy ani środków egzekucyjnych. I wtedy nowym posiadaczom offsetu zagroził spontaniczny bojkot ze strony innych struktur wydawniczych. Sprawa stała się tak głośna — oczywiście w podziemiu — że zdali sobie oni sprawę, iż nie poradzą sami ze zdobywaniem papieru, blach, farb, części zamiennych, z kolportażem, a może nawet z wyszukiwaniem drukarzy. Jeden z posiadaczy offsetu zaklął wtedy — „Cholera, teraz już wszędzie nas znają i obstawią nawet w Szczecinie!”. Offset bez dalszego ociągania został zwrócony prawowitym właścicielom.

Drugi przykład jest jeszcze bardziej interesujący. Struktura wydawnicza, przeciążona zamówieniami, znalazła indywidualnego podwykonawcę. Kiedy dobrze wykonał pierwsze, niewielkie zamówienie, otrzymał drugie, znacznie większe i oczywiście z pokazną zaliczką. Wtedy nie tylko pokazał figę, ale ponadto zagroził, że w razie jakichkolwiek roszczeń posunie się do denuncjacji. Przynajmniej dowiedział się o sprawie ktoś, kto samorzutnie i dyskretnie skrzyknął dobraną grupkę wolontariuszy, przy jej pomocy wytropił nieuczciwego kontrahenta, dokonał „zajazdu”, skonfiskował wszystkie urządzenia i materiały drukarskie i solennie obiecał oszustowi dalszą znajomość w razie jakiegokolwiek próby denuncjacji, po czym zgłosił całą sprawę do RKW prosząc o decyzję, co ma począć z zarekwirowanym sprzętem i materiałami. Później — stosownie do polecenia — przekazał to wszystko uszkodowanemu wydawnictwu tytułem rekompensaty.

K.N.: — *Dysponujecie pewnym majątkiem, jak np. maszyny. Nie korzystacie z nich sami, lecz rozdzielacie wśród innych. Czy czegoś w zamian za to oczekujecie?*

W.K.: — Tak! Zawsze oczekujemy wyłącznie lepszych wyników działania struktury, której udzielamy pomocy. Maszyny drukarskie, wszelki inny sprzęt, materiały, podobnie jak pieniądze, którymi dysponujemy są własnością Związku, otrzymaną w darze lub zakupioną. Nie możemy tym handlować. Wszystko, co rozdzielamy, podporządkowujemy zapotrzebowaniom i możliwościom wykorzystania. Pomoc kierujemy tam, gdzie są największe braki i największe potrzeby, ale zarazem wyłącznie do tych struktur, które już coś osiągnęły własnymi siłami. Właśnie takie struktury podtrzymujemy przede wszystkim. Bardzo często są to aktywne grupy z małych ośrodków pozawarszawskich i ze słabych regionów. Nie czynimy przy tym rozróżnienia na struktury związkowe

i niezwiązkowe, bowiem mamy wspólne cele i działamy dla wspólnej sprawy. Jeśli natomiast jest tak, że jakakolwiek potrzebująca pomocy struktura prowadzi działalność mieszczącą się w dziedzinie zainteresowań którejs z dużych, względnie zasobnych niezależnych struktur specjalistycznych, np. Zespołu Oświaty Niezależnej, Komitetu Kultury Niezależnej lub Społecznego Komitetu Nauki — tam właśnie kierujemy potrzebującego. Czynimy tak zarówno dlatego, że nie czujemy się kompetentni w ocenie takiej działalności, jak i dlatego, że zapotrzebowania na pomoc znacznie przekraczają nasze możliwości. Jeśli pomoc nie procentuje wynikami — przerywamy jej udzielanie.

K.N.: — *Wiemy — także z własnego doświadczenia — że zwracacie się czasem do różnych „firm” z prośbami. Czy zdarza się, że spotykacie się z odmową? Jeśli tak, kto i dlaczego odmawia?*

W.K.: — Nie! Takich przypadków nie znam. Ilekroć potrzebny jest współdziałanie jakiejś struktury w naszych przedsięwzięciach, z reguły spotykamy się ze zrozumieniem i wyjściem naprzeciw. Powiem nawet więcej — liczne struktury samorzutnie włączają się do akcji przez nas podejmowanych. Nasze zamówienia wykonują Komitet Helsiński i Społeczny Komitet Zdrowia. Komitet Kultury Niezależnej udziela pomocy wielu strukturom związkowym w organizowaniu działalności kulturalnej, przyznaje Nagrody Solidarności w dziedzinie kultury, pośredniczy w zamawianiu projektów. Zespół Oświaty Niezależnej udziela pomocy wielu strukturom związkowym w organizowaniu akcji samokształcących oświaty robotniczej, bibliotekom związkowym, finansuje na nasz wniosek ugrupowania młodzieżowe. Społeczny Komitet Nauki opracowywał ekspertyzy dla nas, przyznawał stypendia, o które występowałyśmy. Do Komitetu Obrony Praworządności zwróciliśmy się o listy więźniów politycznych i pomoc w akcjach na ich rzecz organizowanych. Niezależnym oficynom wydawniczym zlecaliśmy niejednokrotnie druk w bardzo krótkich terminach, które były dotrzymywane. Ośrodkiem charytatywnym wiele osób przekazujemy pod opiekę. A wszystko to są przecież tylko przykłady.

To, co powiedziałem, nie oznacza, że wszędzie i zawsze współpraca różnych struktur niezależnych przebiega zadowalająco. Wiele do życzenia pozostawia współdziałanie między OKN-em a niektórymi innymi związkowymi komisjami regionalnymi oraz między warszawskimi strukturami OKN-a a ich odpowiednikami w innych regionach. Zaznaczam jednak i podkreślam, że nie chodzi o odmowę współpracy, pomocy czy spełnienia prośb. Wszystkie znane mi zakłócenia wynikają z nieporozumień, niedostatków łączności — o jedno i drugie nader łatwo w podziemiu — a także z uprzedzeń regionalnych oraz odmiennego stylu bycia, myślenia i dzia-

łania związkowców wywodzących się najczęściej ze środowisk robotniczych i działaczy OKN, reprezentujących najczęściej środowiska twórcze, intelektualne. Te różnice formacji oraz różne uprzedzenia pogłębione przez czterdzieści lat komunizmu trzeba pokonywać z wielką cierpliwością i wzajemną wyrozumiałością, bez nadwrażliwości i pochopności, co w warunkach podziemia jest szczególnie trudne. Dla unikania i naprawiania takich nieporozumień niezbędne jest wzajemne zakładanie dobrej woli, działania w dobrej wierze, tłumaczenie wątpliwości na korzyść drugiej strony oraz znaczny margines tolerancji dla odmienności i posunięć niefortunnych. Wszyscy powinniśmy umieć i chcieć przechodzić ponad nieporozumieniami i sporami oraz współpracować mimo nich.

K.N.: — *Czy komuś odmawialiście pomocy, gdy się do was zwracano o nią?*

W.K.: — Tak, odmawiamy pomocy głównie w następujących przypadkach: 1) jeśli ktoś, kto dotychczas nic nie zrobił, zwraca się do nas mówiąc „dajcie, to zrobię”; 2) jeśli komuś innemu trzeba przyznać pierwszeństwo i nie starcza dla wszystkich; 3) jeśli jest to powtórne zgłoszenie po niewłaściwym zużycowaniu pierwszej pomocy; 4) jeśli to po prostu przekracza nasze możliwości.

Doświadczenie nauczyło nas, że dawanie sprzętu i pieniędzy ludziom, którzy bez tego nie potrafili nic zrobić, jest marnotrawstwem. W niektórych takich przypadkach, jeśli mimo wszystko są podstawy do rokowań, że pomoc nie zostanie zmarnowana, udzielamy jej następnie w specjalnych formach, dających nam rozeznanie w możliwościach wspomaganego struktury i pozwalających sprawdzić ją przed udzieleniem poważniejszego wsparcia. Przekazujemy wtedy np. pewną ilość znaczków nieodpłatnie. Struktura, która je otrzymała musi sama je rozkolportować, aby uzyskać pieniądze na swoje potrzeby. To daje jakiś obraz jej możliwości. Kiedy indziej może to być pomoc w postaci szkolenia, trudnych do zdobycia materiałów i części zamiennych. Następnie pomoc stopniujemy. Jeśli ktoś chce offset, to niech najpierw pokaże, co potrafi na powielaczu. Jeśli ktoś chce powielacz, to niech najpierw pokaże, co potrafi na sitach, które może sporządzić sam.

Trudne sytuacje są tam, gdzie potrzebujących wielu, a mało sprzętu, materiałów i pieniędzy. W takich sytuacjach pierwszeństwo dajemy niewielkim ośrodkom pozawarszawskim lub nawet większym miastom, w których podziemie rozwija się z wielkim trudem. Silne centra regionalne funkcjonują na ogół nieźle, więc staramy się podtrzymywać grupy pracujące nieraz na zupełnym ugorze. Często stajemy przed dylematami — udzielić pomocy

ze wszech miar zasługującej na nią i potrzebującej jej firmie w silnym ośrodku, czy firmie z trudem egzystującej lub początkującej w jakimś odległym, niewielkim mieście, gdzie dotychczas nic się nie działo? Zawsze bardzo starannie ważymy wszystkie za i przeciw.

Analizujemy także wyniki pomocy. Jeśli skądś otrzymujemy kolejny wniosek o pomoc, to najpierw sprawdzamy, jak wykorzystano poprzednią. Bywa np. tak, że struktura otrzymała pomoc na rozwój poligrafii, a okazało się, że lekkomyślnie zużyła ją na zapomogi, ponieważ było to po prostu łatwiejsze, aniżeli dotarcie do właściwego ośrodka charytatywnego. W takim przypadku dalszej pomocy odmawiamy. Naszą zasadą jest pomaganie tym strukturom, które wykazują tendencje rozwojowe. Dla wyjaśnienia dodam, że z indywidualną pomocą spieszymy ludziom tylko w wyjątkowych sytuacjach. Niestety, wciąż jest ich niemało. Są to najczęściej trzy rodzaje przypadków: 1) jeśli pomoc taka potrzebna jest natychmiast jako ratunkowa i nie ma czasu na uzyskanie jej z odpowiedniego źródła; 2) jeśli potrzebna jest dla osób, których tożsamości nie możemy ujawnić lub nie chcemy na nie zwracać uwagi ze względu na pracę w podziemiu; 3) jeśli jest potrzebna dla osób, które mimo szczególnie ciężkiej sytuacji nie chcą korzystać z pomocy, a my mamy swoje sposoby na to, aby została przyjęta. W pozostałych przypadkach staramy się doprowadzić do tego, aby potrzebujący pomocy zostali wzięci pod opiekę albo przez związkowe struktury macierzystych zakładów pracy, albo przez ośrodki pomocy charytatywnej. Pomaganie bezpośrednio wszystkim, o których będzie dowiadujemy się, po prostu przekracza nasze możliwości.

Wreszcie sytuację, w których nie jesteśmy w stanie zrealizować zamówień. Wciąż cierpimy na chroniczny niedobór sprzętu. Właśnie ostatnio jedna z dobrze ci znanych oficyn wydawniczych, zasługująca na pełne uznanie, przypomniała zeszłoroczną prośbę o offset, który zresztą jej wtedy obiecaliśmy. Cóż z tego, skoro tych offsetów wciąż nam brakuje i znowu musimy z prawdziwą przykrością odmówić. Także ostatnio odmówiliśmy pewnej wielce dla nas ważnej strukturze wyposażenia jej w sprzęt specjalistyczny, który znakomicie zwiększyłby jej sprawność. Zakupienie tego sprzętu równałoby się całkowitemu zaprzestaniu pomocy dla wszelkich innych struktur na dobrych parę lat, co oznaczałoby koniec ich egzystencji.

W rozmiarach udzielanej pomocy jesteśmy powściągliwi z jeszcze innych powodów. Wiemy np., że udzielanie wysokich dotacji oficynom wydawniczym powoduje przepłacanie przez nie zakupów papieru, co podbija jego cenę i natychmiast zwiększa wydatki innych wydawnictw, stanowiąc poważne zagrożenie dla najsłabszych. Wysokie dotacje dla mniejszych ośrodków prowadzą do

wzrostu produkcji szybszego, aniżeli rozwój sieci kolportażu i zwiększanie się liczby odbiorców. To staje się przyczyną strat i zmusza do następnych dotacji. Bywa także inaczej — wysoka dotacja, zamiast do uruchomienia własnej produkcji, prowadzi do znacznie łatwiejszego importu z innych ośrodków, zmniejszając tam dodatkowo i tak wysoce niewystarczającą podaż i drenując tam lokalny rynek z niezależnych wydawnictw. Dofinansowania przyznawane bez wymagania preliminarza bywały pochopnie wydatkowane na pomoc charytatywną, która — jak mówiłem — mogła być uzyskana z innych źródeł. Bywa, że np. offsetu domagają się struktury, którym ze względu na niewielkie nakłady wystarczy powielacz. Poza tym przedstawienie niezbyt rozbudowanego i niezbyt doświadczonego wydawnictwa na druk offsetowy stanowi poważne zagrożenie dla niego samego. Zlikwidowanie jedynej drukarni może oznaczać koniec wydawnictwa. Offsety zdają egzamin w tych oficynach wydawniczych, w których dodatkowo stale pracuje kilka mniejszych drukarni powielaczowych i sitowych. Wtedy strata offsetu — podobnie jak innej drukarni — powoduje tylko zmniejszenie nakładów lub wydłużenie cyklu wydawniczego, ale samo wydawnictwo egzystuje nadal i może odrobić straty.

Nasze odmowy i powściągliwość w zaspokajaniu życzeń często dają asumpt do posądzenia o skąpstwo albo nawet niechęć do pomagania takiej czy innej strukturze, ale na to już nie ma rady.

K.N.: — Zazwyczaj chodzi tu nie o wasze sprawy, lecz o potrzeby i problemy innych firm i ludzi, czasem prywatnych. Czy tak jest tylko w naszym, KKN, przypadku?

W.K.: — Cóż tu jest naszą, a co nie naszą sprawą? Wspólną sprawą nas wszystkich jest Solidarność przez duże S, a tej przecież nie ma bez solidarności przez małe s. Właśnie siedzę, jak to się mawia, nad bilansem RKW Mazowsze za rok 1985 i doliczyłem się, że pomoc związkowym strukturom z naszego Regionu wyniosła 16 % (w roku poprzednim 11 %) całości wydatków. Na pomoc dla Związku w innych regionach wydaliśmy 14,8 % (w roku poprzednim 29,3 %). Niezależne struktury niezwiązkowe otrzymały 18,1 % (w roku poprzednim 11,1 %). Indywidualna pomoc dla osób z różnych stron kraju pochłonęła 15,5 % (w roku poprzednim 24,3 %). Jak widzisz, 64,4 % (w roku poprzednim 75,7 %) całego budżetu przeznaczyliśmy na sprawy, które według twojego rozróżnienia może należałoby zakwalifikować jako nie nasze. Wydaje mi się, że jednak i mimo wszystko są to wspólne sprawy nas wszystkich. Zresztą chyba nie z innego, jak właśnie z tego powodu OKN-o przyjmuje na siebie wydatki, jakie mu przekazujemy.

Mówiąc o podejmowaniu tych nad miarę licznych i różnorodnych spraw, z jakimi zwracają się do nas przeróżne struktury i osoby, istotnie jest tak, że niekiedy klniemy pod nosem i między nami, ale z zupełnie innych powodów. Często napływają do nas sprawy, które mogłyby zostać rozwiązane i bez naszej pomocy lub skierowane pod inny adres. Oto niedawny przykład. Jedna ze struktur zwróciła się do nas z wnioskiem o przyznanie stypendium osobie dosyć znanej i — jak sądzę — mogącej łatwo znaleźć drogę do odpowiedniego niezależnego komitetu. Przy tym ani działalność tej osoby, ani problematyka, jaką się zajmuje, nie mają nic wspólnego z pośredniczącą strukturą. Oczywiście przekazaliśmy sprawę, gdzie należy. W odpowiedzi nadeszła prośba o adres kandydata na stypendystę. Nie mówiąc już o tym, że ze względów oczywistych unikamy jak ognia posiadania nazwisk i adresów, taka droga trwa parę tygodni i wymaga pośredniczenia kilku osób, podczas gdy odnalezienie adresu kogoś o akurat tym nazwisku ograniczyłoby się dla działacza nieukrywającego się do przepytania paru przyjaciół ewentualnie znajomych. Nagminnie otrzymujemy od różnych struktur wnioski o dotacje, pożyczki lub inną pomoc finansową bez podania nawet wysokości sumy, nie mówiąc już o przeznaczeniu, preliminarzu czy kosztorysie, choćby najbardziej ogólnym. Nagminnie otrzymujemy wnioski o udzielenie pomocy finansowej poszczególnym osobom lub grupom osób bez dodatkowych danych i wyjaśnień. Gdybyśmy nawet chcieli cokolwiek zrobić w tych sprawach, to nie możemy bez żmudnego dochodzenia do potrzebnych informacji.

W podziemiu spieszenie z pomocą w przypadkach nieraz daleko wychodzących poza kompetencje jest czymś normalnym i naturalnym. Jeśli ktokolwiek nawiąże już łączność z którąś ze struktur niezależnych — ta zawsze stara się pomóc tak czy inaczej. Tu znowu przykład zgoła księżycowy i sam nie uwierzyłbym, gdyby nie spotkał właśnie mnie. Jeszcze w okresie stanu wojennego komuś zupełnie nie posiadającemu możliwości nawiązania łączności z nami bardzo zależało na tym, aby przekazać mi pewne wiadomości. Pomysł był tak prosty, że aż naiwny, by nie mówić o jego ryzykowności. Rzecz została przekazana osobie publicznej, która sama nie wiedząc, co z tym począć, ogłosiła sprawę na raczej liczonym zgromadzeniu, prosząc o pomoc. Wkrótce i dyskretnie pojawiła się osoba dostatecznie znana ogłaszającemu, ofiarując swoje usługi. Za pośrednictwem długiego łańcuszka osób wiadomość wreszcie do mnie dotarła wraz z załączonym... słoikiem konfitur. Dopiero teraz, przy okazji, dziękuję wszystkim biorącym w tym udział osobom, bowiem sam odnaleźć tej nitki w kierunku powrotnym nie zdołałem.

I powiedz tu sam, jak dzielić sprawy na nasze, wasze, lub jeszcze czyjeś inne?

K.N.: — *Z naszego punktu widzenia wyglądacie jak największa podziemna instytucja pomocy i łączności. Czy tak też widzicie swoją rolę?*

W.K.: — Już o tym mówiłem. Tak. Między innymi i taką rolę spełniamy i sądzę, że jest ona bardzo ważna. Zwracając się do nas ludzie mają poczucie, że zwracają się do osób, do znanych im osób, a nie do anonimowych instytucji. To jest dla tych ludzi ważne. Nie są sami. Stanowią wspólnotę, której ogniwem łączącym jesteśmy my, konkretne, żywe osoby. Ludzie wiedzą, do kogo mają się zwrócić, do kogo mogą się zwrócić i po prostu chcą zwracać się właśnie do nas. Jest to sprawa ważna, istotna dla obu stron — i dla zwracających się i dla nas, a także — może przede wszystkim nawet — dla całości społeczeństwa podziemnego.

K.N.: — *Czy pomoc i łączność to nie podstawa więzi międzyludzkich, dających poczucie niezależności — a więc czy to nie to, czego komunistyczne państwo najbardziej chce nas pozbawić?*

W.K.: — Podstaw więzi międzyludzkich upatruję w poszanowaniu podmiotowości, zaufaniu i przychylności. Komunizm zrywa te więzi, uprzedmiotowiając, zaszczepiając podejrzliwość i zobojętniając człowieka, a wszystko to na skalę chyba bez precedensu. Powstanie i istnienie społeczeństwa podziemnego stało się możliwe dzięki odnowieniu właśnie tych czynników, które leżą u podstaw więzi międzyludzkich, przez ideę Solidarności. Hierarchizm jest przewyciężony przez partnerstwo, podziały ustępują przed wspólnotą, nad prywatą bierze górę wspólne dobro. Gdzieś na tych obszarach odrodziła się wewnętrzna, oczywista potrzeba i powinność przychodzenia innym z pomocą, pozostawiania w łączności z innymi, współdziałania z innymi. To z kolei zmniejsza uczucie osamotnienia, bezsilności i uzależnienia od reżimu.

W „Doświadczeniu polskim” Bohdan Cywiński tak napisał o idei Solidarności: „W toku polskiego doświadczenia narodowego została sformułowana idea Solidarności, jako propozycja drogi życia zbiorowego. Solidarność — to aktywna, świadoma i ofiarna życzliwość wobec drugiego człowieka, świadczona przede wszystkim w chwili próby, w czasie zagrożenia wspólnego dobra”. Taką Solidarność obserwuję jako codzienną i powszechną praktykę uczestników ruchu Solidarności, obserwuję ją w funkcjonowaniu rozlicznych jego struktur. Taka Solidarność stała się sposobem bycia w społeczeństwie podziemnym, niejako „weszła w krew”, stała się naturalnym i oczywistym obowiązkiem spełnianym od razu, spontanicznie, a jednocześnie ze zrozumieniem jej zna-

czenia, stała się naczelną zasadą niepisanego prawa podziemia. Etos Solidarności jest odziedziczonym po KSS KOR etosem wspólnoty i pomocy. Wszystko to sprawia, że fundament, na jakim budujemy społeczeństwo podziemne jest dynamitem dla fundamentów komunizmu. M.in. i dlatego nie wierzę w porozumienia i dialogi. Tu naprawdę jest albo-albo, tyle, że rozłożone na raty.

K.N.: — *Konkretnie: według waszej wiedzy — czy opór społeczny, zwłaszcza gdy nie chodzi o rutynowanych konspiratorów, o opozycyjne środowiska z doświadczeniem i tradycjami — bez was nie byłby znacznie bardziej narazony na obumieranie, rozproszenie?*

W.K.: — Zmieniałem zdanie na ten temat parokrotnie. Początkowo zupełnie nie doceniałem naszej roli, bowiem nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak wielu ludzi i jak dalece potrzebuje podtrzymania na duchu, iskry nadziei, że nie wszystko stracone, a wreszcie i znaku, że przeciwnikowi nie wszystko się udało. Okazało się, iż to, że 13 grudnia wymknęliśmy się z sieci i zaczęliśmy działać, na jakiś czas zaspokoilo ludzkie oczekiwania. Później wydawało mi się, że najważniejsze jest za nami. Zostały położone podwaliny społeczeństwa podziemnego, złożonego z licznych, niezależnych struktur, które dalej potrafią sobie radzić same. Przyznam, że m.in. także i wzgląd na perspektywę wyeliminowania nas z podziemia skłaniał mnie do kładzenia dużego nacisku na pluralizm i samodzielność struktur niezależnych. Uważam, że całościowo sytuacja nie sprzyja zawieszaniu wszystkiego na jednym haku, bowiem zbyt wiele zależy wówczas od jakości samego haka, jak i od tego, kto zechce go wyrwać.

Obecnie, kiedy społeczeństwo podziemne rozwija się dalej, widzę, że nie wziąłem pod uwagę tego, iż otrzymamy nowe role. Jako największy ośrodek łączności i pomocy — jak sam to nazwał — niewątpliwie usprawniamy funkcjonowanie tego społeczeństwa. Jako jego reprezentacja odgrywamy znaczną rolę w sytuacjach wymagających wspólnych akcji ogólnokrajowych, w utrzymywaniu stosunków z zagranicą, a wreszcie i w niektórych sprawach mniejszej wagi. Nie lekceważę wreszcie (po wcześniejszych doświadczeniach) efektu psychologicznego naszego trwania i działania, choć pragnąłbym, aby jego znaczenie było jak najmniejsze. Osoby działające w różnych strukturach mówią nam nieraz — „gdybyście mieli wpaść, to lepiej nic nie róbcie, tylko bądźcie. To nam wystarczy. Robotę będziemy pchać do przodu sami”. Rozumiem to, choć — jak powiedziałem — nie widzę w tym powodu do zadowolenia. Niewątpliwie źle jest ze świadomością, że ktoś jakąś tam pieczę nad całością ma, w dodatku ktoś, kogo się zna, kogo obecność odczuwa się, kto jest blisko wśród nas

i z nami. Źle jest także — zastrzegam, że mówię to bez wyrzutu — ze świadomością, iż ktoś inny podejmuje może większe ryzyko, że na kimś innym spoczywa może większa odpowiedzialność, że komuś pracującemu razem ze mną jest może jeszcze trudniej. Taka sytuacja niewątpliwie integruje, umacnia, zobowiązuje.

Przykładu, jak niemałe jest tego znaczenie, dostarczył region Śląsko-Dąbrowski. Długo nie mógł zmobilizować się na większą skalę i naprawdę ruszył dopiero wówczas, kiedy w osobie Tadka Jedynaka uzyskał podziemnego przywódcę znanego ludziom, żyjącego z nimi. Kiedy później go uwięziono, stało się to, do czego poprzednio nie mogło dojść przez trzy lata — region ten dał nowego, znanego z imienia i nazwiska podziemnego przywódcę.

Rozumiem, jak duże znaczenie ma ten efekt psychologiczny, bowiem sam mu podlegam. Myśląc o Zbyszku Bujaku, nieraz klęę go pod nosem (i nie tylko) za ryzykanctwo, m.in. i z takiego oto powodu, że zwyczajnie lepiej się czuję, kiedy on jest. Mówię podobnie, jak inni mówią o nas — „lepiej, cholero, abyś mniej robił i był, aniżeli więcej zrobił i wpadł”. Właśnie dlatego, że — niestety — nie możemy efektu tego zlekceważyć, tak duże znaczenie przywiązuję do przygotowania poszczególnych osób i całych struktur na chwilę, w której może nas zabraknąć. Wtedy trzeba będzie pokonać nie tylko zwiększone utrudnienia w łączności, w zdobywaniu środków niezbędnych do prowadzenia dalszych działań, we współpracy z zagranicą, ale może również pokonać trzeba będzie brak owego efektu psychologicznego.

Jeśli w takiej sytuacji całe społeczeństwo podziemne i wiele z jego struktur potrafi te trudności pokonać oraz potrafi być samo sobie „żeglarzem, sterem i okrętem”, patrząc bardziej przed siebie, niż oglądając się za siebie — będzie to oznaczało, że nie najgorzej wywiązaliśmy się z naszych zadań. Ale ten egzamin wciąż jest jeszcze przed nami.

KULTURA NIEZALEŻNA, Nr 12

Warszawa, luty 1986

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 5 czerwca 1986

Zmarły ostatnio wybitny polityk włoski Altiero Spinelli, w okresie faszyzmu skazany na dziesięć lat więzienia i sześć zesłania (odsiedział cały wyrok), opisuje w swoim pamiętniku epizod, który zrobił na mnie duże wrażenie.

Ten wydobyty z odległej przeszłości epizod poprzedzony jest w książce memorialistycznym „zapłonem”. W lipcu 1953 Spinelli widział w Paryżu, na placu przed Notre-Dame, *Vrai Mystère de la Passion*, stare misterium Grébanu przełożone na współczesny francuski. Było to dla niego, człowieka niewierzącego, działacza lewicy (początkowo nawet komunistycznej), widowisko przejmujące. Wołanie Marii do Jezusa aby z nią pozostał, wyrzekając się swojej misji i uchodząc śmierci, modlitwa Jezusa o odwrócenie kielicha goryczy, akceptacja woli Ojca: gdy patrzył na te sceny misterium, odżyło w nim wspomnienie sprzed wielu lat.

W sierpniu 1929 miał dwadzieścia dwa lata, odsiadywał drugi rok więzienia. Dowiedział się właśnie, że jego towarzysz więzienia podpisał prośbę o łaskę i został zwolniony. Wiadomość wtrąciła go w stan „istnej męczarni”. A więc wyjście z więzienia zależało tylko od jego gestu! Sam w celi, rozmyślał o swoim losie. Zdawał sobie już sprawę, że jeśli się nie ugnie, będzie musiał odsiedzieć cały wyrok. Rodzice i przyjaciółka nakłaniali go do ugięcia się. Bronił się przed tym wiernością przekonaniom, poczuciem honoru, solidarnością z innymi więźniami. Czuł jednak „abstrakcyjność” tych argumentów. Chodziło o wybór zasadniczy: „normalne życie dla życia”, czy „życie w imię jakichś wyż-

szych celów”. I rozumiał wtedy, że w gruncie rzeczy wybór w ogóle nie istniał, jeśli należało się do ludzi dla których w każdym razie „musiała być spełniona wola Ojca”. Znikła „męczarnia”, z uśmiechem pomyślał o „retorycznych motywach” antyfaszyzmu, honoru, solidarności, obowiązku moralnego. Uprzytomnił sobie, że kamień z którego jest wykuty ma większą moc, niż bijące weń fale. „Jak pan Jourdain mówił prozą nie wiedząc o tym, tak ja, nie chrześcijanin, zdobyłem się na *imitatio Christi* nie wiedząc o tym, gdyż Jezus także nie wybrał między drogą krzyża i drogą matki, lecz pozwolił tylko by uderzyła w niego fala strachu, chęci życia, po czym zaakceptował wolę Ojca; reszta dokonała się sama”.

7 czerwca

Wywiad z Geremkiem w *Giornale* po aresztowaniu Bujaka. Uderzyła mnie jego odpowiedź na pytanie dziennikarza o prestiż Wałęsy: „Prestiż Wałęsy pozostaje ogromny. Ale młode pokolenie ma może mniej zaufania do niego niż pokolenia starsze, sądzi bowiem że strategia nieuciekania się do siły (*strategia non violenta*) i dążenie do kompromisu między reżymem komunistycznym i opozycją społeczną nie zdały egzaminu. Gorycz prowadzi wielu do wniosku, że linia Wałęsy okazała się błędna. Jeśli można i należy mówić o jego zmierzchu, to bardziej jako o problemie jutra niż dnia dzisiejszego”.

Odpowiedź Geremka wydaje mi się bardzo ważna. Wie się sporo o orientacjach, których rzecznicy są nader ruchliwi, często piórem lub ustnie formułują swoje poglądy; mało o białej plamie na mapie oporu, o młodym pokoleniu właśnie. Geremek, ostatecznie współtwórca dzisiejszej „linii Wałęsy”, posunął się tu dość daleko w przewidywaniu „jutra”. Nie drgnęła dotąd ani razu zasada władzy: „Chcecie rozmawiać? Proszę bardzo, ale wyłącznie z pozycji kłęczącej!”. Młot dialogu (podsypany obrazem wielkiego ołówka z podobizną Papieża) obrodził, prócz głównej „linii Wałęsy”, ambitnymi mędrkami lubującymi się w pustych samookreśleniach: „neorealistów”, zwolenników „kolaboracji rozumnej” (pasztet z generalskiego konia kolaboracji i płochliwego zajączka rozumu) etc. I oto odsłania się obszar nieznany, zaludniony przez młodych ludzi, którzy wyciągnęli naukę z dotychczasowej strategii. Ktoś powie: naukę prowadzącą prosto do zderzenia. Wcale nieprawda. Naukę wytrwałości i twardości w oporze. Jedno tylko może skłonić władzę do ustępstw: rosnący duch nieustępliwości po przeciwnej stronie. Wszystko inne jest rozmienianiem na drobne, na żebracze miedziaki, skarbu Solidarności.

16 czerwca

Z wielkiej wystawy Leonor Fini w Muzeum Luksemburskim wynosi się pełny obraz jej malarstwa nie w sensie uporządkowania różnych „okresów”, „stylów”, „manier”, lecz dzięki równoczesnej obecności i ustawicznemu przeplataniu się jej dwóch spojrzeń malarskich; pierwsze mam ochotę nazwać „jasnym”, drugie „ciemnym”.

Spojrzenie „jasne” ciągnie soki z baśni i mitów, odbić sennych i zaklęć magicznych, przenika swobodnie do świata mineralnego, roślinnego, zwierzęcego (przede wszystkim kociego), ludzi chętnie drapuje, teatralizuje, przyodziewa w kostiumy lub obnaża aż do anatomizacji: słowem, wystrzegając się surrealistycznego kuglarstwa, uprawia poetycką grę z własnym, widzialnym i niewidzialnym, wszechświatem.

Spojrzenie „ciemne” znajduje swój wyraz w *Podróży bez zakotwiczeń*, płótnie namalowanym ostatnio. Jest to podróż poza granice wyobraźni, ku łądom nieznanym i które muszą pozostać nieznanymi. Malarstwo Leonor Fini wkracza tu w inny wymiar, ale nie odrywa się od spojrzenia „jasnego”. W „zaciemnieniu” połyskuje z daleka dawne światło, gra poetycka dojrzewa wolno i w sposób naturalny do tajemniczego rytuału. Jak w *Pamięci fragmentów minionych*, która mnie zachwyciła dwa lata temu.

19 czerwca

W porze obiadowej przerzedził się tłum na wystawie Holendrów, można było nareszcie zobaczyć bez większych przeszkód *Widok Delft* Vermeera. Chwila dla mnie prawie uroczysta: po raz pierwszy oryginał, a nie lepsze czy gorsze reprodukcje. Stałem długo jak zaczarowany. Potem, krążąc po salach, wracałem ciągle na to samo miejsce.

Proust w szkicu o malarstwie Chardina wspomina z pobłażliwym uśmiechem pretensje malarzy do literatów piszących o malarstwie. Chardin (powiada Proust) byłby bardzo zdziwiony, przeczytawszy co o nim napisałem; ale położnica byłaby także zdziwiona, wysłuchawszy z ust ginekologa co się w jej organizmie odbyło przed urodzeniem dziecka. Chybione, delikatnie mówiąc, porównanie. Bo malarze mają często prawo wzruszać ramionami i spode łba patrzeć na literatów, popisujących się rzekomą znajomością procesu „ginekologicznego”, który prowadzi do narodzin obrazu. Uchowaj nas Panie Boże od literackich koneserów, którym żółty skrawek muru w *Widoku Delft* starczy za całe płótno Vermeera...

Widok Delft określił ktoś jako „martwą naturę miasta”. Chodziło mu pewnie o drażnienie martwego przedmiotu w poszukiwaniu jego istoty, żywej duszy. O połączenie precyzji kaligraficznej z abstrakcją wyobrażenia idealnego. O uchwycenie i powstrzymanie na zawsze tego jedyne go krótkiego momentu, jaki pozwala ujrzeć przebudzenie życia w materii nieożywionej.

Czym jest Delft w oczach Vermeera? Miastem rzeczywistym, odtworzonym niemal fotograficznie, z miłością do szczegółu. Miastem śniącym, między niebem i wodą, sen o sobie. Miastem konkretnym, rozpoznawalnym przez jego mieszkańców. I miastem trans-realnym jakby, malarską ideą miasta które należy do wszystkich. Vermeer wydestylował z matowej powszedniości czystą postać wieczności.

Robił to i w innych obrazach — w portretach, w scenach domowych — ale nigdzie może z tak wspianą świadomością, że światło i kolor zdolne są utrwalić przemijające, tchnąć niezniszczalną lekkość w ciężkie i kruche rzeczy ziemskie, uniesmiertelnic śmiertelne.

Neapol, 7 lipca

Interesowało mnie niegdyś bardzo (czego ślad można znaleźć w dzienniku w roku 1976) zniknięcie Majorany, młodego i genialnego podobno fizyka włoskiego, noblisty *in pectore*, który w roku 1938 wsiadł w Neapolu na statek do Palermo i przepadł bez wieści. Popenił samobójstwo, wiedząc ku czemu mogą prowadzić jego i jego kolegów odkrycia? Wstąpił, jako człowiek głęboko religijny, do klasztoru o surowej klauzurze? Uciekł od życia, czy tylko od świata? To drugie sugerowała książeczka Leonardo Sciascia *La scomparsa di Majorana*.

Ksiądz N.N., emerytowany profesor matematyki, przyjaciel Majorany z czasów wspólnych studiów uniwersyteckich, jest odmiennego zdania.

— Ja także (mówi głosem tłumionym przez lekką zadyszkę) długo myślałem o ucieczce Majorany do klasztoru. Dziś sądzę, że odebrał sobie życie.

Niewielkiego wzrostu, mizerny, siwy jak gołąb, w sfatygowanej mocno sutannie, ma zakorzeniony zdaje się odruch unikania wzroku rozmówcy. Jego oczy o dziwnym wyrazie łagodności skrzyżowanej ze zniecierpliwieniem, a raczej z jakimś nieokreślonym żalem, uskakują ciągle na boki i w górę.

— Dlaczego ksiądz tak sądzi?

Na sekundę wzrok nieruchomieje i otwierają się splecione na piersiach dłonie.

— Dowodów nie mam, po tylu latach nikt ich już mieć nie

może. Bóg jeden wie jak było naprawdę. Ale powiedzmy, że kieruję się intuicją.

Długie milczenie

— Intuicją i pamięcią. Miałem na studiach, prócz Majorany, dwóch przyjaciół, nieprzeciętnie uzdolnionych matematyków. Obaj prześcigali mnie — mnie, który byłem wtedy świeżo wyświęconym księdzem — swoją religijnością. I obaj odebrali sobie życie, jeden tuż przed ukończeniem studiów, drugi zaraz po.

— Czyżby należało z tego wyciągnąć wnioski...

— Nie, nie. Nie należy wyciągać żadnych pochopnych wniosków, należy pamiętać, chociaż pamięć bywa często naszym piekłem. Taki grzech, taki ciężki grzech jak samobójstwo, jest sekretem między Bogiem i grzesznikiem. A jednak widać czasem rąbek, maleńki rąbek, sekretu...

Jeszcze dłuższe milczenie. Dostrzegł znak zapytania w moich oczach? Jeżeli dostrzegł, to udał że go nie widzi.

— Byłem wstrząśnięty wiadomością o zniknięciu Majorany, dlatego chyba uciepiłem się i latami trzymałem tej ucieczki do klasztoru. Ale jestem za stary na szukanie byle jakiej pociechy. Bogu dziękuję, że na starość zwrócił mi względną pogodę ducha, która jest po prostu owocem zmęczenia.

Wyszliśmy razem z jego mieszkania, pożegnaliśmy się na *Piazza Gesù*. W samo południe, u szczytu upału, kołowało się barokowo dokoła barokowej kolumny. Barokowe jest w tym mieście wszystko, barokowe czyli oplątane nadmiarem.

11 lipca

Fragment (podstuchany) monologu Diabła.

— Znaczna część mojej siły tkwi w tandecie wyobrażeń o mnie. Nawet wśród moich wybitnych „tropicieli”. Pokładałem się ze śmiechu, pokwikałem z uciechy, słuchając co miał o mnie do powiedzenia Paweł VI w swoim tyleż niespodzianym co głośnym wybuchu, w anatemie uwitej ze słów, słów, słów. To wielki współczesny Papież. A wielki współczesny Pisarz? Niesmakiem i pogardą przejmowała mnie kiczowatość moich interwencji w *Doktorze Faustusie*. Mój Boże (?!), ta nieszczęsna prostytutka Esmeralda, która zatruwa genialnego Adriana Leverkühna! Ta skomplikowana machinacja melodramatyczna oświadczyń Adriana za pośrednictwem przyjaciela, zakończona odmową oblubienicy, wiarołomstwem przyjaciela i strzałem porzuconej kochanki w tramwaju! Czyż doprawdy duchowi przewodnicy ludzkości nie potrafią na mój temat wymyślić czegoś poważniejszego, bardziej stosownego do mojej rangi i bliższego mojej potędze? Nade wszystko

zaś: czy nie pojmują, że to ja właśnie dla zabawy wstępuję w nich cichaczem, gdy w pościg za mną puszczają się przy pomocy pustych wyzwisk lub cikliwych historyjek z romansów brukowych? Jestem zawsze tam, gdzie na oko mnie nie ma. Nie ma mnie nigdy tam, gdzie na oko jestem. Takie to trudne do zrozumienia? Żądam należnego mi szacunku, żądam walki równego z równym, a nie podjazdowych i niezdarnych wycieczek przeciw mnie, możnemu Księciu Ciemności...

Capri, 20 lipca

Gwałtowna burza nocna przeszła nad Capri, w świetle błyskawic i w trzasku piorunów wyspa odstoniła się lepiej jako Wyspa, czyli zamknięty, drobny odprysk świata. Teraz, gdy burza odpłynęła i daje o sobie znać tylko słabymi, pożegnalnymi błyskami i pomrukami, bezchmurne niebo uniosło się wysoko do góry. Na nim czerwony księżyc, *luna rossa*, otwór w kopule nasycony odblaskiem ukrytej łuny po tamtej stronie nieba. Znieruchomiełej nocy, dusznej i aksamitnej, nie zakłóca nawet szczekanie psów.

Ktokolwiek pisze o Capri (sam robiłem to kilkakrotnie), musi zamierzać historię Wyspy jako „zamkniętego odprysku świata” rozciąć między trzema rozdziałami: Tyberiusz, Błogosławiona Siostra Serafina Boża, Certosa. I po namyśle zauważy może, że łączy te rozdziały podskórna nić. Jest prawdopodobne, że na Capri czytał Tyberiusz raport Poncjusza Piłata o procesie i ukrzyżowaniu Chrystusa. Błogosławiona Siostra Serafina Boża, Capryjka rodem z Neapolu, siedemnastowieczna karmelitanka o niezwykłym darze organizacyjnym, była namiętną i zazdrosną kochanką Chrystusa; uprzytomniłem to sobie wczoraj, czytając w capryjskiej bibliotece szkic Normana Douglasa o niej, z fragmentami jej „listów do Chrystusa” i konkluzją autora, że *her very chastity became a form of voluptuousness*. Certosa wreszcie, która w roku 1656 postawiła dramatycznie dylemat prawdziwego powołania Kościoła: potężnej instytucji czy współuczestnika ludzkich nieszczęść i cierpień.

O Tyberiuszu nie warto więcej. Zniesławiony, „opluskwiony” przez Swetoniusza i Tacyta, został w naszej epoce „pośmiertnie zrehabilitowany”. Specjalna tablica na Capri wyraża za to wdzięczność historykowi amerykańskiemu nazwiskiem Thomas Spencer Jerome, który w swych działach „przywrócił Imperatorowi honor i cześć”, pokazał kim rzeczywiście był *princeps optimus*, przez wieki uważany błędnie za półobłąkanego okrutnika i rozpustnika. Co najwyżej wolno podejrzewać, że władca rozumny i doskonały oddawał się niekiedy z nudów (spędził na Capri jedenaście lat) osobliwym starczym praktykom erotycznym, zada-

jąc kłam potocznemu mniemaniu że władza nudzi jedynie tych co jej nie posiadają.

Warto byłoby natomiast o mniej znanej potomnym Serafinie Bożej, gdyby dostępny był pełny zestaw jej „listów do Chrystusa”. Postać na pewno fascynująca, oczekująca wielkiego portrecisty, zasługująca na więcej niż rysunek Douglasa. Nic dziwnego, że jej „listy do Chrystusa”, rozdygotane od pasji miłosnej (nie zanadto zresztą wysublimowanej), zaalarmowały w końcu Inkwizytorów i kosztowały ją dwa lata śledczej ciemnicy. Wyszła na światło dzienne oczyszczona, ale nie przestała zwracać się w swoich listach do Boskiego Kochanka per *Bello mio!*, powtarzać z żarem w głosie *amami, kochami*, kochaj mnie, kochaj mnie, i zapewniać: „Jeżeli jestem szpetna, Twoje spojrzenie uczyni mnie piękną”.

Pozostaje rozdział trzeci: Certosa. Zająłem się nią już kiedyś dość obszernie w opowiadaniu *Pietà dell'Isola*, dostosowując jednak jej dzieje do literackich celów tworu wyobraźni, ze szkodą dla współczesnej wymowy i chyba aktualności wydarzeń z roku 1656. Chcę to dzisiaj nadrobić krótko w moim dzienniku.

Dżuma przywleczonej w owym roku z Neapolu wykosiła połowę ludności Capri. Gdy wzrastał z dnia na dzień pomór, przeor Certosy kazał ją zamienić w zamek warowny, odgradzony od mieszkańców Wyspy wysokimi murami. W imię „bezpiecznego przetrwania naszej instytucji do lepszych, z woli Boga, czasów”. O „przetrwaniu” za to nie myślał i na „lepsze czasy” nie czekał biskup capryjski. Wraz z podległym mu klerem niósł pomoc chorym i umierającym w bohaterski zaiste sposób. Związły zapis kronikarski zawiera wszystko, co o tym konflikcie wiedzieć należy: „Podczas owych strasznych dni zarazy kartuzianie zamknęli się w klasztorze i nie ofiarowali ludności żadnej pomocy. Ludność zaś Capri, aby ich ukarać, wrzucała trupy zadżumionych za mury Certosy. Biskup capryjski, straciwszy cały podległy mu kler (wymarli bowiem, spiesząc zawsze i wszędzie z religijną posługą, wszyscy księża), zwrócił się do przeora Certosy nie z prośbą już, lecz z kategorycznym żądaniem. Dopiero wówczas przeor wysłał za mury dwóch młodych zakonników. Dżuma miała się wtedy ku końcowi”. Po jej ostatecznym wygaśnięciu, jak pisze kronikarz, „kartuzianie potrafili wykorzystać sytuację i weszli w posiadanie licznych terenów, które były własnością zadżumionych; nabytki te, łącznie z poprzednim stanem posiadania, dały Certosie status prawie wyłącznego właściciela Wyspy”.

22 lipca

Z wysoka, z Parku Augusta, Certosa wygląda dziś jak ogromny, zaskorupały, kamienny wrzód. Wystarczy odwrócić się w

przeciętną stronę, by zobaczyć świeży pomnik Lenina monstrualnej brzydoty. Urządzono pod nim, na płycie, miniaturowy Luna-Park dla dzieci. Z Leninem, obok uliczki Kruppa (zbudowanej przez niego w prezencie dla Wyspy), wkraczamy w początek naszego stulecia.

Sąsiedztwo Lenin-Krupp ma posmak symbolicznego skrótu. Dokoła tej historycznej osi wirował światek artystów, autentycznych i samozwańczych, malarskich szarlatanów i prawdziwych sentymentalnych poszukiwaczy rajy ziemskiego, homoseksualistów lub nie. Axel Munthe podyktował Wyspie z Anacapri styl romantycznego bałwochwaltwa Natury i połowu archeologicznych okruchów w morzu.

Krupp odebrał sobie życie, szarpany przez niemieckie i włoskie gazety socjalistyczne za upodobanie do chłopców, rzeczywiste czy rzekome. W legendzie wyznaczono mu rolę raczej dwudziesto-wiecznego Tyberiusza capryjskiego, niż nowoczesnego rekina kapitalistycznego na częstych wywczasach w kraju *wo die Zitronen blühen*.

Przyszły wódz rewolucji odwiedził Capri dwukrotnie, w latach 1908 i 1910 (po raz drugi przyjechał z Neapolu statkiem, którego pasażerem był również Rilke), jako gość „zwiastuna burzy” Gorkiego, stałego rezydenta Wyspy. Zamożny „zwiastun burzy” żył wystawnie z honorariów zagranicznych u boku aktorki Andrejowej, mając dodatkowo na utrzymaniu sporą gromadkę rewolucyjnych rodaków, skupionych w „szkole partyjnej”. Lenin pofatygował się dwukrotnie na Capri w dwóch, ściśle ze sobą związanych, celach. Przeczytałwszy *Matkę*, uznał Gorkiego za pisarza „dość użytecznego” i postanowił roztoczyć opiekę nad jego zbłąkaną duszą. Zorientowawszy się zaś, jak dalece „szkoła partyjna” skażona jest domieszkami *bogoiskatielstwa* Gorkiego i *bogostroi-tielstwa* Bogdanowa i Łunaczarskiego, wydał jej bezwzględna walkę. Powiodło mu się i jedno i drugie, choć częściowo tylko. Gorki zakochał się co prawda w jego „geniuszu rewolucyjnym”, ale był w ogóle w miłości niestały, zakochiwał się i odkochiwał łatwo, zależnie od okoliczności. „Szkoła partyjna” wyszła co prawda z inspekcji Wizytatora z nadłamanymi skrzydłami, ale nie spadła natychmiast na twardą ziemię, szybowała jeszcze z uporem jakiś czas w podejrzanych przestworzach ideologicznych.

Zachowała się zabawna fotografia capryjska z roku 1908. Na tarasie Willi Lenin w meloniku i bez brody rozgrywa partię szachów z Bogdanowem. Przyglądają jej się Gorki i Łunaczarski. Lenin jest ironicznie uśmiechnięty, Bogdanow zamyślony przed swoim kolejnym ruchem. Partię wygrał Bogdanow, co jego adwersarza wprowadziło w zły humor na pograniczu wściekłości. Pokonany na Capri szachista miał się później w ojczyźnie odegrać po

wielekroć z grubą nawiązką, sam i rękami swoich wiernych uczniów i następców.

Można na tym urwać dzisiejszy spacer po capryjskiej pierwszej dekadzie nowego wieku. Ciąg dalszy — dwudziestolecie między wojnami i okres powojenny — należy już do nudnego i wulgar-nego niekiedy rozdziału bogackiej i nowobogackiej *mondanità* oraz rosnącej z każdym rokiem masowej turystyki według dewizy: zajrzyj do Lazurowej Groty, obleć szybko Wyspę i zmiataj.

30 lipca

Dla pamięci. Sny, nawet doniesione na próg jawy, znikają szybko jak rysunki na piasku czy na zamglonej szybie.

W pobliżu berezowskiego Ostrówka siedziałem w łódce ukrytej w szuwarach, podtrzymując opartą o wiosło dubeltówkę. Zapadał zmierzch, za lasem na Ostrówku zachodziło słońce, słychać było w przedwieczornej ciszy pokrzykiwania pastuchów w stronie szosy kieleckiej. Nie byłem w tym śnie kilkunastoletnim chłopcem, lecz starym mężczyzną, zmęczonym i na wpół sparaliżowanym. Za mną ktoś siedział w łódce, nie mogłem się odwrócić i zobaczyć kto, usłyszałem tylko w pewnej chwili znajomy jakby głos (brata?): „Wróciłeś nareszcie do domu”. Potem: „Dzika kaczka w tataraku”. Rzeczywiście, w tataraku pod samym brzegiem Ostrówka, za obręczą skłębionych gęsto liści nenufaru, trzepotało się i rozpryskiwało rzeczną płycizną duże skrzydło. Ile wysiłku kosztowało mnie podniesienie dubeltówki! Rozległ się strzał, ale nie mój. Zdołałem się odwrócić, za mną nie było nikogo. Odepchnąłem wiosłem od dna łódkę w kierunku miejsca, gdzie trzepotało się i ucichło teraz skrzydło. Płat wody pod brzegiem Ostrówka zaczerwienił się od krwi. Skrzydło dzikiej kaczki okazało się skrzydełkiem starego i ogromnego szczupaka, porośniętego parchami, skamielinami, mchem, muszlami. W dziobie łódki leżał nóż. Odzyskałem naraz siły i ruchliwość, jednym cięciem rozprułem biały brzuch szczupaka. Zaczęło z niego wypływać...

Obudziłem się w rozplamionej białości capryjskiego poranka.

Neapol, 4 sierpnia

W *Russkiej Myśli* Irina Iłowajska rozmawia z Michałem Hellerem na temat ZSSR po Czernobylu. Czarnowidz Heller wyjaśnia inteligentnie co i dlaczego widzi czarno pod rządami „cara reformatora”, Irina Aleksiejewna pyta w końcu czy do pomyslenia są w sowieckiej metropolii procesy i fermenty typu polskiego.

Nie, z różnych względów nie, przede wszystkim dlatego, że w Polsce od czterdziestu lat trwa podział na „oni” (władza) i „my” (społeczeństwo), gdy w ZSSR ten podział uległ w ciągu siedemdziesięciu lat zatarciu. Sformułowałbym ostrożniej od Hellera diagnozę dotyczącą „ojczyzny rewolucji”: sędzę że w podświadomości społecznej i narodowej istnieją tam również „oni”, natomiast ofiarą atrofii padła świadomość „my” (nie w sensie kolektywistycznej transformacji z powieści *Zamiatina*, to bez wątpienia w dużej mierze nastąpiło; w sensie zamierania wiary w możliwość przeciwstawienia się „onemu”). Ma jednak rację Heller, że wyraźny i ostry podział na „oni” i „my” jest podstawą, warunkiem *sine qua non*, skutecznego oporu przeciw sowietyzacji. Należy przy tym dodać, że „oni” są dostatecznie trzeźwi by nie roić o jakimś przyszłym definitywnym stopieniu się obu członów w jednorodny „naród socjalistyczny” ze swoimi, świadomie zaakceptowanymi, władcami na czele. Starczy im do rządzenia pewnością, że w podwładnych zapuściły głęboko korzenie trzy uczucia: beznadziejności, rezygnacji, nieodwracalności panującego układu rzeczy. Sowietyzacja nie zmierza do pozyskania podwładnych reformami i korekturami systemu, ryzykownymi w samej swojej istocie; polega na konsekwentnym zabijaniu w nich nadziei.

W Polsce, gdzie trwały podział na „oni” i „my” zaostrzył się jeszcze od sierpnia 1980, dobijanie nadziei po ciosie 13 grudnia odbywa się techniką odrzucania wszelkich pozorów. Jej inspiratorzy wychodzą z założenia, że podział jest nie do przewyciężenia czy choćby złagodzenia. Wobec czego wolą stanąć otwarcie na jego gruncie: „oni” mają być wyłącznie synonimem siły, „my” wyłącznie synonimem bezsilności. Cokolwiek może być przez władców z taktycznych pobudek ewentualnie skoncedowane podwładnym, musi posiadać charakter aktu łaski i premii za dobre sprawowanie (bądź jego obietnicę). Żadnych porozumień między stronami, co najwyżej silny gotów jest dać coś czasem bezsilnemu, który pożegnał się z mrzonkami, wybił sobie z głowy wolnościowe głupstwa i odzyskał utracony zmysł rzeczywistości. W tym zamknięciu perspektyw „kompromisu” niektórzy ludzie rodem z opozycji widzą zapowiedź „otwarcia”. Zwornikiem i gwarantem „normalizacyjnej” gry w otwarte karty jest Generał. Coraz częściej zdarza się słyszeć jałowe rozważania na temat jego „prawdziwego oblicza”. Do rozmaitych przypisywanych mu cech przybyła ostatnio nowa, najbardziej chyba nieoczekiwana: na włoskiej konferencji prasowej Prymas nazwał go *un uomo di cultura*.

Trud rządzących dobijania nadziei w rządzonych miałby pewne widoki powodzenia, gdyby nie dwa czynniki. Pierwszym jest wszystko co ocalało z szesnastu miesięcy Solidarności; niemało, jak na reżym z natury swojej monopolistycznej. Drugim najmłodsze pokolenie, o którym mówił Geremek. Znacznie dalej od

Geremka posuwa się Surdykowski: „Jest to nie tylko pokolenie jak żadne dotąd w powojennej historii Polski oszukane i pozbawione szans, ale pokolenie jak żadne dotąd antykomunistyczne i radykalne. Pokolenie bez złudzeń”. Od niego trzeba zaczynać myślenie o polskim jutrze, a nie od napuszonych frazesów w rodzaju: „Moja formuła polityki racjonalnej, stapiającej w jedno maksymalizm i romantyzm celów ostatecznych oraz realizm celów aktualnie osiągalnych” (Micewski). Zwykło się wytykać „nieracjonalność” pokoleniu Solidarności; jest ona niczym w porównaniu z nieracjonalnością władzy, która łądzi się ze dobijaniem nadziei obojętni i postawi w karnych szeregach następne „pokolenie bez złudzeń”.

15 sierpnia

Byłoby mi trudno wytłumaczyć dokładnie, dlaczego od wielu lat staram się ten dzień, *Ferragosto*, świętować włączeniem się po opustoszałym mieście, nie zważając na upał. Zaczęło się to dawno i trwa, trwać będzie zapewne do końca mojego życia w Neapolu. *Ferragosto*, lato w zenicie. W dużych miastach włoskich należałoby, raczej niż o zenicie, mówić o dziurze. Dziurą jest ta nagła pustka, ten zamarty ruch w wielkomijskim kotle wrzątku. Kto wie, może martwota jak po katastrofie żywiołowej pobudza mnie do wspomnień, obrachunków, podsumowań. Bo w wyludnionym jak po katastrofie Neapolu cienie „ocalałych” snują się nad morzem, przysiadają niekiedy na ławkach, powłóczą nogami na rozżarzonych placach, zaglądają do chłodnych kościołów, przystają w zaułkach pod kamienicami wypełnionymi ciszą. Z ławki na promenadzie nadmorskiej widać wczesnym ranem w stronie Zamku czarne plamy statków i łódek, spala je wschodzące słońce. Martwe jest nawet morze, martwe i ciemne jak woda pod Ostrówkiem w moim capryjskim śnie. W parku miejskim zakryto pokrowcami karuzele dla dzieci. Między drzewami krążą dwie poranne prostytutki: „Chodźmy do domu, dzisiaj chętnych nie będzie”. W zaułku gruba, spocona kobieta śpi na krześle obok rozłożonych na ziemi papierosów z przemytu na sprzedaż. Para młodych turystów z pękatymi plecakami, z przewodnikiem w rękach dziewczyny, gapi się na placu Świętego Dominika na kamieniny balkon, z którego (według legendy) Święty Tomasz z Akwinu wygłaszał kazania do wiernych. U Świętej Klary w jedynym konfesjonale oznaczonym zapaloną lampką siedzi ksiądz, na próżno oczekujący chętnych do spowiedzi. Było już południe, wybił je leniwiej niż zwykle dzwon Świętej Klary, zebrałem resztki sił by dobrać do jedynej otwartej kawiarni w pasażu Umberta.

W zostawionej przez kogoś na stoliku gazecie znalazłem cało-

stronicowy artykuł (kanikuła także w gazetach) nieznanego mi historyka o włoskich i niemieckich emigrantach w latach faszystów i hitlerystów. Pedantyczny i dość rzetelny w opisie, kończył się nieoczekiwaną i niesprawiedliwą konkluzją: w naszej „przyspieszonej historycznie” epoce osłabły widocznie możliwości oddziaływania z zewnątrz, rozumienia sytuacji na odległość, nasi *fuorusciti* i emigranci niemieccy wrócili po wojnie (jeśli w ogóle wrócili) wykorzeni i wyobcowani, niezdolni do uchwycenia zmian i przeobrażeń w rodzinnych krajach, wrócili żeby po prostu umrzeć na ojczystej ziemi. Przypomniało mi się moje stare opowiadanie *Książę Niezłomny*. I przypomniał mi się przeczytany świeżo w *Przeglądzie Powszechnym* wywiad z Ryszardem Przybylskim, autorem książek o Dostojewskim, o Mandelsztamie, o klasycyzmie polskim. Jest w nim opinia o zjawisku emigracji: „Miejsce nie decyduje o rozumieniu tego, co dzieje się w duszy narodu i z ciałem narodu”.

18 sierpnia

Postanowiłem w tych dniach przeczytać na nowo dwie powieści Italo Svevo *Senilità* i *La coscienza di Zeno*. Zdaje się, że sławni odkrywcy ignorowanego długo pisarza triesteńskiego podzielili się w preferencjach: Larbaud i Montale stawiali wyżej *Senilità*, Joyce *La coscienza di Zeno*. Dla mnie *Senilità* jest powieścią pełną poezji, prawie doskonałą; *La coscienza di Zeno* powieścią owszem inteligentną, dowcipną, pomysłową, lecz suchą w swej konceptualności. Zastanawiam się która z dwóch powieści Svevo, jednego z pionierów narracyjnej „nowoczesności”, podobałaby się (czy podobała) bardziej Gombrowiczowi; podejrzewam, że *La coscienza di Zeno*.

Powstała na początku lat dwudziestych, w ćwierć wieku po zupełnej klapie *Senilità*. Svevo znał już wtedy Freuda, czytał i tłumaczył nawet niektóre jego studia psychoanalityczne (z niemieckim radził sobie chyba lepiej niż z włoskim, jego powieści pisane są sztywną włoszczyzną urzędową, aż dziw ile potrafił z niej wydobyć wyrazu). Neurotyk Zeno poddaje się kuracji psychoanalitycznej, na życzenie lekarza odtwarza piórem swoje życie. Powieść ma charakter nieustającej burleski, przedmiotem drwin są w podtekście teorie Freuda. Choroby psychiczne? Kompleksy? Zagadkowe i trujące korniki podświadomości? Całe nasze życie jest chorobą, pojęcie zdrowia psychicznego to tyle co próba (szalona!) wyleczenia człowieka z życia. Zeno przypomina chwilami Chaplina w nieświadomie kpiarskich zmaganiach z „poważną” rzeczywistością. Ale świadomy, zbyt świadomy jest sam

Svevo, wpatrzony ciągle w teorie wiedeńskiego mędrca. Powieść nie najlepiej znosi takie operacje rozdwojenia, wysychają w niej podziemne i „magiczne” źródła narracyjne.

Przeciwnie *Senilità*, napisana pod koniec zeszłego stulecia, gdy wyobraźnia i przenikliwość psychologiczna pisarza były jedyymi narzędziami jego sztuki, bez oglądania się na teorie naukowe. I w tej powieści Svevo przewija się niesformułowane wprost przeświadczenie, że całe nasze życie jest chorobą, o ileż jednak wyraziściej i sugestywniej, z o ileż większą siłą poetycką. Historia, w dużym stopniu bodaj stopniu autobiograficzna, pasji miłości i zazdrości brzmi czysto i dramatycznie, mimo że również tutaj Svevo nie wyrzeka się swej naturalnej skłonności do lekko drwiącego uśmiechu. Opowiadać, opowiadać i jeszcze raz opowiadać, trzymając na uwieży (i w ukryciu) własne rezonerstwo. Nikt nie wymyślił dotąd lepszej recepty powieści. „Nowoczesność” Svevo polega przede wszystkim na burzeniu tradycyjnych i utartych schematów psychologicznych. Nieprzytomny, „chorobliwy” romans bohatera *Senilità* z „dziewiczą” ładacznicą triesteńską bliski bywa niekiedy, oczywiście na niższym bez porównania poziomie towarzysko-społecznym, miłości Swanna do Odety.

Równoległy w powieści wątek siostry bohatera, brzydkiej starej panny przyplacającej obłędem i śmiercią wyłączenie z życia brata w siđłach obsesji, mógłby służyć jako ilustracja potęgą Diabła „wszędzie tam gdzie go na oko nie ma”. Bohater *Senilità* zabija swoją ukochaną i nieszczęśliwą siostrę jadem nieuwagi. Jest rzeczywiście coś z diabelskiego podstępów w prawdziwej tragedii opisanej przez Svevo, w tragedii niezauważonego umierania cichej, samotnej kobiety tuż obok ślepej i gwałtownej szarpaniny brata z „chorobą życia”.

22 sierpnia

Odwiędził mnie towarzysz broni z kampanii włoskiej, zamieszkały od wojny w Stanach. Nie do poznania po tylu latach, siwy zażywny jegomość obwieszony aparatami fotograficznymi, po amerykańsku bardzo z siebie zadowolony. Wystarczyło mu pół dnia na zwiedzenie Neapolu; jak powiada dowcipnie Brodski, *Kodak ergo sum*. Od przejścia na emeryturę zapalił się do historii, głównie tej o którą się sam bezpośrednio otarł. Wziął mnie na spytki w sprawie „buntu Piątej Dywizji”, jako że maczałem w nim odrobinę palce. Czy generał Sulik zdawał sobie sprawę, że zamierzony gest odmowy oddania broni Anglikom przed wyjazdem Drugiego Korpusu z Włoch do Anglii był równoznaczny z zamiarem nie wykonania rozkazu Andersa? Pewnie że zdawał sobie sprawę,

inaczej nie byłoby „buntu” (szybko rozładowanego) i „konspiracji” (krótkotrwałej) w Piątej Dywizji.

Przeskoczyliśmy potem, ku mojej uldze, na ogólne rozważania o odmowie wykonania rozkazu w wojsku.

W czerwcu 1943, w Algierze, generał De Gaulle zaprosił na śniadanie Gide'a. „Zapytałem go — notuje w dzienniku Gide — jak i kiedy, jego zdaniem, oficer może i powinien odmówić wykonania rozkazu. De Gaulle odpowiedział nader stosownie, że tylko w chwili wielkich wydarzeń, i gdy poczucie obowiązku kłóci się z otrzymanym rozkazem”. Reguła istotnie „stosowna”, ale skrojona na generalską miarę.

Na niższych szczeblach, łącznie z żołnierskimi, problem staje się czysto teoretyczny, o czym wiedzą wszyscy znający jako tako wojsko (znali je słabo, karmiąc się złudzeniami, niektórzy doradcy Solidarności przed 13 grudnia). Poza tym tzw. „duch niesubordynacji w wojsku” zależy od tzw. „specyfiki wychowania narodowego”, czego przykładem byli Niemcy i Japończycy. Przed laty zdumiał mnie *Tagebuch aus dem Kriege* Felixa Hartlauba, młodego i wrażliwego historyka, eseisty, nowelisty, wrogo usposobionego do hitleryzmu, przerażonego tym co podczas wojny widział jako żołnierz *Wehrmachtu*; a właściwie nie tyle nawet jego dziennik, co informacja zawarta w przedmowie wydawców do manuskryptu odnalezionego po zaginięciu autora. Otóż w kwietniu 1945 Hartlaub szedł w pojedynkę w Berlinie do koszar w Spandau, gdzie w myśl rozkazu miała być jeszcze sklecona naprędce jednostka piechoty. Po drodze wstąpił do mieszkania zaprzyjaźnionej rodziny. Usiłowano go tam przekonać, żeby machnął ręką na niedorzeczny wówczas rozkaz. Nie dał się przekonać. Więcej go nie widziano.

26 sierpnia

R. przysłał mi urywki dziennika Edmunda Wilsona, drukowane w *New York Review of Books*. Na wycinku dopisał: „Jeśli chcesz poznać prawdę o ósmej śmierci Maksyma Gorkiego”.

Wilson opisuje swoją wizytę u Malraux w roku 1954. „Podczas obiadu rozmawialiśmy o Stalinie, z którym Malraux zetknął się dwukrotnie, gdy odwiedził Gorkiego w Moskwie. Jego zdaniem Stalin był bardzo „abstrakcyjny”. Moim zdaniem był zbyt prymitywny. Malraux zapytał, dlaczego sędzę, że człowiek prymitywny nie może być abstrakcyjny... Zapytałem, czy Stalin kazał otruć Gorkiego. Malraux odpowiedział, że zdecydowanie nie. Sprzątnął go Jagoda, który chciał się ożenić z siostrzenicą czy bratanicą Gorkiego i zamordował najpierw jej męża, a potem Gorkiego”.

Opinia „biegłego” w sprawach sowieckich Malraux (bo za takiego zdaje się uważał go Wilson) jest równie bzdurna, jak jego obraz Stalina „abstrakcyjnego”. Co do „ósmej śmierci Gorkiego”, R. myli się: w mojej historycznej noweli kryminalnej *Siedem śmierci Maksyma Gorkiego* wersja mordu dokonanego przez Jagodę figuruje w podrozdziałach Śmierć Numer Dwa i Śmierć Numer Sześć. Malraux zresztą pokreślił nawet tę wersję z procesu Jagody. Byłego szefa NKWD oskarżono o zgładzenie Maksyma Pieszkowa, syna Gorkiego (ożenionego z piękną Nadieżdą), i samego Gorkiego. Jagoda miał jakoby romans z Nadieżdą, ale nie musiał zaraz zenić się z synową pisarza, mógł z nią swobodnie i dowoli kuszować, nie ruszając jej męża (notorycznego rogarca). W każdym razie nie ważyłby się podnieść ręki na niego, ani tym bardziej na jego ojca, bez milczącej zgody czy wyraźnej dyspozycji Stalina. Malraux za dobrą monetę wziął (w roku 1954!) zniekształconą wersję z procesu Jagody, mimo że we wcześniejszej o wiele lat rozmowie z Wilsonem skwitował procesy moskiewskie krótkim *ce sont des mensonges*.

29 sierpnia

Papież zajął się ostatnio aż kilka razy Diabłem w różnych swoich wystąpieniach. Napęła to niepokojem, zwłaszcza gdy widzi się i słyszy jak włoscy admiratorzy Jana Pawła II reagują na nagły wybuch demonologii papieskiej: uśmiechając się ironicznie, wzruszając ramionami często z odcieniem irytacji, rzadziej z dobrodusznym i bagatelizującym rzecz komentarzem. Zastanawiam się co by o tym wybuchu i jego owocach powiedział główny zainteresowany w nowym jakiś fragmencie (podsluchanym) diabelskiego monologu.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Adrenalina czyli popas w obcym rewirze

Który pisarz, poza św. Franciszkiem, nie był odwetowcem? Mówią, że pewien Kartezjusz nad Wisłą, przyłapany na pisaniu anonimów, zawołał: „Donoszę, więc jestem!”.

Bystre oko i mściwa pamięć już za Spartakusa uchodziły za broń niewolnika. Współczesny psycholog, wiedząc jak wiele jest odmian niewolnictwa, przebąkuje o remedium na manię przesładowczą. Pamiętnikarz wie, jak kruchym puklerzem jest diariusz w starciu z dolegliwościami istnienia w stanie nieważkości. A jednak może warto tę czy inną migawkę zanurzyć w farbie drukarskiej, nie czekając na pośmiertny benefis, którego nie będzie? Niech się czytelnik na konkretnych przykładach przypatrzy niektórym perypetiom emigracyjnego skryby w pozapolskim mateczniku, w świecie nieproszonych gości. Błaha to przyczynki bo błaha, ale człowiek nie potyka się o szczyt Mount Everest, lecz o żwir na ścieżce.

Pan Zygmunt, mój londyński mentor i imiennik, zdmuchując piankę z wieieczornego kufla guinesowego jadu, zwykł był mawiać, że kto się nie przepycha łokciami ku właściwym ludziom (sam tego nie czynił, pióropusz mu na to nie pozwalał), marnuje czas na pojańtańskim pielgrzymstwie: przestańmy się, abstynenci, nawzajem przekonywać o szkodliwości absyntu, nasz adresat, ów przysłowiowo obcy i nieczuły świat, mieszka *extra muros*; złożyć można w domu, działać zaś słowem i piórem trzeba w szczytym polu, wypłynawszy na „suchego przestwór oceanu”. Sławny Fritz Kortner, którego poznałem u Józefa Wittlina w Nowym Jorku, a następnie podziwiałem w Münchner Kammer-spiele, ostrzegął początkujące gwiazdeczki: „*Nur nicht daneben-schlafen!*”. Biorę więc niekiedy udział w konwentyklach zagranicznych czernicieli papieru; zdjęty tremą, mądrzę się przy „okra-

głych stołach”, poprawiam krawat przed telewizyjnymi kamerami. — „Jak wypadłem?” — zapytał Günter Grass żony po wieczorze autorskim. — „Okulary ci się zsunęły na czubek nosa!” — padła rzeczowa odpowiedź. I słusznie: jak cię widzą, tak cię piszą, oko Argusa rządzi światem. A tu jeszcze inna podnieta: adrenalina iluzji — a nuż się coś uda załatwić dla Sprawy? Gdzie ściana płaczu, tam i o groch nie trudno. Zaczarowana skrzynka ze szklanym ekranem, akwarium próżności, wylęgarnia złudzeń, zdaje się triumfować nad wynalazkiem Gutenberga i Marconiego. I pomyśleć, że Lenin a następnie Goebbels przykazywali agitatorom: „Kino! Tylko kino!”. A tu nowy łże-iluzjon króluje w każdym domu, sprawuje rządy dusz nad maluczkimi. O zbawczym wpływie telewizji na kształtowanie postaw, naprawę charakteru, i porost etosu pracy przekonał się już przed laty, po dyskusji w niedzielnym programie Wenera Höfera, kiedy uosobienie lenistwa, bawarska *Putzfrau* (dzisiaj, na wezbranej fali egalitaryzmu, mówi się *Raumpflegerin* — opiekunka przestrzeni mieszkaniowej) do głębi poruszona sensacyjnym odkryciem, zawołała: „O, Gott! Widziałam pana wczoraj na ekranie! Nie wiedziałam u kogo sprzątam! Od jutra zamiatać będę za szafą!”. Przez postęp techniczny do awansu moralnego. Także i listonosz, ponurak wyraźnie niezadowolony ze swego powołania, zaczął mnie nagle pozdrawiać radosnym „Grüß Gott!”. Ilekroć starsi panowie wyrzucają z gardeł okrzyki złożone z dwóch słów, instynktownie zasłaniają głowę. Mój sąsiad z poddasza na Ohm-Strasse, Czesław Straszewicz, jeszcze w ćwierć wieku po wojnie umundurowanych kolejarzy na monachijskim dworcu brał za siepaczy. Gestapowców znał, co prawda, tylko z dodatków filmowych, ale po amputacji ręka boli długo, nawet jeśli należała do kogo innego.

Lecz do rzeczy: jak się to wszystko zaczęło? Dyrektor M., tele-tytan, który jednym przyciśnięciem guzika na biurku może się połączyć z każdym punktem na kuli ziemskiej, a chyba i z satelitą w kosmosie, ujrzał mnie w programie Brechta juniora „Na gruzach Trzeciej Rzeszy” i na wieczornicy w hamburskiej akademii (dyskusja z chorobliwym lewakiem, Ralphem Giordano, i nieludzko zaprofesorzonym Kurtem Sontheimerem). I wtedy strzelił mu ten pomysł do głowy. Razem z przyjacielem, kierownikiem wytwórni w Wiesbaden, zaproponowali mi napisanie scenariusza. „Projekt międzynarodowy”. Film ma być fabularny: „dokument już się widzom przejadł”. Duch wprawdzie wieje kędy chce i jak długo chce, ale nie dłużej niż przez sto minut. Temat: zamach na Jana Pawła II. Papież, oczywiście, sam nie wystąpi. Będzie niewidocznym bohaterem, obecnym poprzez nieobecność. Trzeba się spieszyć: konkurencja nie śpi. Polećmy do Rzymu, na Majorę, do Anatolii, dokądkolwiek się da; jeśli się uda, nawet do Sofii. Wytwórnie są zasypywane nowelami filmowymi

o tematyce papieskiej, dopiero co jakiś francuski jezuita nadesłał maszynopis z Japonii, ale pierwszeństwo ma rodak papieża.

Omnipotens w zamszowej kurtce, jak się okazuje, zebrał już garść informacji o swoim wybrańcu: nie kupuje się kocura w worku. Nie odrywając oczu od pokaźnej teczki, w której dostrzegłem znajomą fotografię, wyperfumowanym barytonem referuje, że przyszłego scenarzystę fascynuje każdy dzień pontyfikatu, towarzyszy papieżowi (ku utrapieniu zawistników) w podróżach po świecie, pisuje o tym książki, był na procesie tureckiego zamachowcy, przebrnął przez akta sprawy, przeczytał bodaj wszystko co na ten temat napisano po obu stronach palisady, i co również ważne: „nie lubi degradować prawdy do roli popychadła w rękach anonimowych manipulatorów”. (Ładnie powiedziane, sam bym się lepiej nie zareklamował). Nie ma się więc co wzbraniać kokieteryjną wymówką, że kłusownik nie powinien się uwijać w obcym rewirze. Przypomniał mi się, co prawda, Hłasko, który o filmowcach wyrażał się bez cienia szacunku. Lgnął do nich jednak jak ćma do lampy. Nic to, że pięknoduch Leonard R., lokator wieżowca z kości słoniowej, ostrzega literatów: „Żadnych schadzek z filmowcami! Nic dobrego z takiego konkubinatu nie wynika!”. *Jego* nikt na pokuszenie nie wodzi: cnota nierzadko bierze się z braku sposobności.

Słowo się rzekło, ale sporo wody upłynęło w Izarze i w Tybrze, zanim Rosynant stanął u płota. Niewiele jest dzisiaj miejsc w przeludnionej Teutonii, nawiedzanej przez diabła motoryzacji, gdzie cierpiący na bezsenność nie przypomina sobie skargi Mickiewicza: „Ja w tej izbie spać nie mogę, inną izbę daj, sąsiedzie!”. Wycofaliśmy się więc do pustelni, na Formenterę, by płoszyć jaszczurki stukotem remingtona. W Ameryce już pisuje się elektrycznie, bezszelestnie, my zaś nadal bębniemy po piastowsku. („Pustelnik na wyspie Formentera” — utwór pod tym tytułem wystawił niegdyś Wojciech Bogusławski w Narodowym). To w pewnym sensie polska wyspa. Klauzura na Balearach tylko w godzinach sjeisty zamienia miłośnika samotności w eremity; przez resztę doby otoczony bywa sympatią rodaków. Tak czy inaczej, nie jadłem, nie spałem, całą nocną pisałem, by wywiązać się z obietnicy, danej *Omnipotensowi* z nordyckiej strony. Wszelako nie tylko Stańczyk w Krakowie spotykał się z życzliwością miłujących medycynę doradców. W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.

— Pamiętaj o roli kobiecej! Bez aktorki nie ma filmu! — dźwięczało w kaktusach.

Wojtek T., obieżyświat-olimpijczyk, przypominał przez żywopłot:

— Inspektor Giovanni powinien otwartym samochodem mar-

ki Alfa Romeo obwozić królewskiego charta po Rzymie. Widz angielski kocha zwierzęta.

Jacusz co w głowie ma coś ostrzegał po dobroci:

— Nie mówi się o dzieciach jeszcze nie narodzonych. Żyj szepsem. Przezornym szczęście sprzyja. Jeszcze cię sprzątną, jakiś szary wilk lub czerwony kapturek. Koledzy cię nie pożalują, jeszcze drwiną poczęstują. Watykan nie przysła kondolencji.

Przesada: albo to widz zadaje sobie trud odcyfrowania nazwiska scenarzysty na ekranie? Ważniejsza jest *script-girl* lub *cutterka* (po polsku: cięcieszka), nie mówiąc już o przyklejaczach rzęs.

I jeszcze taki kleks w brulionie: kiedy przed rokiem zbiłem się pod kolumnadą Berniniego z pewnym lekarzem z Krakowa, z miejsca powiało swojszczyzną:

— Amerykanie Paul Henze i Claire Sterling są na fałszywym tropie — zawyrokował — zamach jest dziełem masonerii. Ale o tym panu pisać nie wolno.

Dowiedziałem się przy sposobności, że prof. Langrod wciągnął mnie do Łoży Kopernika. Odruchowo obciągnąłem fartuszek na sobie.

Zagadaliśmy się, brnąc w dygresjach po kostki, a tu robota pali się w rękach. Krzys z Jolą już się postarali o przekład angielski, Jurek z Olą przełożyli tekst na język Dantego, Andrzej F. i prof. R. — na język Goethego. Reżyserii gotów się podjąć Michael Kehlmann z Wiednia, któremu powiodło się sfilmowanie powieści Józefa Rotha. Istotnie, „Hiob” spotkał się z uznaniem literatów.

Telefon z Wiesbaden:

— Rossi! To wymarzony reżyser naszego filmu. Świetnie przeniósł na ekran powieść Carlo Leviego „*Cristo si è fermato a Eboli!*”.

Znawca stosunków we włoskim świecie filmowym ostrzega:

— Po ostatnich rewelacjach Agcy o bułgarskim tropie niełatwo będzie znaleźć reżysera o sławnym nazwisku. Któż chce ściągać na siebie odium posądzenia o niechęć do Sofii, czyli do Moskwy? Takiego śmiałka o skłonnościach samobójczych z miejsca mianują „faszystą”. Samo posądzenie o „antysowietyzm” otoczy go dożywotnim a nawet pozagrobowym bojkotem salonowych komunardów. Wpływowi krytycy zniesławiają go bez obejrzenia filmu. Antykomunizm uchodzi na największe zło naszej epoki.

Skąd my to znamy? Gdy Horst Bienek opowiadał kiedyś we frankfurckim salonie o swoich przeżyciach w Workucie, pewna wybrylantowana entuzjastka rewolucji wzruszyła ramionami:

— Trudno. Wpadliście w niewłaściwe tryby historii. Ja bym te lata przemilczała.

— Nie miałem wyboru — zaczerwienił się przyłapany na nietakcie łągiernik.

Znamienne, że polski przekład rewelacyjnej książki Claire Sterling („Anatomia zamachu”), utrzymującej, że odpowiedzialność spada na Jurija Andropowa, ukazał się w Rzymie bez nazwiska tłumacza. Leonard R. sądzi, że powinienem być scenariusz podpisać pseudonimem. Strzyżonego Parki strzygą. Wie o czym mówi. Zna swoją faunę. I jej antywatykański afekt. Jan Paweł II nie jest ulubieńcem niemieckich „kół postępowych”. Środowisko twórcze, liberalno-lewicowe, niechętnie rozstaje się z wzorcami i uprzedzeniami, z dawien dawna zakodowanymi w genach. Ich guru orzekł w grudniu 1981, że nacjonalista polski na tronie Piotrowym, popierając „Solidarność”, chciał wyprzeć Moskwę z Europy, a tym samym doprowadzić do wojny atomowej. Niepokoń ich też nauka społeczna Kościoła. Węszą w niej podstęp. Cokolwiek orędownik świata pracy i obrońca praw człowieka na ten temat oświadczy, rzucają w niego słówkiem „ale”. To ładnie, że w Ameryce Łacińskiej zwalcza krzywdę społeczną, ale lepiej by było, gdyby się tą plagą zajęli fachowcy, *guerrilleros*. Owszem, staje w obronie uciskanego i wyzyskiwanego ludu, ale jest to wybieg taktyczny: chce rewolucji odebrać klientelę, zabrać wiatr spod czerwonych żagli.

— Też sobie temat obrałeś! — ubolewa Horst K. we Frankfurcie. — Przystaną cię zapraszać do stolika. Takiego *faux-pas* się nie wybacza.

— Kto delektuje się papieskimi podróżami, nie może być jako pisarz traktowany na serio. Żal mi cię, dostawco dewocjonalistów! — dorzuca lektorka czołowej oficyny, przyjaciółka szarlatana, który od lat manipuluje giełdą sukcesów. — Demaskować powinieneś, a nie afirmować.

— Nie można mówić, że Papież cudem ocalał. Implikuje to interwencję czynnika nadprzyrodzonego, w którego istnienie obojście nie wierzę — mówi jej szef. — Posłuzmy się logiką: czy gdyby nie ocalał, oznaczałoby to, że na taką interwencję nie zasłużył? Czy chce pan powiedzieć, że nie zasłużyli na nią bracia Kennedy albo Martin Luther King?

Trzy razy księżyc odmienił się złoty. Już jesień: chociaż lnu tutaj nie międlą, pojawiły się październik na zmierzwionych kudłach nadbrzeżnej krzewiny, suchy kaszel wron kołuje nad Izarą, a produkcja filmu nie rusza się z miejsca. Na co czekamy? A tymczasem włoska Temida próbuje sobie zerwać opaskę z oczu. Sędzia Martelli nie skąpi syzyfowego wysiłku. Z potężnym potyką się przeciwnikiem. Wie, że nie ma lepszej metody zacierania śladów jak ich mnożenie. Znawcy psychologii codziennych zjadaczy informacji wiedzą, że im gęstszy deszcz znaków zapytania spada na sprawę niewyjaśnioną, tym szybciej ludzie dochodzą

do wniosku: „Wszystko jest możliwe”. Inflacja domysłów chroni prawdziwych sprawców. Siostra albertynka pisze z Krakowa: „Sprawę zamachu traktuje się u was jak „normalne” przestępstwo. A przecież chciano nam zabić Ojca Świętego. Ten cios miał ugodzić w nas wszystkich, zabić w nas nadzieję”.

— Sędzia Ilario Martella przesadza. Oślepiły go kinkiety i nagłówki. Podoba się sobie w roli szeryfa — czytamy w piśmie, którego czteromilionowy nakład co tygodnia czarną manną spada mieszkańcom republiki federalnej na głowę. Znam koryfeusza tego magazynu. Przy koniaku chętnie szokuje towarzystwo wybuchem szczerości: „Nie zmieniam poglądów, bo ich nie mam. Człowiek jest zjawiskiem przejściowym. Trzeba więc żyć w zdrowiu i dobrobycie. Tylko oportunistom uchroni nas przed zagładą!”.

Nikt nie kwapi się do otwarcia puszek Pandory. Na wschodzie takie igraszki są zakazane. Na Zachodzie zaś... różnie z tym bywa. Według jakich kryteriów *milieu* w Hamburgu czy we Frankfurcie przykleja niezmywalne etykiety? Skoro Mrs. Sterling naraziła się Moskwie, nie może, rzecz jasna, zasługiwać na wiarygodność. Jest Amerykanką, wskazuje palcem na bułgarski wywiad, a więc *tylko samym* musi być związana z „trzema literkami”. Zarzuca wprawdzie CIA chęć wyciszenia niemiłej sprawy, wskazuje na waszyngtońską obsesję „spotkań na szczycie” i nerwicę sukcesu, ale lichy to gambit, naiwne to alibi, fachowca nie nabierzesz. Czytamy ponadto, że póki Agca brał całą winę na siebie, zdaniem „obserwatorów” był człowiekiem normalnym, przytaczano opinię włoskiego trybunału z października 1981: „Oskarżony wykazuje pełną dojrzałość psychiczną i niespotykaną wprost równowagę umysłu”, ale gdy zaczął sypać Bułgarów, okazał się wariatem.

Maestro Rossi zwleka z odpowiedzią od trzech miesięcy. Lećmy więc do Rzymu, aby za pośrednictwem jego drabanta przyspieszyć bieg wydarzeń. Wiesbadenowi zależy na koprodukcji z Włochami. Na fanfarę „A jednak się obraca!” czekamy już za długo. Tymczasem kibicowi zwolna wylania się na horyzoncie nieznany mu dotychczas łąd Filmii, tej Muzy *in statu nascendi*, którą się kiedyś, w epoce Poli Negri w kapeluszu panama, przejmował sejmowy stenograf Karol Irzykowski. Czy z celuloidu rodzi się prawdziwa Sztuka czy tylko jej pasierbica? Na ten temat zużyto niejedną butlę inkaustu. „Bekart teatru, nic więcej!” — prychnął Shaw. Socjologa powinna zafrapować osobliwość, zwana przemysłem filmowym. Cud prawdziwy, że ten statek unosi się na fluktach, skoro aż po maszt oklejony jest wodorostami. Choć trafniejsze nam się wydaje porównanie z konnym tramwajem na trasie Włocławek-Brześć Kujawski, korabiem wynurzonym ze wspomnień dzieciństwa. Takich obrazów się nie zapomina. Ci w środku, ośmiorniczo ze sobą spleceni, zazdrościli sardynkom w

puszce swobody ruchu. Część pasażerów, biegnąc po obu stronach pudła, czepiała się wyslizganego uchwytu na burcie. Odważniejsi siedzieli z tobołkami na dachu, lamentując że zaraz spadną do rowu. Inni jeszcze, nie zrażając się kukuściami i kopniakami na pół uduszonego konduktora, próbowali wskoczyć na tylny stopień wehikułu. Kogoś tam wlokło po kocich łbach. Konie rżały, psy szczekały, ptaki wariowały w powietrzu. Turyści, którzy w Trzecim Świecie nocują po hiltonach i sheratonach, żywią nie tylko służbę hotelową i jej krewnych trzeciego stopnia, lecz pół miasta. Podobnie się ma rzecz z wielkimi projektami filmowymi: jeszcze sztuki dobrze nie zakatrupiono, a już się zaczyna gwiaździsty zład cmentarnego robactwa. Niewiarygodnie wysoka jest liczba ćwierć, pół- i całych pośredników, którzy w tym osobliwym przemyśle, już zrationalizowanym i skomputeryzowanym, nieustannie depcą sobie po nogach. Rajfurstwo do setnej potęgi. Twórcy, odtwórcy, przetwórcy kłębią się jak ciała na grunwaldzkim płótnie Matejki. Gdzie jak gdzie, ale w tym kręgu jasnym się staje, że świat powstał z chaosu (z widomym wynikiem) i w chaos się obróci. Szczegóły w Apokalipsie św. Jana.

W odróżnieniu od Diogenesa *dottore* Giacomo P. nie mieszka w becze. Głośni producenci na ogół nie spijają pod mostami. Z Jurkiem P. i Ottonem K. (w myślach nazywam go Czwartym, tusząc że będzie kontynuował dzieło, zapoczątkowane przez Trzeciego) zajeżdżamy skromnym samochodem przed podrzymską wille, strzeżoną przez wilczury. Rzymska wilczyca wykarmiła Romulusa, ale tej, warczącej, z amokiem w ślepiach, najwidoczniej co innego chodzi po głowie.

Gdzie ukryć nasze sfatygowane auciątko? Bez Mercedesa w czasie takiej wizyty człowiek się czuje wręcz nieubrany. Rzekł nam kiedyś minister w Nigerii, że nie zamyka samochodu w garażu: gdyby któregoś dnia lud nie dostrzegł jego Rolls-Royce'a przed domem, przestałby go szanować. Już na progu wita nas głośna radość. Jakby gospodarz od dziecka czekał na nasze odwiedziny. Przyjemnie się zetknąć ze stereotypem, który od dawna drzemał, sprasowany, między zwojami wyobraźni. Na parterze skrzy się biuro, jakie widuje się na filmach z życia naftowych magnatów w Teksasie. Na górze pstrzy się i kokoci nowobogacki luksus z prospektu „*Schöner wohnen*”. Omiatamy wzrokiem piękno, rozszczebiotaną *signorinę*, sekretarkę osobistą pana producenta, i jego żonę, kokosz o ociężałym spojrzaniu niechętnie wpływającym spod wypukłej, zaspanej skóry. Bez radaru wiesz wszystko o fotele ze śnieżnobiałej skóry. Bez radaru wiesz wszystko: *dottore* Giacomo, przystojniaczek w sile wieku (rogowe okulary, fiolkowy fular, dziesięciocentymetrowy mankiet ze złotą spinką wystaje z rękawów blezeru) nie hołduje pustelniczemu trybowi życia, egzystuje tu i teraz. Balet palców gościnnego gos-

podarza wyraża bezbrzeżny smutek: *maestro* Rossi, niestety, na kolację przyjść nie może: zatrzymała go mgła na mediolańskim lotnisku. Strasznie mu z tego powodu przykro (panie układają usta w podkówkę). Przeczytał jednak scenariusz jednym duszkiem. Jeśli mu tylko czas pozwoli, chętnie, *con amore*, podejmie się reżyserskiego trudu: to jest właśnie to, na co od dawna czekał. W ciągu najbliższych tygodni jest jednak piekielnie zapracowany, wręcz siania się na nogach. Także i na twarzy podającej do stołu, filigranowej Azjatki, chyba Filipinki, maluje się cierpienie. Zgrana ekipa. Zatroskana o linię gospodyni wyraża obawę, czy arkusik parmeńskiej szynki, cienki aż do przejrzystości, nie jest przypadkiem za tłusty. Otton roztacza przed włoskim kolegą nader ponętną wizję finansowej osi Wiesbaden-Rzym. To nieprawda, że nieprzyzwoite słowa lub sprośne żarciki wprowadzają do rozmowy akcent erotyczny. Czynią to wysokie sumy. Zatykam uszy. Odruch atawistyczny: nasze babki dyskretnie, wstydliwie, w kopercie, wsuwały korepetytorowi głodowe honorarium do kieszeni palta. Na stole pojawia się butelka Wyborowej. Nie dziwota: Giacomo uchodzi nad Tybrem i Renem za znawcę spraw polskich. Ma przyjaciół w Warszawie, we włoskim księstwie radio-telewizyjnym RAI, i za Spiżową Bramą. Wręcza nam z czułą dedykacją książkę, w której opisał perypetie związane z nakręceniem filmu *Da un paese lontano* (Z dalekiego kraju) reżyserii Zanussiego, swojego rodzaju pamiętnik fascynacji miesiącami polskiej nadziei. Bóg zapłać, *va benissimo*, strzeżmy się Dana'ów, którzy *nie pamiętają* o podarkach. I wreszcie na deser Giacomo daje istny koncert *name-dropping*. Kogo on nie zna! Krzysztof (Zanussi), Andrzej (Kijowski), Marco (ambasador Favale), Carlo (Lizzani), Adam (Boniecki), Cezary (Morawski), Lew (Lord Grade), Jan Józef (Szczepeński), Agostino (Casaroli), Romeo (Panciroli), Maurice (Denham, odtwórca roli kardynała Sapielhy), Dominik (Horodyński, „*un liberale, un aristocrato, il Conte Rosso*”). Otóż to: im więcej nazwisk wpisałeś do adresownika, tym wyżej zajdziesz.

— Trzeba cierpliwie czekać na zakończenie procesu Antonowa — rzecz *il produttore* — i w zależności od tego jak wypadnie... W każdym razie mój serwis techniczny stoi do dyspozycji.

— Nasz film nie jest zakładnikiem aktualności — zauważa Otton — nie ma nic wspólnego z procesem, zakończenia wcale nie potrzeba dostosowywać do werdyktu, który zapadnie w sądowym bunkrze.

— Bulwarowa prasa pisze o „procesie stulecia” — dorzuca Jerzy. — A cóż będzie gdy stękną góry i urodzi się mysz?

Miły wieczór, ale chyba nie poruszył bryły z posad świata.

— Jak było? — dzwoni w nocy boss z Hamburga.

Odpowiadam ulubionym zwrotem towarzysza Gierka:

— Nie było tak dobrze jak być powinno, ale nie było też i tak źle jak być mogło.

— W maju 1986, w piątą rocznicę zamachu, miliony telewizorów obejrzą nasz film! — rozlega się w słuchawce. — *We shall overcome!*

Nie krzycz hop, póki cię nie przeskoczą. Nazajutrz rano, w śniadalni hotelu „Cicerone” (o sto kroków stąd Agca spędził noc w pensjonacie „Isa” przed zamachem) *Il Tempo* wypada mi z ręki: konkurencja nas ubiegła! RAI zapowiada premierę filmu „Zamach na Papięza” (rekonstrukcja pewnego śledztwa) produkcji włosko-niemieckiej. Reżyser: Giuseppe Fina, scenariusz: Sandro Petraglia i Stefano Rulli. W roli zamachowca wystąpi debiutant, łudzaco do Agcy podobny Christopher Buchholz, syn znanego aktora Horsta, tego który po mistrzowskiu odtworzył Feliksa Krulla w filmowej przeróbce powieści Tomasza Manna. Popularny we Włoszech Ian Bannen, bohater zamyślony („Humphrey Bogart bez *trenchcoat'a*”) zagta godnego szacunku sędziego Martellę. W imieniu firm „Sacis”, „Beta” i „Taurus” *dottore* Gian Paulo Cresci poinformował prasę, że wygrano wyścig z zegarem, uwinęto się w pięć miesięcy; trzygodzinne widowisko w dwóch częściach nosi charakter „ożywionego dokumentu”; epilog dokręci się tuż po ogłoszeniu wyroku na Antonowa; autorem filmowego przewodu sprawiedliwości leży na sercu bezstronność doprowadzona do całkowitej doskonałości. Hm, nareszcie się ktoś urodził, kto wszystkim dogodzi, posiadłszy niełatwą sztukę zrobienia jajecznicy bez uszkodzenia jajek. Tele-Temida nieskazitelnym gołębiem pokoju: potrzeba takiej wersji wydarzeń i ich genezy, żeby służyła Dziełu Odprężenia, żeby ją można było wyświetlić w Rzymie, Moskwie, Sofii, Ankarze i Monachium. Dziwne, że *Omnipotens* i jego rączy partner, którzy słyszą jak trawa rośnie nad Tybrem, pozwolili się zaskoczyć we śnie. Przecież filmu nie nakręcano w katakumbach, Cinecittà nie jest zakonnym trapiściem. Czyżby uroczy Giacomo i jego nieuchwytny Rossi też o niczym nie wiedzieli?

— *Take it easy*. Przypadki chodzą po ludziach — uśmiecha się wyrobiony syndyk K. — Mógłbym napisać elegię o cmentarzystku niezrealizowanych projektów. Grunt, że inwestor zaciągnął zobowiązanie i musi się z niego wywiązać. Nikt w końcu na tym nie straci.

— Nie o umowę chodzi, lecz o widza.

Salwa śmiechu: — Tylko bez litości dla widza. To nasz naturalny przeciwnik!

— Nie wpuścimy ich na nasze podwórko — orzeka strateg w Hamburgu — Nasz *gate-keeper* nie śpi. Ich produkt bokiem na rynek nie wejdzie. Nie znajdą innego nabywcy poza nami. Jeśli im ustąpimy, to na naszych warunkach. Jak frankoński

bauer je knedle? Jeden po drugim. Na razie obejrzymy ich dzieło. Komisynie.

Tak się też stało. W kilka dni później silimy się na Salomonowy obiektywizm. Oględziny w gronie „wewnętrznych recenzentów” potwierdzają domysł, że film powstał podług recepty mistrza Kuryły z włocławskiej szkoły tańca: raz na lewo, raz na prawo, trochę naprzód, trochę w tył, ale przede wszystkim nie deptać po nogach. Granice między prawdą empirycznie poznawalną a wyobraźnią twórczą bywają przesuwalne. Poetyka odtwarzania autentycznych zdarzeń poprzez ich imitację w studio kryje w sobie niejedną pułapkę. Czy dokumentacja aktorsko ożywiona, pełna ekspresji, musi się kurczowo trzymać faktograficznej podkładki? I tak i nie. Lecz wcale nie idzie o *index errorum* czy katalog nieprawdopodobieństw, chociaż dziwi nas nieco, że przez całą więzienną Agcy przewijają się podejrzani księża i agenci wywiadu, że znacznie więcej uwagi poświęcono „szarym wilkom” (faszystom) niż tropowi bułgarskiemu, że amerykańską dziennikarkę o zacięciu detektywistycznym potraktowano ironicznie, że o rewelacyjnych zeznaniach, złożonych przez Luigi Scricciolo przed sędzią Ferdinando Imposimato (o tym za chwilę) ani słowa, natomiast jakiś James Bond w stanie spoczynku ni w pięć ni w dziewięć rezonuje o Stawroginie. Gorzej, że widz nie dowiaduje się komu i dla czego mogło w maju 1981 zależeć na usunięciu Papieża Polaka ze światowej sceny? Czy naprawdę *ignoramus et ignorabimus*? Zabrakło polskiego aspektu sprawy.

Doświadczenie uczy, że warto czasem niepowodzenie ozdobić wianuszkami heroizmu.

— Dobrze — mówię moim mecenasom — nasz film fabularny nie kłania się zegarowi ani barometrowi. Może więc poczekać. Natomiast ten nieoczekiwany warto by z lekka prze-meblować.

Ee, chyba się nie zgodzą. Włosi to dumna nacja, na nieprzy- stojne sugestie oporna. Nad pracownią żydowskiego krawca w przedwojennym Włocławku (nie wiem dlaczego mi się to przypomina) widniało ostrzeżenie: „Zadnych przeróbków! Szyję tylko nowe!”. A tutaj nie Wisła za oknem, lecz Tyber płynie.

Kartkując w diariuszu, spostrzegam na jakie przeszkody natrafiają poszukiwacze pełnej prawdy o metryce zamachu. Po ujęciu Agcy trzymano się teorii jednego sprawcy. Z prędkością światła rozeszło się, że mógł nim być tylko „prawicowiec”. Natomiast pytanie o zaplecze spisku: kto i dlaczego posłużył się młodym Turkiem, jakie były motywy przestępstwa (*cui prodest?*) jakby zeszyły na plan dalszy. Ktoś się przeląkł własnej odwagi. Urzędnik prokuratury, zapytany o powiązania zamachowca i o inspiratorów sprzysiężenia, odpowiedział: „Nie piszemy pracy doktorskiej o międzynarodowym terroryzmie”. Aż tu pewnego dnia dochodzi

do zmiany stanowiska. Czytamy o „nieznanych sprawcach” (liczba mnoga): „Agca nie działał w pojedynkę”. Niełatwo się wydo- być z gabinetu zamglonych luster. Kiedy Lech Wałęsa, „równy królom”, z delegacją „Solidarności” (styczeń 1981) przyjmowa- ny był przez Papieża (nie przeczuwając, że i na niego przygoto- wywano zamach), poznaliśmy pewnego przemilego Włocha. Na wieczery w restauracji „Cesarino”, gdzie podejmowano gości z Polski, obdarował mnie wizytówką z której wynikało, że jest re- ferentem spraw zagranicznych federacji związkowej UIL, a zwie się Luigi Scricciolo. „Dożyliśmy wielkiego dnia — unosił się, rozanielony — kto się ociera o Wałęsę, ociera się o historię. „Solidarność” jest religią mojego życia, to prawdziwy dar nie- bios! Czuję się moralnie odmłodzony: odwiedziłem niedawno stoczniovców w Gdańsku!”. W rok później okazało się, że ten uroczy *amicus Poloniae* swój afekt do „Solidarności” łączył z ci- chą sympatią do KGB. Aresztowany w lutym 1982, przyznał się, że od roku 1976 był agentem wywiadu bułgarskiego, jego foto- geniczna małżonka, Paola, pomagała Żiwkowowi dopiero od roku 1979. Dla idei? Dla pieniędzy? A może „to wszystko z nudów, wysoki sędzie”? Jak pisze angielski ironista: „*Bulgarian umbrel- las are not just for keeping the rain off*”.

Zapada decyzja: film mimo poważnych usterek (*Undurch- schaubarkeit* — nieprzejrzystość) zasługuje na zakup dzięki wspa- niałej kreacji młodego Buchholza. Ale zanim się go wyświetli w RFN i w Austrii, zaleca się wbudowanie pięciu sekwencji z udzia- łem polskiego komentatora. Wyrażam obawę, że „środowisko”, czujne i solidarne, doświadczone w sztuce dyskryminacji i bojkot- u, zaprotestuje przeciwko niecnym praktykom Nowej Inkwizycji, Włosi z pewnością podniosą lament, że „obce ciało” naruszy estetyczną jedność widowiska, a co gorsza: zagrozi zasadzie nie- skazitelnej bezstronności.

Tak czy inaczej czas uderzyć w strunę drugą. Dynamiczna Madame T. (wytwórnia „Saxis”, przybudówka RAI) przygotowuje sfilmowanie „wstawki nr 5”: tuż po ogłoszeniu wyroku, na sali sądowej, na tle Antonowa i Agcy, mam wygłosić komentarz na gorąco. Zajeżdżamy taksówką pod silnie strzeżony bunkier sądo- wy, położony na terenach olimpijskich. Posągi atletów, ślad prze- brzmiałego monumentalizmu, gołębiom spłoszonym policyjnymi syrenami służą za lądowisko. Herkules niezgorzej obsmarowany. Na potężnym udzie czerwieni się sierp i młot. Na tle pinii czerni się falanga karabinierów w bojowym szyku. Tłum sprawozdaw- ców, istny nalot much natrętnie brzęczących nad mięsem aktual- ności. Przebijamy się do środka. Kontrola teczek i akredytacji. Na ławach, pod ścianą tego ponurego przybytku, ustawiły się całe grupy Laokoona, spowite węzami kabli. Czekają na bohaterów widowiska. Reżyser Fina, starszy pan, wyraźnie zmęczony ży-

ciem, podaje mi dwa palce: „Po co to panu?”. Zasiadamy z Markiem L. w trzecim rzędzie, za plecami obrońców w gali. To ich dzień. Młoda adwokatka (makijaż na wysoki połysk, kunsztownie upięta fryzura *à la* Kleopatra) wdzieczy się do obiektywów. Obnosi tożę jak kreację na pokazie mód u Diora. Nie mogę oderwać wzroku od opalonego bufona o aparycji figara, obrońcy Ajwazowa i Wasilewa, który przed miesiącem wysunął tezę raczej niezwykłą: Agça, bawiąc w Sofii, zaoferował swoje usługi jako zabójca Papieża, Bułgarzy tę ofertę z oburzeniem odrzucili, i teraz mści się na nich... Tabun dobrych znajomych pozdrawia się radosnymi okrzykami. Włosi są ostatnim narodem w Europie, który odprowadza przyjaciół na dworzec i wita ich w porcie. Atmosfera wesołego miasteczka. Ani cienia „majestatu prawa”. Rozgdakany tłumek, strzelając na oślep kamerami, podbiega do metalowych kłapek. Wprowadzają Antonowa w eleganckim garniturku i trupio bladego Agcę. We wschodniej Europie chętnie zakuwa się oskarżonych w kajdany, tutaj zaś wpycha się ich do klatek. Taka klatka, nawet jeśli ludzkie siedzi w niej zwierzę, nienajlepiej świadczy o naszym gatunku. Hitler w berlińskim bunkrze bał się, że jeśli wpadnie w ręce zwycięzców, będą go obwozić w klatce po ulicach. Szklana klatka nie podobała mi się już na procesie Eichmanna. Nie godzi ona w oskarżonego, nawet jeśli na nią zasłużył. Obraża nas jako ludzi. Agça wykrzykuje coś zachrypniętym głosem. Dziesiątki mikrofonów na ruchomych stojakach podjeżdżają pod pręty. Ta euforia na sali sądowej, raczej symulowana niż zrodzona z czyhania na niespodziankę, pozbawiona jest uzasadnienia: epilog sztuki znany od trzech tygodni, odkąd oskarżyciel przestał oskarżać. Wiadomo już, że Antonow ma zamówiony bilet lotniczy do Sofii. Czy go uniewinnią? Nie, zostanie zwolniony z braku dowodów. Nie udało się udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że brał bezpośredni udział w przygotowaniu spisku na życie Papieża. Labyrinth okazał się nie do przebycia, Ariadnie zabrakło nitki. Kto może, kto chce udowodnić, że ślad bułgarski nie jest owocem halucynacji zimnowojennych knowaczy? (Portier w hotelu rzekł mi z rana: „Co jest ważniejsze: Bułgar w więzieniu czy znośne stosunki ze Wschodem?”). Oślepiiony reflektorem, układam sobie w myślach pierwsze zdanie: *Iustitia locuta, ale causa non est finita*. Nie, lepiej zacząć: *In dubio pro reo*, to godna pochwały zasada, zdobycz naszej cywilizacji, ale...”. W każdym razie potrzebne jest zdanie: „A jednak mieliśmy do czynienia ze sprzysiężeniem zdalnie kierowanym, przygotowanym przez prawdziwych mistrzów zacierania śladów”. Pracownicy ambasady bułgarskiej i bratnich instytucji (Rosjan, oczywiście, nie ma) zjawili się z kwiatami. Obrońcy unoszą kciuki w górę. Obrończyni podskakuje jak mała dziewczynka. Sprawiedliwość zwyciężyła. Słysząc oklaski. Jakiś zapalczywy kogutek

w przybrudzonych tenisówkach, z grzebieniem rudziny pośrodku czaszki, woła do mikrofonu, że bajka o *bulgarian connection*, wymyślona przez Amerykanów, pękła jak bańka mydlana; nieśluszenie pomówionemu Bułgarowi należy się wysokie odszkodowanie za poniesione straty moralne, materialne i na zdrowiu. Brak tylko okrzyku: „A kto mu łzy powróci?”. *Maestro* Fina wyraża nadzieję, że moje *post scriptum* nie wypaczy jego filmu, idealnie zrównoważonego. Towarzysząca mu czarnulka w pomarańczowych spodniach i cekinami migocących kozaczkach (Coca-colę pije prosto z butelki), studentka filozofii, zwierza się:

— Nie mogłabym pracować w sądownictwie. Moim zdaniem prawda jest niepoznawalna. *Don't you think so?*

— Jedno pytanie — sympatyczny operator chwytą mnie za rękaw. — Czy przyleciał pan wprost z Warszawy?

— Nie, mieszkam na Zachodzie.

— Aha — dochodzi mnie pomruk rozczarowania.

Czyżbym i jemu sprawił przykrość?

Młody Anglik, z którym odbyłem niejedno *volo papale*, opuszcza salę skwaszony:

— Nie lubię utworów muzycznych — mruczy — które nie kończą się *fortissimo*. Nienajedzeni odchodzimy od stołu.

Po powrocie z sądu czas rozpoznać zamiary „tamtej strony”. Trzeba porozmawiać z „konkurencją”. Pogawędka z nader wpływowym Janem M. Obrotny, elegancki poliglota i polihistor. Jeszcze nie Włoch, ale już nie Słowak. Spotykamy się w Café Greco. W takiej dekoracji wręcz nie uchodzi trafić się przyziemnostkami. A czymże innym jest branża „filmacherów”? Goethe, znany dostawca cytatów, pisał wprawdzie: „*Der Kaffee in dem Café Grec jaget den Katzenjammer weg*” (przepędza kociokwik), ale to już nie ten nektar co kiedyś. Poznaliśmy się przed laty nad Izarą, u holenderskiego playboy'a, któremu Amerykanie powierzyli dykcję Free Europe. Holender, którego bardziej fascynował *Munich by night* niż wszystkie nasze dzienne sprawy, nie uchwalał się przy sterze dłużej niż trzy lata. Pozostał po sobie nienajgorsze wspomnienie: będąc autorem *bestseller'a* z życia amerykańskich żołnierzy na Oceanii, szanował kolegów po piórze. Młody Słowak zaś zadarł z jakimś kacykiem, trzasnął drzwiami, wybiegł, zdenerwowany, do Angielskiego Ogrodu, i zamiast umrzeć przykładnie z głodu, po niedługim czasie został milionerem: tak się ludzie staczają. To on, były kombatan z tego samego okopu, po spożyciu z Włochami wyprodukował konkurencyjny film, inwestując ponad dziewięć milionów marek, a teraz radby go sprzedać za granicą.

— Natrafiam na pewne przeszkody — zaciąga się papierosem. — Hamburg, Monachium, Wiesbaden upierają się przy pana

projekcie. Dwa podobne filmy na rynku, to za wiele. Musimy się porozumieć.

Przychodzi mi na myśl ta śpiewaczka w Mediolanie, której wypłacono godziwą gażę, żeby tylko nie śpiewała. Nie chcę sobie jednak rozmówcy zrażać: chodzi mi jeszcze po głowie film o Bracie Albercie i ks. Popiełuszcze. Któż rozbija na ten cel skarbonkę z oszczędnościami, jak nie brat Słowak?

Mój rozmówca wtrąca mimochodem, że bawił niedawno w rodzinnych stronach. Jego firma filmowała dzieła sztuki. Praga i Bratysława go potrzebują. Minister kultury i sztuki zabiega o jego względy. „Nasz wpływowy rodak”. Niewielka satysfakcja, a cieszy. — „A pan pewnie nie zagląda do Warszawy”?

A może ten rów filipiński, dzielący dwa światy, roi się tylko w mojej wyobraźni, nastrojonej na białą-czerwoną nutę? A może to tercyny sprawiły: niebo, piekło, czyściec? Jedni odwiedzają domowe drzewa dla dobra nauki (zagadnienie wersyfikacji u Kochanowskiego), inni ratują zabytki (pas słucki, wykupiony od amsterdamskiego zbieracza), jeszcze inni troszczą się synowsko o gospodarke (hodowla srebrnych lisów), tylko garstka nieuleczalnych „niezłomniaków” nawet o powrocie w urnie nie przeżyli.

Avanti! Porozumienie z wytwórną Jana M. i RAI osiągnięte! Nie ma zwycięzców, nie ma zwyciężonych. „Taurus” zapala zielone światło, wiedząc, że bez „polskiego aspektu” telewizja niemiecka filmu nie zakupi. Znowu fruniemy z Ottonem Czwartym do Rzymu. Ponad Alpami telewizjoner powiada: „Pana *Spielfilm* zrealizujemy za rok!”. *Qui vivra, verra, lieber Herr Direktor!* Madame T. w beżowym safari-przyrodziewku czyni honory domu. Już zmobilizowała ekipę techniczną i blaskiem swej urody wyczarowała od władz miejskich zezwolenie na filmowanie ulic, placów, zabytków. Nie jest to takie proste. Tylko panoramę miasta z Janiculum można pstrykać do woli, ale już sąsiedni pomnik Garibaldiego, chociaż liczy sobie zaledwie 91 lat, jako „zabytek narodowy” wymaga osobnej przepustki. Most Anioła uchodzi, o dziwo, za „obiekt wojskowy”. Może dlatego, że stojącą naprzeciw fortecę w szesnastym wieku oblegał Karol V? Na Placu św. Piotra („przedsiemek do nieba”) nie wolno filmować dłużej niż pół godziny. Pałac Sprawiedliwości, fotogeniczna rudera, niedostępny jest z powodu wiecznego remontu. Podobno w piwnicach chlupią wody Tybru. Płochy Rzym dawno już zapomniał o „procesie stulecia”, ale do ponownego dokonania zdjęć wewnątrz bunkra sądowego, gdzie nocują karabinierzy, potrzebny jest papierek od ministra. Watykańską bramę św. Anny można sfilmować z przejeżdżającego samochodu. Szwajcarzy papiescy, chwalić Boga, nie są obiektem militarnym. Na podwórzec kościoła św. Stanisława (pokażemy widzom tablicę Drugiego Korpusu) wpusz-

cza nas gościnnie *curator animarum* emigracji. W ciągu dwóch upalnych majowych dni nakręcamy w różnych punktach miasta pięć „interwencji” polskiego komentatora. Madame T. to nadziewanie gorsetu fiszbinowymi blaszkami, rzecz zrozumiała, nie przypada do gustu, przebąkuje o „votum nieufności” w stosunku do jednego z najwspanialszych osiągnięć współczesnej kinematografii.

— Doszło do moich uszu, że pracuje pan w amerykańskiej rozgłośni — mówi złamanym głosem. — Czy to możliwe?

— Możliwe — zapadam się pod ziemię.

Gdybym był korespondentem *Izviestii*, nie byłoby w tym nic wstydliwego. Ba, spotkalibyśmy się wieczorem na romantycznym spacerze: Pieśni nad pieśniami ciąg dalszy.

Łowcy dźwięku i obrazu nie przepracowują się. Jakby znali słowa Marksa, że miarą postępu społecznego jest długość wypoczynku po pracy. Poszli dalej: wypoczywają przed pracą i w trakcie jej pozorowania. Towarzyszy nam piąte koło u wozu Tespisa: łączniczka, asystentka, tłumaczka, prasówka, Argentynka, której myślopląs zapewne jest mniej dokuczliwy dla słuchacza późną jesienią niż w dzień upalny. Co minutę zmienia temat. Zdania wirują w powietrzu niczym rzutki na konkursie strzelania. Diana składa się do wszystkiego, co jej się nawinie na oczy. Samochód prowadzi jedną ręką, nie patrząc na jezdnię. W innym kraju nie wyszłaby z więzienia, tutaj zaś nikogo to nie razi. Co jakiś czas, kwicząc hamulcami, przystaje, by wpaść do kościoła na krótki pacierz (kościółów w Rzymie nie brak). Przed stromymi schodami kościoła S. Maria in Aracoeli (122 stopnie) parkować nie wolno. Umundurowany olbrzym chwytą się za głowę. W oczach spoconego karabiniera dostrzegam lek przed korpułentną brunetkę. Pewnie już ją znają. I jakże tu mieć za złe Baudelaire'owi antyfeministyczny wybryk: „Zawsze byłem zdumiony, że kobiety wpuszczają do kościoła”.

— Papież temu nieszczęśnikowi przebaczył — poprawia urodę w lusterku samochodu. — Sprawa jest zamknięta. Po co jeszcze ten proces?

W trattorii przyjemnie korzeniami pachnącej, na Zatybrzu, pod tablicą z buńczuczną przechwałką: *Queste dorate nostre tagliatelle non hanno in tutto il mondo le sorelle* (te pachnące nasze tagliatelle nie mają równych sobie siostr na całym świecie) po paru butelkach Orvieto udaje mi się przełamać nieufność operatorów i kilku wyrostków, tragarzy sprzętu, kłamstwem, że znam osobiście Bońka. Cel uświęca środki. Mimo to „inżynier dźwięku”, brodacz w wystrzępionych dzinsach, ze znaczkami Nikaragui na wiatrówce, klęcząc przy swoim kuferku, mruży:

— Po co ten emblemat „Solidarności”? Po co zbliżenie fotografii Wałęsy? Cóż to ma wspólnego z zamachem na Papieża? We Włoszech film się podobał. Po co go ulepszać na gorsze?

A więc to tutaj. Tędy nadjechała biała Toyota... Tam modlił się polscy pielgrzymi... Tam stał Mahmed Ali Agça...

Białe i czerwone róże na miejscu zamachu wzbudzają zainteresowanie przechodniów. Otacza nas spory tłumek, w którym przeważają Japończycy, wprost zgarbieni pod ciężarem fotograficznego ekwipunku. Biję zegar. Gołębie ostrożnie oblatują pióropusz fontanny. Dziwne, z jaką łapczywością ucho emigranta pod obcym niebem wychwytuje ojczyste dźwięki.

Z obcojęzycznej wrzawy, huczącej za plecami, dochodzi mnie język polski:

— Nie zatrzymywać się! Jeszcze nas sfotografują. To może być prowokacja...

Mianem „prowokacji” (nie bez łąta słuszności: *provocare* = wywoływać do walki) obdarzyła nasz kłusowniczy zagon w dwa tygodnie później partyjna gazeta w ojczyźnie Antonowa.

Nic to: 29 maja 1986 trzygodzinne widowisko telewizyjne produkcji włosko-niemieckiej w dwóch częściach, wyświetlone w ciągu jednego wieczora, obejrzały miliony ludzi. Według statystyki *Einschaltquoten*: siedem i pół miliona widzów w RFN, blisko dwa miliony w Austrii, a do tego doszły mnogie tysiące w Niemczech wschodnich, części Szwajcarii, i na „dziko, za miedzą” w Luksemburgu, w Holandii, Belgii, części Francji, na Węgrzech, Słowacji, w Słowenii. Odtwórca roli Agcy był znakomity, aż za dobry: księża w Tyrolu skarżyli się, że wzbudzał sympatię, dziewczęta go żałują. Nadeszło sporo listów, także z pogroźkami, ale gdyby filmowcy zaczęli się wsłuchiwać w „głos ludu, głos Boga”, straciliby wiarę we własne siły. Jakiś rasista z naukowym tytułem nadesłał dłuższy, turkożerczy memoriał, w którym twierdzi, że w Berlinie zachodnim, w kamienicach zamieszkałych przez Turków, dzieci na podwórku bawią się w zamach na Papieża. Elaborat kończy się zdaniem: „I znowu, jak w przeszłości, Półksieżyc zagraża Krzyżowi! Czy mamy skapitulować?”. Nadeszła też depeza: „Kto ukradł nam Wrocław, nie powinien mówić o sprawiedliwości”. „Różowy salonik”, jak było do przewidzenia, polskie wstawki uznał za zbyt liczne. Pewne robespierrzątko z fabrykanckiej rodziny zachnęło się na „zimnowojenny tik” emigranta. Po co rozdrapywać rany, i to właśnie teraz, kiedy Gorbaczow, polityk dobrej woli, pragnie porozumienia z Zachodem, by ocalić świat przed atomową zagładą? To znowu jakiegoś neo-wolterianina niemile dotknęło zdanie: „Zło nie odniosło zwycięstwa nad Dobrem: obrońca praw człowieka i narodów uciśnionych, pielgrzym niestrudzony, nadal spełnia swą misję”. Krytyk sądzi, że pojęcie Dobra czy Zła nie przemawia do człowieka myślącego, że polski papista się zagalopował. Nie on jeden: wystarczy zajrzeć do „Fausta”. Czy Dobro istnieje? Przegrywa czy zwycięża? Czy istnieje odwieczny konflikt między

Dobrem a Złem? Czy zawierzyć pogrobowcom manicheizmu? Czy Henryk Elzenberg wierzył w walkę Arymana z Ormuzdem, gdy pod brzemieniem doświadczeń konstatował, że dzieje ducha nie mają mocy oddziaływania na dzieje zbrodni, i że to, co równoległe z grozą, płynie swoim wąskim, czystym strumieniem? Pytania te gnębią nie tylko teologów i mistyków, trawionych „ostrym pożądaniem rzeczy wiecznych”, ale i ludzi niewierzących. Po Oświęcimiu i Kołymie, chociaż to ludzie ludziom zgotowali ten los, odwieczne wyobrażenia o destrukcyjnej roli księcia ciemności wcale nie osłabły i nadal zaludniają ludzką wyobraźnię. Paweł VI rzekł kiedyś do kardynałów: „Odnoszę wrażenie, że przez jakąś szczelinę wdarł się do Kościoła Bożego swąd diabelski”. — „Nie tylko do Kościoła” — pisał Sacharow. Znamy racjonalistów, którzy nie potraktowali tych słów ironicznie.

Ale nie odbiegajmy za daleko od konwencji felietonu, od naszej wyprawy do krainy filmu i telekacji. Jej bilans, mimo wszystko, nie jest chyba ujemny: poznaliśmy wielu ciekawych i nieciekawych ludzi, podpatrzyliśmy nieznaną nam dotychczas światek, musnęły nas skrzydła „ducha czasu”, no i pobudziła adrenalina: nieprzereparta pokusa szerszenia prawdy o naszych sprawach, imperatyw trykania głową w szkło akwarium.

Wczoraj rano, w monachijskim tramwaju nr 20, którym od lat z naostrzonym ołówkiem i termosem w teczce jeżdżę do pracy, jakaś starsza pani dość długo przypatrywała mi się przez wypukłe szkła i wreszcie rzekła do swojej sąsiadki:

— Nie poznajesz go? To ten *Russe*, który bronił Bułgarów w telewizji.

Nie dość na tym: wysiadając, położyła mi rękę na ramieniu i zawołała z uśmiechem:

— *Gut gemacht!*

Tadeusz NOWAKOWSKI

Wiersze

Ryszard KRYNICKI

JEŻELI W JAKIMŚ KRAJU

(Wiersze i apele XII, 81 - V, 83)

PRAWIE JAK

Nie, nie jak we śnie: prawie jak
na ulicy nieznanego miasta,
w którym już nigdy nie będziesz
przypominasz sobie słowa i adresy,
tak ich mało zostało:
głuchy telefon, głuchy śnieg,
ślady łomu na drzwiach —
co uda się ocalić?
Dwa zdania, numer domu,
nie roztrwoń ich, zachowaj
na czarną godzinę.
Idź, nie rozglądaj się:

patrz uważnie przed siebie.

TWARZĄ DO ŚCIANY

Kobieta odwraca lustro
twarzą do ściany: teraz w ścianie
odbija się martwy śnieg,
chrzęści pod podkutymi butami.
Ogień krzepnie.
Nicość nakłada bagnety.

CIEŻAR

Znika
w niestrudzonym tłumie.

Niesie ciężar godziny
a może trzech lat.

Prowadź ją, zgiełku,
chroni od złego.

SĄ W TOBIE

Nie mijasz, godzino próby:
są w tobie lata przestępne,
są w tobie minuty ciszy.

GODZINA PRÓBY

Dane mi było przewyciężyć strach:
nie podpisałem aktu lojalności
— a jednak jestem wolny. Wolny?
Godzina próby dla mnie

dopiero wybija.

NA JAKI NARÓD?

Na jaki naród
powołuje się władza?
Naród jej nie powołał.
Jaki naród by miała ocalać?
To my szukamy
przed nią ocalenia.

NIE STRZELAJCIE

Żołnierze, nie strzelajcie do nas!
 Nie strzelajcie do swoich braci.
 Jesteśmy bezbronni, a wy
 będziecie musieli do nas wrócić.
 Ci, którzy was przemocą
 wcielili do armii
 i dziś rozkazują wam strzelać,
 jutro wyprą się swoich rozkazów.

NIE CHCEMY

Tym, którzy bronią wojny
 i mówią:
 — To są wewnętrzne sprawy Polski —
 odpowiadamy:

jeżeli w jakimś kraju
 strzela się do ludzi,
 jeżeli w jakimś kraju
 przepełnione są więzienia,
 jeżeli w jakimś kraju
 rządzi tajna policja
 i jawne bezprawie,
 trzeba bić na alarm.
 Nie chcemy,
 żeby wewnętrzną sprawą Polski
 były zbrodnie,

głód, wyzysk, hańba i rozpacz.

KŁAMIĄ, KRZYCZA

Kłamią:
 — Nie chcemy krwi —
 a rozkazują,
 żeby bić i zabijać.

Krzyczą:
 — Historia nas osądzi —
 kiedy zbrodnie
 już ich osądziły.

M U R

Patrząc na betonowy mur,
 drut kolczasty i bramę ze stali
 nie mogłem sobie przez chwilę przypomnieć
 innych imion ojczyzny: w bramie
 uchyliły się drzwiczki

— ale to wyszedł tylko strażnik.

Z O K N A

Żołnierze zabijają
 nudę: buty mają brązowe
 a na nieme pytania: — Co robięś,
 gdy rozkazano strzelać do bezbronnych? —
 niemą odpowiedź: — Miałem szczęście,
 pilnowałem tylko telewizyjnej wieży.

**

Szum, trzaski, jazgot
 zagłuszarki. Nicość pracuje.
 Warszawa pierwsza
 nadaje obok muzykę rockową:
 underground, znikłe
 głosy. Przez wizgi i jęk
 przebija się straszna
 wiadomość o śmierci. Boże,

nie.

V, 83

**

Nie wiem, czy mam prawo mówić.
 milczeć, dotykać rany. Modłę się. Bez
 słów. On

Wie.

CHOCIAŻ JESTEŚ

Chociaż jesteś niehumaniczny,
 tchórzliwie słuchasz każdego rozkazu,
 znęcasz się nad bezbronnym i świadczysz fałszywie,
 choć się czujesz bezkarny
 bo rządzą nami głupcy i siepacze:
 i ty jesteś tylko człowiekiem,
 i tobie tylko ludzki głos pisany.



Klasa, której wady
 piętnował, była jego
 teraz wymiera, nie licząc
 pozostałych — jak on — przy życiu,
 co pamiętają jej cnoty.



Kto by malował
 Kalwina, Pascala lub Nietzschego
 jako pucułowatych chłopców z rumieńcami.



Pozbawiony kochającej matki
 Kartezjusz oddzielił
 duszę od materii.



Tylko kiepska retoryka
 może ulepszać ten świat:
 na słowa prawdy jest on głuchy.



Słowa kłamcy
 czerwienią się, ale cyfry
 statystyka — są bezwstydyne.



Cnota jest zawsze
 droższa niż występki lecz
 tańsza od obłądki.



Spośród ssaków
 tylko człowiek ma uszy,
 którymi nie może okazać emocji.

Ryszard KRYNICKI

Rafał GRUPIŃSKI

WIZYTA

Wędrownica w przeszłość
 budzi w niej lęk przed śmiercią,
 Lecz przecież z każdej strony szyderstwa
 zwanego historią przemawia do niej tak długo
 oczekiwany mąż sprawiedliwości,
 Jego niepozorna twarz, twarz
 pozbawiona wyrazu rozkłada się
 zwolna, z karty na kartę,
 przez oczodoły przebiegają powolne promienie,
 Gdy tłą się jej włosy
 za wysokim oknem rozlega się
 cichy, kuszący dźwięk
 i śmiech odchodzącego mówcy, dobrze znajomy
 śmiech

Rafał GRUPIŃSKI

Jan Nepomucen RZECKI

WIDZIANE Z UKOSA

Życie się coraz bardziej przechyla
 w niczyją stronę,
 lżejsze niż przelot motyla
 nad rozerwaną siecią pająka.

Zostaną rzeczy nieujawnione
w ślinie pajęczej, w przekornych pąkach
na migdałowym drzewie:
pień mu już wysechł, lecz drzewo nie wie
że schną na korze muszle ślimaków,
a kos kpi sobie z drugiego kosa
i śpiewa na zgon pędrakom.

Wszystko widziane z ukosa —
oczami kosa — u schyłku dnia
coraz to bardziej światło przechyla
ku siwym ściegom we włosach.

Kora ma zmarszczki młodsze od pnia.

22 maja 1986

ZAMÓWIENIE

O co są zmarli tak zazdrośni?
o te ileśtam kilo mięsa
na kilku wieszakach kości —
że łążą nam po rzesach
i zagląдают do snów,
za każdą naszą świecą
jak ćmy na oślepie lecą,
wpadają w płomień pamięci —
płomień przygasa,
a oni czekają aż się łąza przekreśli
w oczach czyjegoś czasu.

Wciąż to ciśnienie winy,
astma, zadyszka strachu
na całodziennej stypie rodziny,
gdzie słów obzarstwo, a serca poszczą —

tego zazdroszczą?

Bez kpin, bez namów, trzy razy zamów:
A sio! a kysz!
fora ze dwora, nie na was pora.
Plemienną flegmę strachu
wypłuj na wschód i zachód —

i bez obrazu
wypłusz te ćmy, te cienie,
a sio, a kysz! — zamów trzy razy
duchom przybłędom na odpuszczenie.

POKWITOWANIE

Cięrp, cięrp, duszo moja,
a będziesz zbawiona,
a jak nie wycierpisz,
w Czyśćcu czas twój skona.

Tylko płomienisty Michał wie dlaczego
Piekło dla Szatana i plemienia jego.

A żeś na szalach zważył grzechów wiele,
święty Michale archaniele,
(Jan Nepomucen wzdycha o północy)
jeśli to jest w twojej mocy
i jeśli taka wyroków racja,
chroń od wszelkiego złego
Nepomuka Rzeckiego.
Amen i Deo gratias.

Jan Nepomucen RZECKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

W tym czasie socjalizm stanowił wielką nadzieję ludzkości. Wiara w to, że źródłem wszelakiego zła jest prywatna własność środków produkcji i wyzysk klasy robotniczej, była bardzo mocna.

— *W niedługim czasie zaczął Pan uczestniczyć w upowszechnianiu idei socjalizmu.*

E.L.: — Kiedy pod koniec 1913 roku, po studiach w Zurychu, przyjechałem do Polski, związałem się z PPS-Lewicą, w szczególności z Tadeuszem Rechniewskim, który wystąpił do władz carskich z prośbą o zgodę na utworzenie Kursów Naukowych i Handlowych. Pozwolono na to i tak powstał uniwersytet robotniczy, który nazywał się „Wiedza”. Należała do niego cała elita intelektualna Warszawy, z Krzywickim, z Sempołowską. Ja zostałem mianowany sekretarzem generalnym. „Wiedza” rozwijała się bardzo dobrze. Jej działalność polegała na organizowaniu kursów naukowych dla publiczności. Było to coś w rodzaju dzisiejszego Towarzystwa Kursów Naukowych, choć o szerszym oddziaływaniu. Wygłosiłem tam swój pierwszy odczyt o systemie płac Taylora, miał wielkie powodzenie. „Wiedza” działała także w czasie pierwszej wojny, ale pewnego razu na walne zgromadzenie przyszedł Niedziałkowski i ludzie z nim związani, obalili nasz zarząd i towarzystwo przestało istnieć.

— *Konkretyzacją Pańskich poglądów była również przynależność do PPS-Lewicy.*

E.L.: — Podczas pierwszej wojny byłem w studenckiej organizacji PPS-Lewica. Trwała wtedy w organizacji walka o to, czy wysunąć postulat niepodległości Polski w tej wojnie, czy też dążyć do połączenia się z Rosją po rewolucji. Było sporo odczytów. Walczono z luksemburgizmem. Róża Luksemburg w swej pracy doktorskiej, którą ogłosiła, twierdziła, że Królestwo Polskie nie jest zdolne do samodzielnego bytu ekonomicznego, ponieważ organicznie związane jest z Rosją i dlatego walka o niepodległość byłaby sprzeczna z interesami ekonomicznymi ludności polskiej. Żółkiewski wydał taką broszurę zwalczającą Różę Luksemburg, drugą opublikował bardzo znany w owym czasie adwokat Lewy, i wtedy w PPS-Lewicy Tadeusz Rechniewski utworzył grupę, do której należeli Krzywicki, Sempołowska i inni wybitni intelektualiści polscy. Myśmy byli za niepodległością Polski. Jednak w rezultacie zwyciężyła tendencja antyniepodległościowa i w 1918 roku PPS-Lewica połączyła się z SDKPiL. Zerwałem wtedy wszelkie stosunki nie tylko z lewicą, ale i z polityką. Nie czułem się zbliżony do nowej PPS. Wszyscy moi przyjaciele, którzy byli zwolennikami połączenia się z Rosją wyjechali tam — Wera

Archiwum polityczne

Socjalizm - utopia i rzeczywistość

ROZMOWA Z PROFESOREM EDWARDEM LIPIŃSKIM

„Nie ma innego działania jak tylko działanie z myślą o naprawie i perfekcji. Stąd rola utopii”.

„Bez utopii nie można żyć. I trzeba sobie stwarzać utopijne cele, historia zawsze coś niecoś z nich zrealizuje”.

E. Lipiński

— *Panie Profesorze, nazywa Pan siebie socjalistą. Co to znaczyło kiedyś, na początku XX wieku, a co znaczy obecnie?*

Prof. Edward LIPIŃSKI: — Około 1906 roku przeczytałem książeczkę pod tytułem „Nauka i robotnicy”. Ta lektura była pierwszym bodźcem, który skierował mnie na drogę socjalistyczną. Wcześniej, od czternastego roku życia, należałem do organizacji politycznej stworzonej przez Narodowy Związek Robotniczy. To był jakby odłam Narodowej Demokracji, ale o nastawieniu społecznym. Po prostu moje pierwsze kontakty zadecydowały o tym, z jaką organizacją się związałem. Dopiero w 1906 roku wstąpiłem do uczniowskiej organizacji, która sterowana była intelektualnie przez ludzi pochodzących z PPS-Lewicy. Pod wpływem tych faktów zainteresowałem się naukami społecznymi. Nawet kupiłem sobie w antykwariacie na Świętokrzyskiej pierwszy tom „Kapitału” Marksa. Zacząłem to czytać, ale bez jakiegokolwiek powodzenia. Pierwsze rozdziały „Kapitału” okazały się tak trudne, że dla młodego człowieka bez fachowego przygotowania stanowiły przeszkodę nie do pokonania. Nie skończyłem tej lektury. Rozpocząłem natomiast od tego momentu czytać książki z nauk społecznych. Przedtem zajmowały mnie nauki przyrodnicze.

Kostrzewa, Wacław Wróblewski, Leon Purman i inni. Wszyscy zostali zamordowani przez Stalina jako agenci Piłsudskiego.

— *Jak Pan patrzy na socjalizm dzisiaj?*

E.L.: — Doświadczenie uczy nas, że uspołecznienie środków produkcji nie tylko nie rozwiązuje jakichkolwiek problemów, ale stwarza nowe. Właściwie należy mówić nie tyle o uspołecznieniu, co o upaństwowieniu. Istniało przekonanie, że państwo przejmując rolę kapitalisty znacznie lepiej pokieruje wytwarzaniem i rozwojem. Planowanie i kierowanie procesem produkcji w tych nowych warunkach miało wyeliminować elementy kryzysowe ustroju kapitalistycznego. Praca miała zostać wyzwolona, miały się spotęgować siły wytwórcze. W efekcie, tłumaczono, rzeki bogactwa społecznego popłyną tak obficie, jak nigdy dotąd. Takie założenie okazało się całkiem błędne, a to dlatego, że owa teoria planowego gospodarowania wyrosła z niezrozumienia istoty procesu ekonomicznego. Wyobrażano sobie, że proces produkcji może być całkowicie zaplanowany z góry, że każda fabryka otrzyma wymyślony w ministerstwie lub zjednoczeniu plan określający ilość produktów, ich rodzaj, ilość robotników, koszty i że to będzie gwarantem powodzenia. Ten system został oparty na doświadczeniach niemieckich z okresu pierwszej wojny światowej, na planowaniu gospodarczym armii niemieckiej. Doświadczenia te stały się podstawą systemu planowania gospodarczego „wyznaczonego” w Związku Sowieckim. Cały ten system sprawił, że pozbawiono proces produkcji elementów twórczych, elementów ryzyka i przedsiębiorczości. A proces produkcji pozbawiony własnie kreatywności, intuicji, jest okrojony, przyduszony, uniemożliwia postęp ekonomiczny.

Istnieje coś takiego jak planowanie strategiczne i operatywne. To ostatnie dotyczy przedsiębiorstwa, a jego skutki właśnie dzisiaj widzimy. Z przedsiębiorstw utworzono teatr marionetek. Manadżerowie nie mieli w nich nic do powiedzenia. Motywacja działania przedsiębiorstwa została zupełnie zniszczona, efektem tego jest permanentny brak towarów. Produkowało się tylko te rzeczy, które pomagały w wykonywaniu planu. Mówiło się, że kapitalizm pracuje dla zysku, a socjalizm dla zaspokojenia potrzeb człowieka. Okazało się jednak, że to kapitalizm zaspokaja potrzeby społeczne, gdyż wytwarza nadmiar produktów, socjalizm zaś przy tym systemie, jaki zastosowano, prowadzi do nieustannego ich braku.

Planowanie strategiczne dotyczy przede wszystkim uprzemysłowienia kraju. Otóż to planowanie daje niezwykle duże możliwości arbitralnych i błędnych decyzji, decyzji opartych na pewnych fetyszach, na widzimisie. Wyraziło się to w sposób klasycz-

ny za Gierka. Błędne planowanie strategiczne działało zresztą przez cały czas. Uważano, że ważny jest przemysł ciężki, a nie lekki, nieważne było rolnictwo, więc je zniszczono, zaniedbano budowę elektrowni, transport, usługi, drobny przemysł. Połowa eksportu japońskiego jest produktem przemysłu drobnego. U nas stawiano giganty.

Źródłem tego wszystkiego jest fałszywa teoria socjalizmu, polegająca na tym, że socjalizm kojarzy się z brakiem demokracji. Lenin mówił, że socjalizm można wprowadzić tylko przez przymus. Taki socjalizm, obmyślony przez człowieka arbitralnie, przy biurku, jest sztuczny, nieprzytostosowany do motywów ludzkiego działania, do tradycji.

— *Czy ta błędna teoria miała swe źródło tylko w działaniach władzy, czy też może sprzyjały jej pewne tendencje w naukach ekonomicznych?*

E.L.: — Tendencje były stwarzane sztucznie. Ekonomista, który wygłaszał własne poglądy był zrzucany z katedry. Stworzono nauki społeczne takie, aby usprawiedliwiały prowadzoną politykę. Tak zniszczono ekonomię, którą uważano za papkę ideologiczną. Spreparowano kalekich ekonomistów, nie mających pojęcia, co to jest właściwie proces ekonomiczny, środki produkcji, podaż, popyt.

— *Czy można więc powiedzieć, że jak dotychczas socjalizm jest realizowany jedynie przez upaństwowienie środków produkcji i czy wobec tego istnieje?*

E.L.: — To jest problem. Rozwój kapitalizmu w ostatnich dziesiętnościach lat dowodzi jednej rzeczy, że problem własności prywatnej zmienił swój charakter. Wielkie firmy amerykańskie czy niemieckie nie mają właściciela. Jeśli nawet jest rada akcjonariuszy, to nie ma ona nic do powiedzenia. Zarządza fabryką nie Ford, chociaż jest właścicielem, ale manadżerowie. Nie jeden, ale cała grupa. W dużej korporacji jest prezes, wiceprezes, dyrektorzy i ich zastępcy, kierownicy działów i zarządzający poszczególnymi zagadnieniami: *marketing*'iem, przyszłą technologią, rynkami zbytu, organizacją pracy, stosunkami międzyludzkimi itd.

Jeżeli za socjalizm chcielibyśmy uznać nowy, lepszy od kapitalistycznego system gospodarowania, to trzeba powiedzieć, że takiego socjalizmu nie ma. Socjalizm, który jest, nie zdołał stworzyć żadnego nowego systemu ekonomicznego, bo to nie jest możliwe. Czy są socjalistyczne ceny? — Nie ma. Są ceny, które odbijają koszty produkcji. Próbowano twierdzić, że jest zysk socjalistyczny. Mówiono, że istnieje moralność socjalistyczna. Chciałbym zobaczyć, co to takiego?

— Czy można przypuszczać, że gospodarka menedżerska doprowadzi naturalną drogą do rozwoju socjalizmu?

E.L.: — Jaki tam powstanie socjalizm, kiedy, to jest problem. Na pewno w Szwecji dużo jest z socjalizmu, to samo w Niemczech Zachodnich czy we Francji. Tam robotnik reprezentuje wysoki poziom intelektualny, dobrze mieszka, ma zabezpieczony byt. Są to wszystko zdobycze, które można nazwać socjalistycznymi. Żadne państwo socjalistyczne nie może pochwalić się takimi urządzeniami społecznymi, jakie istnieją na przykład w Szwecji. Państwa socjalistyczne nie mają potrzebnej do tego siły gospodarczej.

Systemy społeczne zmieniają się w historii nie na skutek rewolucji, nie są wynikiem opracowanego planu. W historii były i są takie małe społeczności, które działają na podstawie uprzednio stworzonych reguł. To klasztory. To się ludzkości udało. W większej skali nie może jednak udać się skonstruowanie z góry obmyślonego społeczeństwa. Ono może wyrosnąć tylko z historii. Zanim powstał kapitalizm, na przełomie XVII i XVIII wieku nastąpiła rewolucja w świadomości społecznej. W wiekach średnich w świecie zachodnim człowiek myślał o zbawieniu duszy i to było głównym motywem jego działania. Rewolucja, która potem nastąpiła polegała na tym, że powszechnie jako zasadę działania zaczęto przyjmować interes osobisty. Bogactwo zostało usprawiedliwione przez protestantyzm. Sekty religijne głosiły: jeśli Bóg daje ci bogactwo, to znaczy, że nie jest grzechem bogacić się, być bogatym. Stworzony został nowy etos pracy. Pracowitość stała się wartością najwyższą. Dopiero za takimi zmianami w świadomości społecznej szły zmiany gospodarcze. Jako podstawę procesów produkcji wprowadzono naukę, z niej wyrosła technika, która pozwoliła na rozwój produkcji maszynowej. Nowa świadomość społeczna i nowa technika stworzyły klasę robotniczą, stworzyły wielki kapitalizm. Rewolucja Francuska usunęła tylko pewne przeszkody na drodze do rozwoju kapitalizmu.

— W ostatniej Pana książce¹ materiałem dostarczającym najwięcej wiadomości o Panu samym jest polemika z Kisielem, przeprowadzona po wywiadzie, którego udzielił Pan pod koniec lat sześćdziesiątych Argumentom. W tych tekstach najpełniej ujawnia się Pana utopijne widzenie świata. Podczas tej lektury odnosi się wrażenie, że być utopistą to wielka odpowiedzialność.

E.L.: — Jeśli powiedziałem, że nie jestem socjalistą naukowym tylko utopijnym — to w pierwszej części powiedziałem prawdę.

1. Edward Lipiński, „Problemy, pytania, wątpliwości. Z warsztatu ekonomisty”. PWE, Warszawa 1981.

Nie jestem socjalistą naukowym, bo nie wierzę w naukowy socjalizm. Jeśli powiedziałem, że jestem socjalistą utopijnym, to była w tym pewna kokieteria intelektualna. Można sobie wyobrazić jak będzie wyglądało przyszłe, lepsze społeczeństwo, bo dzisiejsze jest złe. Stoję na stanowisku, że opierać się trzeba na tym, co dzieje się w historii, jakie zmiany zachodzące w historii przygotowują nową epokę.

— Chodzi o coś innego. Utopiści dają masom pewne idee, na ogół piękne, porywające, ale niezbyt uczciwe, pomijają środki, które do realizacji tych idei służą. A środki bywają różne, czasem deformują pierwotną ideę.

E.L.: — Wszyscy utopiści są groźnymi ludźmi. Mają dokładny obraz lepszego społeczeństwa, a mając taki obraz wiedzą, kto i jak ma je stworzyć.

— Jak?

E.L.: — Otóż piękne społeczeństwo można stworzyć tylko drogą przymusu. Prawie wszyscy utopiści byli jednocześnie zwolennikami autokratyzmu, poczynając od Platona. Jeśli mają obraz przyszłego społeczeństwa, to jednocześnie wyobrażają sobie, jakimi drogami je budować. Stąd bierze się powierzenie realizacji takiej idei wybranemu człowiekowi, księciu, albo wybranej grupie — mędrcom, albo partii komunistycznej.

— W ten sposób można usprawiedliwić każdą decyzję.

E.L.: — Oczywiście. Mówi się: my wiemy jak należy myśleć, działać, co jest dobre a co złe, my wszystko wiemy, a wy nie wiecie.

— Panie Profesorze, czy sierpniowy sprzeciw ludzi pracy, ten przełom rodzi możliwość stworzenia czegoś lepszego?

E.L.: — Rodzi. Ten sprzeciw powstał zresztą znacznie wcześniej, wraz z założeniem KOR-u. Założyliśmy go w 1976 roku po to, żeby bronić robotników, tych, którzy byli wyrzucani z fabryk, aresztowani, bici, głównie z Ursusa i z Radomia. Stworzyliśmy organizację dla pomocy finansowej i prawnej. Jeździliśmy na rozprawy sądowe, żeby swoją obecnością mitygować sędziego, ale on się nie dawał... Potem stworzyliśmy taką tezę, że należy dążyć do społeczeństwa opartego na samorządzie i samopomocy, że należy zerwać z tym, że wszystko robi za nas państwo i partia. I to był wynik doświadczeń historycznych. Widzieliśmy, co się dzieje z naukami społecznymi, z kulturą, z gospodarką. Polska

była zagrożona ekonomicznie, kulturalnie, moralnie i ekologicznie. Powstanie KOR-u stanowiło krok w kierunku samoorganizowania się wszystkich grup społecznych. Tworzyliśmy związki zawodowe, prasę robotniczą, niezależny ruch chłopski, niezależne wydawnictwa, towarzystwo kursów naukowych. Wszystko dla przezwyciężenia tego śmiertelnego zagrożenia Polski. Jednak dopiero ruch „Solidarności” zahamował te zgubne i niszczące procesy, trwające nieprzerwanie od 1948 roku.

— *Czy widzi Pan perspektywy dla tej sytuacji?*

E.L.: — Widzę. Całe społeczeństwo jest tak rozbudzone, że powrót do dawnych czasów jest niemożliwy. Z tymi nowymi zjawiskami partia musi się pogodzić, nie ma innej rozsądnej możliwości.

— *Panie Profesorze, ale kluczem do pomysłnych perspektyw jest sytuacja ekonomiczna.*

E.L.: — O tym nie bardzo chciałbym mówić, gdyż nie znam metod wyjścia z kryzysu. Myślę, że są trzy rzeczy, które koniecznie trzeba zrobić. Trzeba doprowadzić rolnictwo do takiego stanu, żeby dobrze produkowało. Trzeba zwiększyć produkcję węgla. Nie mam na to recepty, ale pewnie są tacy co mają. I trzecia rzecz, najtrudniejsza, to zdobycie kilku miliardów dolarów na powiększenie importu maszyn, narzędzi, części zamiennych, surowców i żywności.

— *Czy uważa Pan, że polska współczesna myśl ekonomiczna jest w stanie udźwignąć zaistniałe problemy i wyprowadzić kraj z obecnej sytuacji, mając w miarę wolne ręce?*

E.L.: — Raczej tak. Współdziałanie ekonomistów w obecnych planach reformy² był spory. Zapowiada się dobra reforma, choć widać w niej pewne braki. Na przykład mój przyjaciel, Bronisław Minc, wskazuje, że związanie płac z zyskiem nie zapewnia efektywności. Jest to zbyt abstrakcyjny motyw dla robotnika. Może on doprowadzić do tego, że fabryki będą produkować to, co zapewnia największy zysk. Jeśli zostanie wprowadzona prawidłowa reforma, to i tak nie zadziała ona od razu, zwłaszcza, że powszechnie brakuje energii, surowców.

— *Jak Pan ocenia współczesną literaturę ekonomiczną?*

E.L.: — Nie umiem jej ocenić, ponieważ w ostatnich kilku latach nie zajmowałem się naukami ekonomicznymi, lecz polityką. Ale

2. Chodzi o plany reformy sprzed 13 grudnia 1981 roku.

przy okazji tego wywiadu zwracam się z serdeczną prośbą do moich przyjaciół i znajomych, którzy wypożyczyli ode mnie książki, m.in. Gombrowicza, pamiętniki Witosa, Druckera, i nie oddali mi ich nigdy, żeby się zlitowali nade mną i zwrócili te książki, bo mi całkiem bibliotekę zrujnowali.

— *Ale widzi Pan chyba takie tytuły, które można polecić tym, którzy powinni zapoznać się ze współczesną ekonomią? Skąd mają czerpać?*

E.L.: — Powinni przede wszystkim zacząć od amerykańskich książek o zarządzaniu, od takich autorów jak Peter Drucker czy Chandler. Ten ostatni wydał niedawno książkę pod tytułem „Widoczna ręka zarządzania”. Tytuł jest zaprzeczeniem pewnego stwierdzenia Adama Smitha, który powiedział kiedyś, że gospodarką rządzi niewidzialna ręka rynku. Chandler powiada, że ta epoka dawno już minęła. Gospodarką rządzi teraz widoczna ręka zarządzania, ręka menadżera. Ani Drucker ani Chandler nie są u nas tłumaczeni.

Ich książki o zarządzaniu dlatego wydają mi się ważne i pierwszoplanowe w edukacji, że przez cały poprzedni okres źle kształcono naszych ekonomistów. Szkoły ekonomiczne produkowały urzędników, bo system ich potrzebował. Gospodarce potrzebni są jednak menadżerowie, bo gospodarka socjalistyczna może dobrze funkcjonować tylko jako gospodarka menadżerska.

— *Panie Profesorze, czy tuż po wojnie, kiedy rodził się nowy ustrój, ekonomiści mieli świadomość niebezpieczeństwa realnego socjalizmu?*

E.L.: — Nie, nie mieli, oprócz pojedynczych wyjątków.

— *Do której grupy Pan należał?*

E.L.: — Muszę przyznać, że przez kilka miesięcy uważałem to za socjalizm. Byłem zaczadzony i nie wszystko, co się wokół mnie działo, rozumiałem. Wierzyłem, że coś można zrobić. W 1946 roku wstąpiłem nawet do PPS oświadczając, że wstępuję dlatego, bo tylko w PPS mogę walczyć o niepodległość kraju. Minister Skarbu mówił mi, że nie muszę wstępować do partii, bo przecież i tak znają moje poglądy i moją PPS-owską przeszłość, ale ja uważałem, że to jest droga do niepodległości kraju.

Pamiętam z tamtego czasu swoją rozmowę z cudzoziemskimi dziennikarzami, w której krzywiłem się na naszą ówczesną gospodarkę. — Ale nie myśli pan chyba — zapytał mnie jakiś francuski dziennikarz — że rząd w Polsce jest marionetkowy? — Ależ skądże, odpowiedziałem, wcale tak nie myślę.

Potem już zawsze byłem przeciw, toteż nieustannie mnie z czegoś zwalniano. Zdjęto mnie jako prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego, zdjęto jako profesora nauk ekonomicznych i powierzono mi historię myśli, jako profesora w ogóle, jako dziekana nauk ekonomicznych w Uniwersytecie, jako prezesa PTE, jako naczelnego redaktora *Ekonomisty*.

Moim najczystszy okres pracy, wspominam go z największą sympatią, była moja działalność podczas okupacji hitlerowskiej. Niemcy, którzy zniszczyli szkolnictwo wyższe pozwalali na zakładanie rocznych kursów handlowych dla sprzedawców. Wystąpiłem wówczas z podaniem o takie kursy, ale mi nie dano zezwolenia. Pozwolono mi natomiast otworzyć szkołę powszechną, w której dla młodzieży dojrzałej próbowałem zrobić kurs SGH. Później wszedłem w kontakt z zarządem miasta i skłoniłem ich, żeby oni wystąpili o takie kursy handlowe. Otrzymali pozwolenie. To się nazywało Miejska Szkoła Handlowa II stopnia, ja byłem dyrektorem. Prowadziliśmy tam kurs SGH, m.in. zamiast religii profesor UW wykładał teorię poznania. Zatrudnialiśmy 60 profesorów, w ostatnim roku istnienia szkoły mieliśmy 820 studentów. W tym czasie z Krakowa otrzymałem pismo od niemieckich władz szkolnych, w którym przeczytałem: „Wielokrotne wizytacje w pańskiej szkole dowiodły, że uczy pan przedmiotów zakazanych. Jeżeli się to powtórzy, będzie odpowiadał pan, pańscy nauczyciele i pańscy uczniowie”. Ale przyszedł koniec wojny. To wojenne SGH miało piękną młodzież, to nie były zmarnowane lata. Byłem sobie wdzięczny, że wpadłem na taki pomysł. Po powstaniu otrzymałem polecenie od władz szkolnych londyńskich, żeby utworzyć w Częstochowie pierwszy rok SGH. Pojechałem tam z profesorem Gorzuchowskim, który był wysokim mężczyzną, wziął mnie w pól i wrzucił do zatłoczonego pociągu...

— *Powiedział Pan, że większość ekonomistów nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństw, jakie dla życia gospodarczego wiążą się z upaństwowieniem gospodarki i planowaniem. Czy jednak nauka nie powinna przewidywać takich niebezpieczeństw i czy wobec tego ekonomiści w jakimś stopniu nie ponoszą odpowiedzialności za istniejący stan gospodarki?*

E.L.: — Z mojej książki można wyczytać, że dość wcześnie były krytyczne uwagi. Pamiętam, że zaraz po wojnie napisałem artykuł w piśmie wydawanym przez PPS, krytycznie wyrażając się o planowaniu. Wskazywałem na nieuniknione błędy powstające przy planowaniu.

Doświadczeń sowieckich nie znałem. Nie było dostępnych źródeł, z których można by wyciągnąć wnioski dla siebie. Zresztą, nie interesowałem się Związkiem Sowieckim, bo uważałem

ich rewolucję za przypadek historyczny, który nie ma znaczenia uniwersalnego. Niedawno wyszła taka książka w języku francuskim pod tytułem „Socjalizm umarł”. Umarł, na skutek doświadczeń sowieckich. Choć w różnych krajach są partie komunistyczne, to nigdzie dzisiaj nie ma takiego ruchu, który starałby się urzeczywistnić system sowiecki. Na przykład socjalizm francuski nie ma nic wspólnego z sowieckim, który wyrósł na odmiennym podłożu historycznym: mongolsko-bizantyjsko-carskim. Stąd teoria Lenina, że socjalizm można wprowadzić tylko przymusem i utrzymywać go można tylko siłą. Dopiero komunizm, mówił Lenin, to będzie taki ustrój, który wytworzy się sam.

Ale wracając do tematu. Ekonomiści uczyli się powoli. Dopiero Zjazd ekonomistów w czerwcu 1956 roku był wybuchem myśli ekonomicznej. Jego siła wyrosła z doświadczeń, z obserwowania praktyki gospodarczej. Na Zjeździe najpełniej ujawnił się krytycyzm naszego środowiska. To wszystko zaowocowało reformą gospodarczą. Została powołana Rada Ekonomiczna przy Prezydium Rady Ministrów. Jej prezesem był Oskar Lange, wiceprezesami: Brus, Kalecki, Bobrowski i ja. Kierującą siłą stanowią Bobrowski jako sekretarz generalny. Reforma była podobna do tej, którą teraz chce się realizować. Wprowadzono ją tylko częściowo. Pojawiły się pewne objawy kryzysowe, które przypisano reformie, więc się z niej wycofano, wycofano też zdobycze polityczne.

Byli, oczywiście, ekonomiści, którzy widzieli wszystkie defekty funkcjonującego wówczas systemu. Na przykład Brus i Lange mówili, że gospodarka sowiecka jest gospodarką wojenną i nie gwarantuje w warunkach pokojowych zaspokajania potrzeb konsumenta. Kalecki natomiast wierzył w planowanie.

— *Do tej pory wraca się do ekonomii Langego, Kaleckiego. Co dzisiaj ekonomiści mogą czerpać z ich prac?*

E.L.: — Moim zdaniem nic. Czasy się zmieniły, problemy się zmieniły. To jest historia i warto ją znać, żeby wiedzieć co było kiedyś. Moje poglądy są teraz też inne niż dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Nauczyłem się wiele. Kiedyś nie uświadamiałem sobie, co to naprawdę jest proces ekonomiczny. To dopiero przyszło z czasem.

— *Z czasem zmieniał się Pan jako socjalista. Czy te idee, które tak bardzo podobały się Panu w socjalizmie kiedyś, grają również rolę dzisiaj i czy widzi Pan taką samą możliwość ich realizacji?*

E.L.: — Mówiłem, że problem własności zmienia swój charak-

ter. Socjalizm, który jest oparty tylko na państwowej własności nie może funkcjonować, ponieważ są działy produkcji, które właściwie mogą być prowadzone tylko przez prywatnego rzemieślnika czy drobnego przedsiębiorcę. Socjalizm musi być systemem mieszanym.

— *Czy tak samo myślał Pan dawniej?*

E.L.: — Nie. Dawniej tego nie widziałem, ponieważ aż do wprowadzenia realnego socjalizmu tych rzeczywistych problemów, które dziś się pojawiają, nie znano. Na początku swojej drogi nie miałem pojęcia o tej ekonomii politycznej, którą znam teraz. Dawniej byłem zwolennikiem makroekonomii, czyli takiej, która zajmuje się równowagą całej gospodarki. Teraz uważam, że to jest całkowicie bezużyteczne. Istotna jest mikroekonomia, bo ważne jest miejsce, gdzie zapadają decyzje, gdzie jest postęp, kreatywność, ryzyko, przedsiębiorczość. Ważne jest miejsce, gdzie się gospodarka rodzi, mniej natomiast to, jak działa. Całość jakoś będzie działała. To jest tak jak rwąca rzeka na kamiennym łożysku. Burzy się, ale płynie naprzód. Tak samo jest ze społeczeństwem. Nie może ono być zaplanowane, zadekretowane, gdyż wtedy jest termitierą, obumiera. Musi istnieć swoboda, wolność dla ludzkiego działania.

Rozmowa została przeprowadzona w Warszawie w październiku 1981 roku i dotychczas nie była publikowana.

Korespondencja z Rzymu

W ÓSMĄ ROCZNICĘ PONTYFIKATU

Pięć lat temu (nr 11/410, 1981) z okazji rocznicy pontyfikatu przeprowadziłem na tych łamach ankietę wśród kolegów reprezentujących różne nacje i światopoglądy, akredytowanych przy Stolicy Apostolskiej. Zasadnicze pytanie brzmiało: co najbardziej uderza obserwatorów watykańskich w obecnym pontyfikacie? Ponowiłem to pytanie z okazji przypadającej 16 października br. ósmej rocznicy pontyfikatu, precyzując, że chodzi mi również o wprowadzenie ewentualnych nowych elementów oceny względnie zauważonych zmian. Wszyscy interpelowani odpowiedzieli z jednym bardzo znamienym wyjątkiem. Wobec nieobecności korespondentki wielkiej gazety amerykańskiej *The National*

Catholic Register, biorącej udział w poprzedniej ankiecie, skierowałem prośbę do watykańskich przedstawicieli dwóch amerykańskich agencji prasowych: *Religious News Service* (Nowy Jork) i *National Catholic News Service* (Washington, agencja Episkopatu USA). Odmówili, bo z góry otrzymali zakaz wypowiadania się na temat pontyfikatu. Rzecz niebываła, jak na obyczaje panujące w amerykańskim środowisku prasowym, to narzucone ograniczenie wolności opinii. Przyczyną tego zakneblowania ust (właściwie słowa drukowanego) są napięcia, panujące w łonie Kościoła i społeczności katolickiej w USA, wzmożone na skutek ostatnich dyscyplinarnych zarządzeń Watykanu wobec znanego teologa Charlesa Currana, jezuitę T. Sveeny i arcybiskupa R. Huthausena z Seattle. Chodzi przede wszystkim o zazdrośnie strzeżone i rewindykowane prawo do swobodnych badań w zakresie takich problemów moralnych jak: sztuczne przerywanie ciąży, rozwody, stosunki przedmażeńskie, homoseksualizm i eutanazja.

Curran i szereg innych amerykańskich teologów twierdzą, że w tej dziedzinie nauczanie Kościoła nie jest wyposażone w cechę nieomylności. Wielkiego rozgłosu nabrała zwłaszcza sprawa Currana, któremu kardynał Ratzinger (z upoważnienia papieża) odebrał prawo wykładania na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie. Decyzja ta spowodowała rozłam wśród ciała nauczycielskiego, protesty teologów i studentów. Także w łonie Episkopatu zdania są podzielone. Sprawa ta jest nadal otwarta.

Luigi Accatoli, CORRIERE DELLA SERA, Mediolan:

W zakończonym ósmym roku pontyfikatu wzmacnia się wrazenie jego polskiej specyfiki, przekształconej w program rządów i rzutowanej ku trzeciemu światu i trzeciemu tysiącleciu. Specyfika polska oznacza odrzucenie duchowe — to znaczy totalne — zachodniego sekularyzmu i ideologii komunistycznej. Trzeci świat to ludzkość jutra, którą należy ocalić od tego podwójnego zdławienia. Trzecie tysiąclecie to czas kryzysu lub próby, decydujący o losach ludzkości i Kościoła: energia nuklearna, inżynieria genetyczna, walka ideologiczna o panowanie nad światem. Na tym dramatycznym skrzyżowaniu dziejów Papież słowiański, pochodzący z kraju, który nie należy ani do pierwszego, ani do drugiego świata, ma misję popierania przejścia Kościoła do trzeciego świata. Znajdzie tam może drogi odrodzenia, jeśli mu się uda „nie dać sobie wydrzeć przez nikogo sztandaru sprawiedliwości” (wypowiedź w Kolumbii) i prowadzić aktywnie dialog z innymi religiami (prześlania trzeciej podróży do Afryki i podróży do Indii). Dialog z religiami będzie mógł również pomóc w budowaniu pokoju (spotkanie w Asyżu). W syntetycznym ujęciu: trzecie tysiąclecie i trzeci świat oznaczają decyzję „pójścia wszem” (encyklika „*Dominum et Vivificantem*”). Być może rozpoczyna się druga faza pontyfikatu odznaczająca się przełamaniem wszelkich granic — geograficznych i kulturowych — w inicjatywie Kościoła.

Père Joseph Vandrissé, LE FIGARO, Paryż:

W poprzedniej ankiecie kładłem nacisk na otwarcie ekumeniczne i otwarcie europejskie. Potwierdziło się to w ciągu ostatnich lat, kiedy z roku na rok pontyfikat nabierał nowych wymiarów w szerokości i głębokości. Najpierw w sensie szerokości. Twórca papieskiej Rady Kultury, Jan Paweł II, nie przestał naciskać na ewangelizację kultur. Równocześnie nie przestaje od pięciu lat zdecydowanie popierać dialogu międzyreligijnego, dialogu, który odrzuca wszelką pokusę synkretyzmu i zobowiązuje stronę chrześcijańską do ponownego odkrycia tego, czym jest. Data 19 sierpnia 1985 roku jest w tym znaczeniu kapitalna: spotkanie w Casablance i przemówienie papieża do stu tysięcy młodych muzyłmanów. Podobna data to 13 kwietnia 1986 roku, wizyta w rzymskiej synagodze. W dialogu te dwa spotkania będą odtąd nieodzownymi punktami odniesienia. W tym wszystkim Jan Paweł II ujawnia swą troskę o lojalne wykonanie decyzji Drugiego Soboru Watykańskiego, zgodnie z tym, co ten Sobór rzeczywiście postanowił i czego faktycznie pragnął (tematyka nadzwyczajnego Synodu w listopadzie-grudniu 1985 roku).

W sensie głębokości. Jest oczywiste, że dla papieża, którego powołaniem jest „utwierdzenie wiary swych braci”, najważniejsza walka polega na głoszeniu prawd wiary Kościoła — drogi ocalenia dla człowieka — w obliczu potęgi kłamstwa, działającej obecnie również w łonie wspólnot chrześcijańskich. Tylko Duch Święty jest nauczycielem prawdy. Tylko On może pomóc człowiekowi w ujawnieniu kłamstwa: „nie pójdiesz naprzód” (encyklika „Dominum et Vivificantem”). W licznych krajach zachodnich niebezpieczeństwo, na jakie Kościół jest narażony, polega na sekularyzacji wiary, przedstawianej paradoksalnie jako łaska. Odnowa rozpoczęła się, ale trzeba, by chrześcijanie zabrali się do pracy, w pierwszym rzędzie dziennikarze prasy katolickiej. Problem informacji i komunikacji ma, moim zdaniem, kapitalne znaczenie w tych 14 latach, jakie dzielą nas od trzeciego tysiąclecia.

Antonio Pelayo, YA, Madryt:

Historyczny wymiar tego pontyfikatu — jeśli możemy go osądzić już po ośmiu latach — rozwijał się i będzie się rozwijać w dwóch kierunkach.

Fakt, że Jan Paweł II jest pierwszym papieżem słowiańskim nie stanowi egzotycznej rzadkości, lecz prawdziwy znak profetyczny. By go w jego złożoności zrozumieć należałoby nie redukować tego rodowodu słowiańskiego i jego konkretnego, polskiego oblicza do bezpośredniego wpływu Karola Wojtyły na sprawy Polski lat 80-tych. Bez intencji negowania wagi i znaczenia tego oddziaływania w niedawnej przeszłości, w teraźniejszości i być może

również w bliskiej przyszłości, stanowi on dzisiaj jedynie element większej struktury i szerszej perspektywy geograficznej i kulturowej. Tysiąclecie chrześcijaństwa słowiańskiego nie może być wyeliminowane przez „rewolucję ideologiczną”, która nie ukończyła jeszcze 75 lat. Na tej bazie analizy i realizmu historycznego oraz z teologiczną ufnością Jan Paweł II, spoglądając ku trzeciemu tysiącleciu, sieje i ochrania ziarno już zasiane, by wydało owoce „w stosownym czasie”.

Drugi historyczny wymiar tego pontyfikatu polega, wydaje mi się, na obronie godności osoby ludzkiej i jej podstawowych praw. Dwa niebezpieczeństwa zagrażają człowiekowi współczesnemu: reżimy totalitarne, które go pozbawiają praw obywatelskich i wolności oraz groźba zapomnienia przez niego o własnej godności poprzez stawianie się niewolnikiem samego siebie. Papież na wszystkich kontynentach powtarza niestrudzenie, że człowiek jest stworzeniem Boskim, że każdy jest obdarzony jednakową godnością, że ucisk, pogarda i tłumienie wolności stanowią także wykroczenia teologiczne, są prawdziwym grzechem społecznym.

Alceste Santini, L'UNITA, organ PCI (włoskiej partii komunistycznej):

Bardziej niż osądzać osiem lat pontyfikatu Jana Pawła II, chciałbym tylko podkreślić to, co wydaje mi się korektą kursu nie całkiem jeszcze zrealizowaną. Papież Wojtyła rozpoczął swój pontyfikat, kładąc nacisk na prymat przesłania chrześcijańskiego (lub lepiej, katolickiego), by rozwiązać dręczące problemy naszych czasów. Rewindykował, ponadto, prawo do potwierdzania tego prymatu w każdym kontekście społeczno-politycznym. Rewindykacja oczywiście całkiem słuszna. Ta sprawa prymatu sprawa jednak wrażenie, że chciałby zmodyfikować (jeśli nie wręcz obalić) nastawienie, oparte na stosunku dialogowym pomiędzy Kościołem katolickim i światem pluralistycznym w duchu wzajemnego zrozumienia i dopełnienia, przekazane przez Jana XXIII i rozwinięte, również na płaszczyźnie dyplomatycznej, przez Pawła VI. Stąd liczne cienie, jakie okryły *Ostpolitik* watykańską, ekumenizm, dialog kulturowy. Wraz z podróżą do Indii i wobec zbliżającego się spotkania w Asyżu, przez niego zwołanego, z przedstawicielami różnych religii dla wspólnej modlitwy o pokój, Jan Paweł II podjął na nowo kulturę dialogu na płaszczyźnie jednakowej godności wszystkich religii oraz pomiędzy wierzącymi i niewierzącymi. Na słuszności tego planu ciąży negatywnie stanowisko w sprawie teologii wyzwolenia i marksizmu, co ujawnia kiepską znajomość ewolucji, jaka dokonała się w tych dziedzinach. Trzeba jednak poczekać, jakie będą najbliższe, konkretne akty tego papieża, który zbyt często sprawia wrażenie, iż nie chce brać pod uwagę innych kultur, jakie przecież składają się na nasz sposób życia i działania w tym złożonym świecie współczesnym.

Benny Lai, *IL GIORNALE*, Mediolan:

W tych ostatnich pięciu latach stał się oczywistym czynnikiem, który w 1981 roku był czymś normalnym: wobec zaledwie rozpoczętego pontyfikatu katolicy przeprowadzają konfrontację pomiędzy nowoobranym Papieżem a jego bezpośrednim poprzednikiem. Zawsze tak się dzieje. Faktem, który uderza jest to, że ta konfrontacja trwa nadal również i po okresie „dotarcia”. Dlaczego? Oczywiście dlatego, że z oporem przychodzi zrozumienie linii pontyfikatu w okresie, w którym mamy do czynienia z wielkimi przemianami, zarówno w społeczeństwie, jak i w Kościele. Powstaje stąd pytanie: dokąd zmierza Kościół i jaką drogę wyznacza mu Papież Wojtyła? Nikt tego właściwie dobrze nie wie. Kontestacja w czasie pontyfikatu Pawła VI była czysto zewnętrzna, niepoważna. Dziś mamy do czynienia z konfuzją i dysydencją znacznie głębszą i podstępą na wszystkich szczeblach w łonie samego Kościoła. Każdy pontyfikat nabiera cech człowieka, który go uosabia. Mówienie o Wojtyłce jako enigmatycznej jest infantylne. Przychodzi on z pogranicza Kościoła, a zatem z siłą ludzi, którzy są wciąż narażeni na walkę i także — dlaczego nie? — z gwałtownością bojowników. Kościół się zmienia, to prawda, ale także papieżstwo podlega zmianom. Wojtyła odsakralizował papieżstwo. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Nie dożyję czasów, by móc to sprawdzić, ale przeobrażenia wewnętrznych i zewnętrznych form papieżstwa przyczyniają się — moim zdaniem — do niepewności odnośnie drogi, jaką podąża Kościół. W istocie osiem lat pontyfikatu Papieża Wojtyły wydaje się poniekąd kontynuacją przejściowego pontyfikatu Pawła VI. Wciąż jeszcze trwa okres przejściowy.

Hiroshi Miyahira, *CATHOLIC GRAPH* i *KOSEI SHIMBUN*, Tokio:

Niewielki, wręcz mały Kościół katolicki w Japonii nie jest w stanie stać się ruchem masowym, pomimo swego dość znaczącego wpływu na społeczeństwo poprzez intelektualistów katolickich takich, jak pisarze Ayako Sono, Shusaku Endo, Shumon Miura. Od dziesiątków lat liczba wiernych ustabilizowała się na poziomie 400 tysięcy, podczas kiedy ludność wzrosła aż do 120 milionów. Kościół ten jest zmuszony żyć pośród nowych, wielkich, aktywnych i czasem bardzo agresywnych ruchów religijnych niechrześcijańskich. Ten niewielki Kościół, który patrzył na powstanie „Solidarności” i dojście do władzy Corry Aquino na Filipinach z uczuciem podziwu i zazdrości, stanowi oczywisty kontrast z ruchem Kościołów katolickich w południowej Korei i w Afryce. By w tym kontekście mówić o Janie Pawle II, trzeba rozszerzyć optykę dla oceny miary oddziaływania poczynań papieża w społeczeństwie japońskim. Wielu Japończyków, wierzących i niewierzących, widzi w Janie Pawle II najwybitniejszego międzynarodowego przywódcę religijnego. Kwestia czy jest on

katolikiem czy nie stanowi dla Japończyków problem drugorzędny. Bardziej istotna dla nich jest jego ranga profetyczna, jego autorytet moralny i fakt, że jest apostołem pokoju. Rozległy niechrześcijański świat religijny w Japonii patrzy na papieża w tej optyce z uczuciem respektu i gotowością do współpracy. Potwierdziło to niezwłoczne przystąpienie do jego apelu na rzecz międzyreligijnego spotkania pokojowego w Asyżu z okazji międzynarodowego roku pokoju, ogłoszonego przez Narody Zjednoczone i zaplanowanego na 27 października. Kilka dni po tej zapowiedzi Papieża w bazylice św. Pawła w Rzymie, Nikkyo Niwano, przewodniczący wielkiej organizacji świeckich buddystów japońskich Rissho Kosei-kai, wydał oświadczenie w Rzymie, popierające tę inicjatywę papieską jako „odpowiadającą doskonale naszym oczekiwaniom”.

Wasz korespondent rzymski:

Pozostaje nadal aktualne spostrzeżenie sprzed pięciu lat: ten pontyfikat w odróżnieniu od poprzednich (lub przynajmniej silniej od nich) nastawiony jest na recepcję treści papieskiego nauczania, tzn. wyposażenie w podmiotowość, uaktywnienie tych, co mają je odbierać w różnych sytuacjach ustrojowych, geopolitycznych i kulturowych. Jest rzeczą charakterystyczną, że obecny pontyfikat natrafia pod tym względem na trudności nie tyle na zewnątrz Kościoła, ile w łonie Kościoła i katolickiej wspólnoty. Obserwacje moich kolegów na temat postępów i perspektyw w dziedzinie ekumenizmu oraz dialogu z innymi religiami i kulturami są niewątpliwie trafne. Magisterium jest jednak skierowane przede wszystkim do wiernych, do katolików. Widzimy zaś, że oprócz kontestacji i dysydencji, które podkreśla B. Lai, a które przemilczają pod przymusem amerykańscy korespondenci katolicki, istnieje ogromny, rozpowszechniony i niepokojący rozbrat pomiędzy wyznawaną teorią oraz proklamowanymi przez Papieża prawdami wiary i wskazaniem a praktyką moralną. Uwypuklił niedawno to zagadnienie specjalny kurs na Katolickim Uniwersytecie w Mediolanie. I sam Jan Paweł II zwrócił uwagę na „rosnący rozłam pomiędzy przesłaniem chrześcijańskim i świadomością człowieka” w orędziu z 11 września br. na *Katholiken-tag* w Akwizgranie (RFN). Ten rozdzźwięk odnosi się — zdaniem bezstronnych obserwatorów — w ogromnej mierze do katolickiej społeczności w Polsce, której stan moralny daleki jest od wyidealizowanego obrazu podtrzymywanego instrumentalnie przez pewne kręgi na Zachodzie (dla doraźnych celów politycznych). Jeśli oddziaływanie Papieża w sprawach polskich — wraz z pierwszą podróżą — do 1981 roku było stymulujące, to w minionych pięciu latach przeważała jego funkcja kompensacyjna. Papież pokrzepia rodaków, stara się zaradzić ich niedostatkom duchowym, podtrzymać nadzieję. Tak należy rozumieć ciągłe powracanie do polskich „zwycięstw moralnych” mimo ponoszonych klęsk (ostatnio 1 września br.). Polacy na ogół wyprowadzają

stąd fałszywe wnioski i podchodzą reduktywnie do uniwersalnego przeciw profilu pontyfikatu, sprowadzając go do roli służebnej w sprawie polskiej. To wielkie nieporozumienie Papież będzie prawdopodobnie starał się rozwiać w swej trzeciej podróży do kraju z okazji krajowego Kongresu Eucharystycznego. Nie można wszelkiego zła zwać na „uwarunkowania systemowe” — jak twierdzą wiarygodni ludzie w Watykanie i poza jego obrębem. W podróży tej Papież uczyni zapewne z negatywnych zjawisk społecznych i moralnych — sygnalizowanych z niepokojem przez Episkopat — oraz konieczności ich naprawy oś, wokół której obracać się będzie program duszpasterski tej pielgrzymki. Niektórzy sądzą więc, że ta trzecia podróż będzie „ucieczką od polityki”, czyli że nabierze charakteru stabilizacyjnego. Trudno dziś orzec, w jakiej mierze ta prognoza jest trafna. Można zakładać, że Episkopat, a zwłaszcza Ks. Prymas, będzie zabiegał o to, by wizyta papieska miała przebieg spokojny. W wywiadzie dla włoskiego miesięcznika *Jesus* (wrzesień 1986) Ks. Prymas oświadczył: „Chcemy uniknąć przekształcenia lub ryzyka przekształcenia pielgrzymki Papieża w ewenement opozycji politycznej”. W optyce papieskiej nie leży na pewno stabilizacja władzy jako takiej, lecz stabilizacja, prowadząca do głębokich zmian w zakresie etyki społecznej i przewyciężenia polskiego kryzysu pracy.

Dominik MORAWSKI

Pisane 14 września 1986 r.

List z Londynu (II)

Na konferencję w Poczdamie w lipcu 1945 roku, na której, między innymi, zapadły decyzje dotyczące obecnych granic Polski, Churchill przyjechał z wicepremierem, przywódcą opozycji i *Labour Party*, Clementem Attlee. Stalin znał już brytyjskiego premiera z Teheranu i Jałty, pamiętał jego otoczenie, zdziwił go więc mały, podobny do chomika, człowieczek, który w ramach brytyjskiej delegacji robił wrażenie ważnej osobistości. Przez tłumacza zapytał kim on jest i co tutaj robi.

— To mój zastępca w rządzie koalicyjnym, który się teraz kończy. Przyjechalśmy razem, bo rozpisaliśmy wybory, właśnie teraz odbywa się głosowanie i nie wiadomo kto je wygra.

Stalin nie zrozumiał, kazał sobie powtórzyć odpowiedź, zakrzuszył się, poczerwieniał i z trudem pohamował wybuch śmiechu. Nie odezwał się, trącił tylko Churchilla znacząco łokciem w bok.

A jednak zwycięski przywódca narodu, który go przeprowadził przez najczarniejsze wojenne lata, najpopularniejszy na Wyspach człowiek — wybory przegrał i to w sposób katastrofalny.

Jego partia wprowadziła do Izby Gmin tylko 213 posłów, gdy socjaliści zdobyli aż 412 mandatów.

Nie ma chyba innego, demokratycznego kraju na świecie, w którym mogłoby się to wydarzyć, ale społeczeństwo w Wielkiej Brytanii tak właśnie reaguje. Broni ono swych praw, w czasie wojny godzi się na rządy jednego człowieka z dekoracją parlamentu, ale w czasie pokoju nie chce u steru państwa zbyt monej, egocentrycznej indywidualności, nie chce, by ktoś zbyt długo pozostawał przy władzy.

Dlatego wtedy Churchill przegrał wybory, dlatego obecne ataki opozycji kierowane są przede wszystkim przeciwko premierowi, Margaret Thatcher. Ataki te dają rezultat, we wszystkich sondażach opinii publicznej konserwatyści lądują za *Labour Party* a ich przywódczyni z dnia na dzień traci popularność. A przecież jej rządy przyniosły wiele sukcesów i zrealizowały wyborcze obietnice: wygrała wojnę o Falklandy, obniżyła inflację z 21% w roku 1980 na 2,5% obecnie, przeprowadziła bardzo trudną reformę związków zawodowych, przetrzymała górników i ich roczny strajk. Jedynie tylko z bezrobociem nie dała sobie rady, ale to przecież ogólnoswiatowy problem. Cóż z tego skoro partie opozycyjne oskarżają ją o zapędy dyktatorskie, o nieliczenie się z odmiennym zdaniem, o zbyt satelicki stosunek do prezydenta Reagana, i argumentacja ta skutkuje.

Alternatywa rządów socjalistów to miliardowe zwiększenie wydatków, inflacja i wzrost cen, to rozpanoszenie się kryptokomunistów, podniesienie podatków, otwarcie granic dla nowych fal kolorowych imigrantów i obniżenie obronności państwa, a jednak zapewne wyjdą oni z wyborów zwycięsko. Chodzi po prostu o zmianę premiera i rządzącej ekipy. Gdyby alians liberałów i socjaldemokratów miał szansę — zastąpiłby konserwatystów. Żeby utrzymać się przy władzy, Margaret Thatcher musiałaby po raz trzeci z rzędu wygrać wybory a to nie wydarzyło się tutaj od bardzo wielu lat. Oczywiście konserwatyści mogliby zmienić przywódcę, ale kto miałby nim zostać? Najsilniejszą indywidualnością, „prawdziwym mężczyzną” jest wśród nich właśnie kobieta. Zmiana przywódcy przed wyborami dowodzi także słabości i spowoduje stratę głosów wielu niezdecydowanych, którzy konkretyzują swoją opinię w ostatniej chwili.

W moim ostatnim „Liście” pisałem o przełomie jaki nastąpił w technice drukowania wielkich pism dzięki odważnej akcji Rupertha Murdocha, który z Fleet Street przeniósł się na teren londyńskich doków. Związki drukarzy rzuciły się nań z furią, w styczniu zaczęło się obłężenie nowoczesnych zakładów i biur, i gdy piszę o tym na początku września, akcja ta nadal trwa. Murdoch nie chciał tych kłopotów, ofiarował więc kolosalną sumę 50 milionów funtów na indywidualne odszkodowania dla zwolnionych drukarzy oraz postawił do ich dyspozycji dawne swe biura i drukarnie wartości wielu milionów. Oferta została odrzucona, obłężenie stało się jeszcze brutalniejsze i gdy w lipcu po-

ruszono tę sprawę w parlamencie, padły zatrważające cyfry. W ciągu 24 tygodni (dalszych danych nie ma) aresztowano 1.061 osób, które zraniły 660 policjantów, uszkodziły 150 ciężarówek, dokonały ok. 1.000 kradzieży i spaliły zakłady papieru, powodując milionowe straty. Jednocześnie okazało się, że wśród aresztowanych tylko 25 % stanowili drukarze, reszta to ludzie różnych fachów, których łączy nienawiść do obecnego ustroju politycznego i społecznego i dążenie do przeprowadzenia zmian terrorem. Sekundują im komuniści, którzy pod szyldem *Labour Party*, opanowawszy wiele lokalnych magistratów, wprowadzili nielegalną, polityczną cenzurę, wycofując pisma Murdocha z publicznych bibliotek.

Obłężenie trwa, ale już zatrąbiono do odwrotu i związku drukarzy same poprosiły o wznowienie rozmów, bez żadnych wstępnych warunków. Zrozumieli, że przegrali, bo inne pisma poszły w ślady Murdocha. Fleet Street pustoszeje, idzie naprzód modernizacja, wszędzie redukuje się niepotrzebny personel.

Warto jest przypomnieć, że potęga słynnej ulicy, która się teraz skończyła, miała swój początek prawie pięć wieków temu i że przyczyną tego początku był ten sam powód, który doprowadził ją do upadku: spór o zatrudnienie. Pod koniec piętnastego wieku czeladnik firmy wydawniczej w dzielnicy Westminster (centrum Londynu), źle traktowany, postanowił złamać monopol swego pryncypała i otworzył własną, małą firmę, właśnie na Fleet Street. Gdy zmarł w roku 1535, już istniało tam centrum ówczesnych firm wydawniczych. Pierwsze pismo, *Daily Courant*, ukazało się tam w roku 1702.

Brytyjczycy kochają się w tradycji, ale nikt nie żałuje, że nie będzie obchodu 500-lecia Fleet Street. Postęp zwyciężył.

Dwadzieścia lat temu musiałem pożyczyć w banku sporą sumę pieniędzy i załatwiłem sobie wizytę u jego dyrektora. Przyjął mnie mężczyzna w moim wieku, bardzo starannie ubrany, sztywny, zawodowo uprzejmy. Wskazał mi krzesło, spojrzał na mnie, potem na kalendarz, na którym zapisano moje nazwisko, i nagle twarz jego ożywiła się.

Przepraszam, z nazwiska wnioskuję, że pan jest Polakiem.

Tak jest, chciałbym, mam pewien problem...

Bankier powstrzymał mnie uprzejmym ruchem ręki.

Proszę pana, pan chce pożyczyć niewielką stosunkowo sumę. Ja panu dam dwa, trzy razy więcej.

To chyba niemożliwe, nie mam żadnego zabezpieczenia.

Zabezpieczenie? Po co? Wiem kim pan jest. Ja walczyłem we Włoszech razem z Polakami.

I ten sztywny, chłodny człowiek wzruszył się. Przez kilkanaście minut, w wielkim ożywieniu, powróciliśmy w rozmowie do przeszłości. Bankier potrafił powtórzyć kilka polskich imion, mówił tylko o spotkaniach z polskimi oddziałami.

Wyszedłem z uczuciem ciepła w okolicy serca. Jakże wspa-

niały, jak trwały posiew sympatii, uznania, podziwu pozostawili na europejskich szlakach nasi żołnierze.

Kilkanaście dni temu starałem się znaleźć pracę dla młodego studenta z kraju, który przyjechał tu na kilka tygodni, by zebrać materiał do doktorskiej pracy. Mieszkam w Londynie od wielu lat, znam wiele firm i sklepów, które przyjmują młodych ludzi do dorywczych prac. Płacą nieco mniej, bo zatrudnieni nie mają prawa pracy, ale i tak mogą dobrze zarobić.

Niestety spotkał mnie zawód. Kilkakrotnie byłem już bliski celu, ale gdy powiedziałem, że mój protegowany jest Polakiem, padało krótkie „Nie”. Wreszcie polski budowniczy, którego znam od wielu lat, krótko przedstawił mi problem. — Dawniej przez cały rok zatrudniałem młodych ludzi z kraju, ale teraz już nie. Zgodzi się taki na moje warunki, przyjdzie pierwszego dnia ze spóźnieniem i wyjdzie wcześniej, bo akurat tego dnia ma jakąś ważną sprawę, a w czasie pracy pokaże, że nic nie umie. Następnego dnia zjawi się dopiero w południe z listą tego co mu się należy, a czego ja nie obiecałem, a trzeciego dnia zacznie buntować moich robotników, by stworzyć z nimi wspólny front.

Odszedłem ze spuszczoną głową. Biedni ludzie, których system nauczył, że tylko kręctwem, tylko arogancją i spryciarstwem można utrzymać się na powierzchni, że innych sposobów nie ma. A przecież to są synowie tych właśnie polskich żołnierzy...

W Oświęcimiu, na dnie ówczesnego świata, w małej grupie Polaków, stworzyliśmy ligę wzajemnej uprzejmości. Musieliśmy się bronić przed kompletnym zbydłeniem, musieliśmy dać odpór intencjom SS-manów, którzy chcieli nas widzieć na poziomie zwierząt.

Dziś trzeba bić na alarm, bo system sowiecki stara się sprowadzić nasz naród na skraj takiej przepaści. Opór stawiany przemocy jest konieczny, ale nie ma on nic wspólnego z wzajemnymi stosunkami pomiędzy ludźmi. Komu służy niegrzeczność, brak solidarności, lekceważenie wzajemnych obowiązków? Komu zależy na tym, by życie w Polsce i w pozakrajowych środowiskach Polaków było jeszcze cięższe z ich własnej winy? Uśmiechu, wzajemnej pomocy, życzliwości, przyjaźni nikt do Sowietów nie wywiezie.

Najwspanialszy turniej tenisowy świata, rozgrywany na kortach Wimbledonu, należy do klasycznych brytyjskich tradycji, które reprezentują tutejszy styl życia. Od stu lat każdy nowy turniej otwierany jest meczem ubiegłorocznego mistrza na centralnym korcie. Jest to jego przywilej i szczęśliwy jest ten gracz, często miernej klasy, któremu los pozwoli wystąpić na tej wspaniałej arenie.

Wydawało się, że gdzieś jak gdzie, ale tutaj, w kraju poszanowania przeszłości i tradycji, tego zwyczaju nic nie podważa, a jednak raz zdarzyło się inaczej. W roku 1961, gdy na Zachodzie nie wiadano już co zrobić, by przypodobać się Sowietom, organizatorzy turnieju wpadli na dziwny pomysł. Z losowania wy-

nikło, że sowiecki gracz, Tomas Lejus, trafił w pierwszej rundzie nie na mistrza, ale na finalistę, Roda Lavera. Dlaczego nie puścić tego meczu na pierwszy ogień, na centralnym korcie?

Tak się stało, Lejus przegrał gładko a plan tej brzydkiej sprawy okazał się bardzo odległy od zamierzenia organizatorów. Rozległ się krzyk oburzenia a dziennikarze natychmiast odkryli, że wydarzył się niewypał. Minął już okres stalinizmu, Lejusowi nie groziło 20 lat łagru, powiedział więc, że wcale nie jest Rosjaninem, ale Łotyszem i że wyróżnienie przyjmuje jako gest w stosunku do jego małej, biednej ojczyzny.

Nie był to pierwszy wypadek łączenia polityki ze sportem i, oczywiście, nie ostatni. Był bojkot olimpiady w Montrealu (1976) przez 31 głównie afrykańskich krajów, był bojkot olimpiady w Moskwie (1980) i sowiecki rewanż w stosunku do Los Angeles (1984) z udziałem generała Jaruzelskiego. W tym roku mieliśmy nowy pokaz tych spraw związany z igrzyskami Brytyjskiej Wspólnoty.

Zaczęto je organizować w odstępach czteroletnich w roku 1930 jako igrzyska Brytyjskiego Imperium, ich przepisy są doskonale znane i na ich podstawie Anglia wyznaczyła swoją reprezentację. Znalazły się w niej dwie dziewczyny urodzone w południowej Afryce: biegaczka, Zola Budd, i pływaczka, Annette Cowley.

W tym samym czasie toczyła się sprawa gospodarczych sankcji w stosunku do Południowej Afryki i rząd brytyjski, mimo nacisków, zdecydował, że nie zarządzi ich w tej chwili i będzie szukać kompromisu. Argumentowano, że sankcje pogorszą tylko los Murzynów, że podniesie się tam bezrobocie, itd. Nacisk jednak trwał, wykorzystano bliski termin igrzysk i kilka krajów Brytyjskiej Wspólnoty zdecydowało, że nie weźmie w nich udziału.

Nagle organizatorzy tej wielkiej imprezy odkryli, że pomylili się w interpretacji przepisów, że właśnie te dwie dziewczyny urodzone w Południowej Afryce nie mają prawa startu. Dlaczego: Zola Budd, bo przez mniej niż 6 miesięcy przebywała w Wielkiej Brytanii, Annette Cowley, bo studiuje i pływa w Stanach Zjednoczonych.

Przez kraj przeszła fala protestów i ironicznych komentarzy. Wszyscy związani ze sportem wiedzą, że żaden wybitny zawodnik nie trenuje w kraju. Dziesięcioboista Daley Thompson 9 miesięcy przebywa w Kalifornii, biegacz, Steve Cram, trenuje w Colorado, inni w Alpach lub Pirenejach, wielu w Stanach Zjednoczonych, korzystając z uniwersyteckich stypendiów. Nikt ich o to nie pyta, nikt tego nie sprawdza.

Ta nowa próba ustepliwości oczywiście znowu zakończyła się jak najgorzej. Do chwili dyskwalifikacji dwóch dziewczyn tylko kilka krajów wycofało się z igrzysk, po niej, widząc słabość organizatorów, wiele innych poszło w ich ślady i liczba ich przekroczyła 30. Opozycja natychmiast zaatakowała rząd, domagając się sankcji i prowokując awanturę w Izbie Gmin. Cokolwiek się stanie i ktokolwiek, na długą metę, ma tutaj rację, spraw tych nie rozstrzygnie się na bieżni, skoczni czy w pływalni.

Józef GARLIŃSKI

Sprawy i troski

Pół wieku emigracji zarobkowej w USA

Największe nasilenie imigracji do Stanów Zjednoczonych przypadło w bieżącym stuleciu na jego pierwszą dekadę, kiedy przybyło do USA 6.294.000 imigrantów. Tylko w jednym dziesięcioleciu, 1931-1940, zarejestrowano odpływ 85.000 emigrantów. W poprzednich dekadach przybywało przeciętnie po 3.000.000. Mimo tak znacznego przyływu z zewnątrz udział przyrostu naturalnego we wzroście ludności USA był znacznie wyższy aniżeli udział imigracji. Na przykład w pierwszej dekadzie bieżącego stulecia wzrost ludności wskutek imigracji był o ok. 40 % niższy od wzrostu ludności wskutek przyrostu naturalnego, z tym że dzieci imigrantów należały już do tej drugiej kategorii. One to budowały wraz z rodzicami w znoju i ciężkich warunkach przyszłość swoją i kraju.

„Nigdzie ni mamy rozkoszy, wszędzie bieda, w Ameryce nie jest dobrze, ale jednak lepi jak w Kraju” — pisał Jan Chmielewski z Chicago do swojej matki w Polsce 18 lutego 1891 roku („Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych 1890-1891”, opr. Witold, Nina i Marcin Kula, Warszawa 1973). Podobnie myśleli i inni. Sienkiewicz pisał, że emigrowali za chlebem. Jest to uproszczenie: nie brakło wielu innych powodów.

Dzieje siedmiu słowiańskich grup narodowościowych oraz węgierskiej — emigrantów ze wsi przybyłych do amerykańskiego miasta przemysłowego w okresie 1890-1940, prezentuje Ewa Morawska w książce „For Bread with Butter”*. Jest to źródłowa praca socjologiczna, tak szczegółowa i udokumentowana, że można ją określić jako encyklopedyczną. Morawska ukończyła studia historyczne i socjologiczne na Uniwersytecie Warszawskim, a doktoryzowała się w dziedzinie socjologii na University of Boston. Podczas studiów doktoranckich opublikowała dwie

* Ewa Morawska, *For Bread with Butter — The life-worlds of East Central Europeans in Johnstown, Pennsylvania, 1890-1940*. Cambridge University Press, Cambridge 1985. Str. XVII-429.

prace o zagadnieniach polskiej grupy narodowościowej (jedną wspólnie z prof. Sandersem). Po powrocie do Polski pracowała w Poznaniu, a później w Warszawie w Polskiej Akademii Nauk. Opublikowała w tym czasie w czasopiśmie specjalistycznych szereg artykułów o problemach emigracji i uczestniczyła w konferencjach, występując na nich z referatami. Do Stanów przyjechała po raz drugi w 1979 roku, uzyskawszy stypendium amerykańskie na przeprowadzenie terenowych badań, których owocem jest niniejsza praca.

Autorka wybrała miasto Johnstown w stanie Pennsylvania, gdzie na początku bieżącego stulecia mieszkało 18 % wszystkich emigrantów z Europy środkowo-wschodniej. Ok. 75 % z nich pracowało w przemyśle i kopalniach. Johnstown było typowym miastem przemysłowo-górnym o ok. 60.000 mieszkańców. Głównymi pracodawcami były kopalnia i stalownia.

Morawska przebadła dzieje imigrantów następujących narodowości: chorwackiej, słowackiej, słoweńskiej, polskiej, serbskiej, rusińskiej (Ruś Zakarpacka), ukraińskiej i węgierskiej. Zaplanowana na osiemnaście miesięcy praca zajęła jej cztery lata. Przeprowadziła ponad 200 wywiadów z imigrantami i ich dziećmi, przebadła taśmy magnetofonowe z wywiadami, znajdujące się w kolekcji uniwersytetu w Pittsburghu, prasę lokalną, księgi parafialne, archiwa komunalne, szkół parafialnych i organizacji społecznych, sięgnęła do wszystkich możliwych danych statystycznych i chyba nie ominęła żadnego źródła. Nie zapomniała nawet o cmentarzach.

Emigrowali nie tylko za chlebem. Na chleb ci wiejscy chłopcy i dziewczęta mogli zarobić i w swoich krajach, udając się na kilka miesięcy rocznie do miasta lub na sezonowe roboty do bogatszych sąsiadów, np. do Niemiec. Stany Zjednoczone przyciągały ich nie tylko wyższymi zarobkami i możliwością zaoszczędzenia grosza, ale i innym trybem życia.

Zaplecze imigrantów ośmiu grup narodowościowych w Johnstown było jeśli nie identyczne, to bardzo podobne. Przytłaczająca większość emigrowała z monarchii austro-węgierskiej: Chorwaci, Serbowie, Słoweńcy, Słowacy, Polacy, Rusini, Ukraińcy, Węgrzy. Wśród Polaków była część z zaboru rosyjskiego i niemieckiego. Wywodzili się ze wsi, z rodzin ubogich i wielodzietnych. Ten wiejski proletariatus znalazł się w gwałtownie industrializującym się państwie. Nikt ich nie witał radośnie, nikt się nimi nie opiekował. Byli zdani na siebie. Jedyne oparcie byli rodacy, krajanie, którzy przybyli przed nimi. Było ich jednak niewiele.

Nie tylko bariera językowa powodowała, iż pracowali w najgorszych warunkach i byli też najgorzej opłacani. Lepsze prace w stalowniach i kopalniach były zarezerwowane dla Amerykanów i imigrantów z zachodniej Europy: Irlandczyków, Niemców. Ale i do najmarniejszej, brudnej pracy trzeba było poparcia rodaków i łapówek dla Amerykanina — *forman'a*.

Imigranci — jak wykazuje Morawska — nie byli zainteresowani wejściem w życie amerykańskie, chcieli zachować swoje

tradycje, formy życia, ustalone wartości i oceny. Na emigracji, w obcym kraju, powstały związki organizacyjne, których ci ludzie nie znali w ojczyźnie — poza oczywiście kościołem. Spójnia narodowościowa i wyznaniowa wybijała się na czoło, kształtowała życie grup. W miarę upływu lat stabilizowały się warunki bytu wewnątrz grup oraz między grupami „zagraniczników” — jak ich określali Amerykanie — ale nie z miejscowym społeczeństwem. Rozpowszechniony jest pogląd, iż imigranci polscy tworzą niezliczoną ilość organizacji — co jest ściśle, ale nie inaczej wygląda to i w innych grupach etnicznych. I tak na przykład w latach 1915-1940 założono w Johnstown 86 nowych stowarzyszeń, 12 parafii, 2 szkoły parafialne a było już 140 organizacji, 13 kościołów i 6 szkół parafialnych.

Imigranci tworzyli getta: pewne dzielnice i ulice były zamieszkałe wyłącznie przez nich, z tym iż krajanie łączyli się w grupy. W budżetach rodzinnych mieściły się składki na kościół i organizacje społeczne. Hojność na cele społeczne wskazywała na wzrost dochodów jednostek i grupy. Zaradność, posuwanie się po szczeblach społecznych — do tego zaliczano lżejszą i lepiej płatną pracę — wysoko ceniono w grupach. Podnosiło to pozycję danych jednostek. Oni to — właściciele sklepów na pierwszym miejscu — piastowali godności w radach parafialnych i organizacjach społecznych.

Celem imigrantów było podniesienie stopy życiowej i zabezpieczenie bytu, stąd nacisk na pracę. Dzieci wdrażali do pracy już w wieku 10 lat, niekiedy wcześniej; pracowały jako posłańcy, często fałszywie podwyższano ich wiek, by mogły rozpocząć pracę w stalowni czy kopalni. Dlatego też awans społeczny drugiego pokolenia słowiańskich i węgierskich imigrantów był jeszcze nieznaczny. Zmiany — i to gwałtowne — nastąpiły dopiero po drugiej wojnie światowej, w tym również w następstwie nowej fali migracyjnej.

Współżycie między grupami słowiańskimi w badanym przez Morawską okresie w Johnstown było dobre. Polacy z Ukraincami, Słowacy z Rusinami, Węgrzy z Niemcami współpracowali i wspierali się wzajemnie zarówno w pracy, jak i na polu społecznym. Więzy rodzinne i grupowe były pewnego rodzaju pomostem i łącznikiem nie tyle z krajem pochodzenia i narodem, co z wsią, z najbliższą okolicą, w której żyli członkowie rodziny. Wobec nich też imigranci demonstrowali swój wyższy standard życia: wysyłali pieniądze.

Morawska wręcz drobiazgowo przedstawia i analizuje proces adaptacji imigrantów. Był on długi i powolny. Oni sami pragnęli przede wszystkim zachować wszystko „swoje” z czym przybyli i gdy „gospodarze”, tj. otoczenie, nie okazali im uprzejmości, zrozumienia lub nawet życzliwej obojętności — uszytywniali się w swoich ramach, umacniała się solidarność. Nacjonalizm, szowinizm narodowy był im obcy, świadomość narodowa była w najlepszym wypadku bardzo słaba, ale cenili swoją tradycję, obyczaje i zwyczaje, a gospodarze żądali wyrzeczenia się tego wszystkiego, bo Amerykanin — głosiły czynniki oficjalne — nie może

mieć żadnych powiązań zagranicznych, nie może używać innego języka aniżeli angielski.

Emigranci słowiańscy i węgierscy, którzy przybyli „za chlebem z masłem”, osiągnęli znacznie więcej: Ameryka stała się ich krajem, choć otoczenie uważało ich za cudzoziemców. Oni godzili się z tym, ale już nie ich dzieci. W Johnstown — nie inaczej zresztą działo się w innych podobnych miastach przemysłowych — część drugiego pokolenia po awansie społecznym — co oznaczało lepszą pracę — pozostała, a część przeniosła się do innych miejscowości. Ojcowie niechętnie patrzyli na „amerykanizację” swoich dzieci, ale procesu tego nie mogli powstrzymać. Hamowali ci, którzy znajdowali się na najniższym szczeblu, bo wkład zarobków dzieci do budżetu był niezbędny. Potomkowie imigrantów są Amerykanami i chociaż przechowują pamiątki rodzinne jak relikwie, nie ma już dzielnic „cudzoziemskich”, pism itp.

Morawska — jak już wspomnieliśmy — uwzględniła wszystkie aspekty codziennego życia badanych grup: wysokość zarobków, wydatków na mieszkanie, żywność, odzież, kościół, życie towarzyskie, w tym na alkohol, ceny domów, wysokość rocznych oszczędności itp. Dwa rozdziały pracy, poświęcone zapleczu, przedstawiają wyczerpująco sytuację w krajach, z których emigrowali, a pozostałych sześć życie w Johnstown, z tego ostatni zajmuje się drugim pokoleniem. Tabele i tablice statystyczne uzupełniają tekst, a fotografie z albumów rodzinnych stanowią historyczną ilustrację. Morawska chyba zamknęła badania nad pierwszą falą wiejskich emigrantów ze środkowo-wschodniej Europy, bo przedstawiła absolutnie wszystkie jej aspekty, a ponadto krytycznie omówiła dotychczas ogłoszone prace z tej dziedziny. Otrzymaliśmy dzieło ostateczne.

Ewa Morawska po zakończeniu badań nie powróciła do Polski, ale pozostała w USA, gdzie jest profesorem socjologii na University of Pennsylvania.

Benedykt HEYDENKORN

ZBIERAMY PAMIĄTKI AKOWSKIE

Zarząd Fundacji Armii Krajowej we Francji zwraca się do wszystkich b. żołnierzy AK i ich rodzin z apelem o przekazywanie pamiątek osobistych z okresu wojny. Wiemy, że w posiadaniu wielu naszych kolegów i ich rodzin znajdują się cenne pamiątki: dokumenty osobiste, listy, rozkazy, fotografie, części umundurowania i wyposażenia, egzemplarze tajnych gazet, ulotek i innych wydawnictw drukowanych w konspiracji. Istnieje niebezpieczeństwo, że pamiątki te, niezabezpieczone, szybko ulegną rozproszaniu i zniszczeniu, gdyż szeregi nasze z każdym dniem maleją.

Dlatego jest konieczne, aby te pamiątki osobiste znalazły co rychlej właściwe miejsce w Studium Polski Podziemnej i w nowo tworzonej placówce, Muzeum AK w Londynie. Jeśli ktoś ze względów sentymentalnych nie chce się na razie pozbywać drogiego sercu pamiątek — powinien pamiątkę

o ich uporządkowaniu i sporządzeniu zapisu testamentowego na rzecz Studium Polski Podziemnej i Muzeum AK.

Apelujemy więc o:

1) uporządkowanie własnych zbiorów, np. przez opisanie fotografii (kiedy, w jakich okolicznościach zrobiona, kogo i co przedstawia), przez sporządzenie notatek o pochodzeniu dokumentów, wydawnictw i przedmiotów;

2) nadesłanie nam listu posiadanych pamiątek, ewentualnie wraz ze sporządzonymi we własnym zakresie kopiami, bądź też oryginałów;

3) ewentualnie — przesłanie nam oryginałów wraz z objaśnieniami w celu sporządzenia przez Fundację fotokopii lub kserokopii, z tym, że oryginały zostaną właścicielom zwrócone.

Wszystkie pamiątki muzealne zostaną zewidencjonowane i opatrzone nazwiskiem przekazującego.

Materiały prosimy przekazywać na adres:

STANISŁAW GONKIEWICZ
37, RUE DE LA DIVISION LECLERC,
93600 AULNAY-SOUS-BOIS.

Przy okazji podajemy, że pod tym samym adresem należy przysyłać czeki z wpłatami na rzecz Fundacji. Czeki należy wystawiać na „FONDATION DE LA RESISTANCE POLONAISE (A.K.)” na konto N° 50019 F w Crédit Lyonnais. Można też dokonywać wpłat przelewem na AGL indicative 1159 w Crédit Lyonnais, 93600 Aulnay-sous-Bois.

APTEKA WYSYŁKOWA
ARZNEIMITTELVERSAND — AESCULAP
Ostwall 97, 4150 Krefeld, — RFN
Tel.: 0049-2151-801710
Postgiroamt Essen Konto Nr: 17164-438

Apteka nasza wysyła wszystkie leki dostępne na rynku Republiki Federalnej Niemiec na podstawie recepty wystawionej przez polskiego lekarza, bezpośrednio do kraju lub rodzin zamieszkałych poza granicami Polski. Ceny nasze są do 20 % niższe jak w aptekach na terenie RFN. Wysyłka bezpośrednio do Polski następuje po wpłaceniu odpowiedniej kwoty na nasze konto, lub przesłaniu czeku na nasz adres. Dalszych informacji udzielamy listownie lub telefonicznie w godz.: 9.00 do 12.00.

ZARZĄD APTEKI

Notatki z codzienności

Od czasu do czasu wpadają mi w ręce różne czasopisma emigracyjne, w tym także często *Kultura*. Czytam je od deski do deski z wielkim zainteresowaniem. Nasuwa się tylko uwaga, że za mało jest w tych czasopismach realiów naszego życia codziennego w kraju, różnych szczegółów i drobiazków, może błahych na pozór, lecz składających się na prawdziwą barwę naszej doli i niedoli. Ten szkic, spisany przez zwykłego zjadacza chleba, może w jakiś sposób tę lukę zapełnić.

Parę słów o sobie: 39 lat, wyższe wykształcenie ekonomiczne, żona, młodsza ode mnie o pięć lat, jest nauczycielką. Mamy dwoje dzieci (córka 11, synek 9 lat), trzypokojowe mieszkanie w tak zwanym mrówkowcu i miesięczne dochody w wysokości ok. 35.000 złotych, nie licząc jakichś ekstra — premii lub trzynastek, które idą na łatanie stałych dziur w budżecie.

Nasz budżet

Wydajemy miesięcznie na bardzo skromne życie, opłaty mieszkaniowe, światło itp., drobne inwestycje ubraniowe oraz utrzymanie naszego „malucha” (Fiat 126 P) ponad 50.000 złotych. Brakujące 15.000 pokrywamy z korepetycji, udzielanych przez żonę i z moich dodatkowych zarobków u prywatniarza, o czym za chwilę. Najpierw o żonie. Nauczycielce nie wolno udzielać korepetycji uczniom ze swojej szkoły, bo mogłoby to być uznane za łapówkę, więc koleżanka ze studiów, pracująca w innej szkole, przysyła żonie swoich uczniów, a żona odwzajemnia jej się swoimi. Formalnie wszystko jest więc w porządku, ale łapownictwo i tak w szkołach istnieje. Jest tajemnicą poliszynela, że niektórzy nauczyciele biorą od rodziców po 5-10 tysięcy za lepsze traktowanie i lepsze oceny dzieci.

Moje zarobki u prywatniarza, choć niezupełnie legalne, są uczciwe. Rzemieślnik, produkujący akcesoria samochodowe dla pry-

watnych sklepów, został tak przyciśnięty do muru przez wciąż zmieniające się przepisy podatkowe, że musiał zatrudnić za godziny ryczałt kogoś, kto się w tym rozeznaje i może mu pomóc w omijaniu raf podatkowych. Osiem tysięcy miesięcznie za parę godzin pracy tygodniowo to nielada gratka i błogosławieństwo mojego chlebobawcy, tępego osiłka, pracującego w pocie czoła na chleb z masłem dla swojej rodziny. Ponieważ, jak wiadomo, inicjatywa i pracowitość nie są w PRL premiowane, mój remiecha, przyciśnięty do muru podatkami i pozbawiony surowców z legalnego źródła, będzie chyba musiał wkrótce zwinąć interes.

Nasze wydatki budżetowe to w 80 % żywność. Zwiążanie końca z końcem jest coraz trudniejsze, więc jemy coraz gorzej. Nie stać nas na stałe kupowanie mięsa z prywatnego, chłopskiego uboju, sprzedawanego obecnie legalnie po 700-800 złotych za kilogram. Pozostają kartki. Ale przed sklepem mięsnym trzeba stać w kolejce o piątej rano, by czekać na dostawę około południa, co jest dla nas, pracujących, zupełnie niemożliwe, zaś wieczorem dostaje się przeważnie ochłapy. Żona stara się coś z tego upitrasić, lecz cudów nie ma, więc podstawą naszego pożywienia jest nabiał, ziemniaki i jarzyny. Gdy nad Polską przesuwała się chmura radioaktywna i mleko oraz sery nie nadawały się do spożycia, ratowały nas konserwy i mrożonki.

Czynione od czasu do czasu większe zakupy ubraniowe dla nas i dla dzieci nie są objęte naszym budżetem, bo po prostu nas na to nie stać, więc oparte są prawie wyłącznie na przesyłkach pieniężnych od krewnych zza granicy. Kupujemy przeważnie za bony dolarowe w Pewexie, bo w sklepach „złotówkowych” trudno o odpowiedni rozmiar i dobry gatunek, zaś na kupowanie tandety jesteśmy za biedni. Zresztą ceny w tych sklepach są zbliżone do cen pewexowskich w przeliczeniu dolara po kursie czarnorynkowym, czyli po ok. 700 złotych. Żona widziała niedawno w sklepie państwowym wełniany sweter za 12.000 złotych (prawie cała jej pensja!). We Francji taki sweter kosztuje ok. 130-150 franków, czyli ok. 20 dolarów.

Liczone w budżecie koszty utrzymania samochodu to nie tylko koszt kartkowej benzyny w ilości 24 litrów miesięcznie po 60 zł, drobne reperacje i przeglądy oraz dokupione na lewo 20-30 litrów benzyny po 150 zł za litr. Samochód wymaga dodatkowego omówienia.

Nasz samochód

Właścicielami popularnego polskiego Fiata 126, czyli „malucha”, zostaliśmy dzięki wniesionej w 1980 roku przedpłacie w wysokości 65.000 złotych. Płacąc przez kilka lat raty miesięczne po kilka tysięcy, odebraliśmy samochód (drogą losowania) w 1984 roku, za sumę ok. 300.000 złotych. Dzisiaj nie ma już przedpłat ani innych możliwości kupna samochodu, tylko za dewizy lub na talony, przyznawane działaczom partyjnym, państwowym lub związkowym. Można także wygrać samochód na loterii. Istnieje

również giełda samochodowa, czyli wolny rynek (niedzielny handel samochodami we wszystkich miastach), gdzie za malucha płaci się ok. 700.000, za Fiata 125 ponad milion, za Poloneza 1.600.000-1.700.000 zł. Warto tu zrobić dygresję, że na giełdach są również do kupienia samochody produkcji zachodniej po trzy do pięciu milionów złotych, czasem nawet do dziesięciu milionów, w zależności od ceny za granicą. Posiadacze dolarów mogą bez kłopotu kupić sobie samochód w Pewexie. Ceny nawet niższe od zagranicznych, zwłaszcza na wozy japońskie, bo Japończycy chcą zdobyć rynek i prawie nie podnieśli cen pomimo spadku kursu dolara. W Pewexie można też, oczywiście, kupić każdy samochód produkcji polskiej lub krajów socjalistycznych, np. Ładę sowiecką za 2.800 dolarów, odznaczając się grubą blachą (*gniotjsja nie łamiotsja*) i dwukrotnie większym zużyciem benzyny niż w wozach zachodnich. Fiat 126 kosztuje tylko tysiąc kilkaset dolarów (czyli ok. 800.000 złotych), ale istnieje też sprzedaż wiązana: 850 dolarów i 270.000 złotych.

W PRL życie bez samochodu jest szczególnie ciężkie, gdyż brakuje taksówek, tramwaje i autobusy kursują nieregularnie i są nieprawdopodobnie przepełnione, zaś zatłoczenie pociągów w okresach świąt i wakacji trudno nawet opisać (chroniczny brak wagonów, które produkuje się przede wszystkim na eksport do Związku Sowieckiego).

Ale z samochodem także są kłopoty. Gdy np. ukradziono nam dwa koła od naszego malucha, okazało się, że o kupieniu nowych w sklepie nie ma mowy. Części są albo za dolary, albo na giełdzie, przeważnie kradzione. Za dwa koła musieliśmy zapłacić 20.000 złotych, to już z pieniędzy ekstra, od rodziny zza granicy. Ostatnio nawet olej trzeba kupować za dolary, bo „złotówkowe” stale brakuje.

O kupieniu samochodu z normalnych zarobków dzisiaj trudno nawet marzyć, więc myślimy ze strachem, co będzie, gdy nasz maluch się rozsypie lub zeżre go korozja. Wozy krajowe nie są przed nią zabezpieczone, jak wozy zachodnie, i po 4-5 latach karoseria bywa dziurawa jak sito. Blacharze samochodowi, słynne polskie „złote rączki”, dokonują cudów, by te dziurawe pojazdy mogły jeszcze funkcjonować, ale wszystko ma swoje granice, więc za kilka lat pewnie i nasz poczciwy maluch pójdzie na złom, bo nowej karoserii nawet na giełdzie się nie kupi.

Nasz dom

Mieszkamy w tzw. mrówkowcu, wielopiętrowym domu z wielkiej płyty, czyli prefabrykatów. Jest to spółdzielnia lokatorska, co polega na tym, że mieszkanie nie jest własnością naszą, lecz spółdzielni, która — gdybyśmy zechcieli się stamtąd wyprowadzić — zwróci nam nasz zdewaluowany wkład mieszkaniowy w wysokości kilkuset tysięcy złotych. Na mieszkanie czekaliśmy od chwili pierwszej wpłaty tylko 11 lat, gdyż rodzice mieli dojsć do prezesa, no i było to dawno. Obecnie czeka się na mieszkanie

15 lat albo i dłużej. Tyle lat też czeka się potem na telefon. My do tej pory go nie mamy.

Po ślubie mieszkaliśmy przez wiele lat w pokoju sublokatorskim, co pochłaniało prawie połowę pensji żony. Na wynajęcie mieszkania nie było nas stać. W PRL można wynająć mieszkanie tylko od kogoś, kto wyjeżdża legalnie na dłużej za granicę lub np. po zawarciu związku małżeńskiego przenosi się do mieszkania współmałżonka i ma roczny termin na zlikwidowanie jednego z mieszkań, gdyż dwóch mieć nie wolno. Oczywiście każdy przepis można obejść, więc częste są przypadki, że po roku małżonkowie rozwodzą się fikcyjnie, aby nie stracić drugiego mieszkania, które przynosi duży dochód. Można też nie zawierać małżeństwa i żyć na kocią łapę.

Dzisiaj wiele młodych małżeństw, skazanych na wieloletnie gnieźdzenie się w pokoju sublokatorskim lub u rodziny, nabawia się nerwicy lub innych chorób psychicznych. Gdy w takich warunkach przychodzą na świat dzieci, narastają konflikty i często kończy się rozwodem.

Nasze małżeństwo ten trudny okres jakoś przetrwało, co nie obyło się bez wielu wyrzeczeń ze strony mojej i żony. Gdy przyszła wreszcie nasza kolej na mieszkanie, popłakaliśmy się ze szczęścia, zaraz jednak okazało się, że nasza radość była przedwczesna. Przedsiębiorstwo budujące dom oddało go do użytku, goniąc plan, w stanie nie nadającym się do zamieszkania. Żle przyklejona do chropowatej powierzchni cementowej wykładzina podłogowa odstawała w wielu miejscach, w wypaczonych ramach okiennych widniały ogromne szczeliny, na ścianach ciemniały zacieki wilgoci. Wkrótce przestało działać centralne ogrzewanie i trzeba było biegać po mieście w poszukiwaniu piecyków elektrycznych. Łazienka była wykonana tak niechlujnie, że musieliśmy wynająć rzemieślników i całkowicie ją przebudować, łącząc z wymianą poobijanej wanny.

Przyszedł znowu ciężki okres zaciskania pasa, zapożyczania się i pisania listów do krewnych za granicą z prośbą o pomoc.

Na dobitkę okazało się, że ściany naszego domu, zbudowanego z wielkiej płyty, wydzielają szkodliwe dla zdrowia promieniowanie, zaś wykładzina podłogowa jest toksyczna. Wielu lokatorów skarżyło się na bóle głowy i złe samopoczucie, niektórzy zmarli na raka.

Teoretycznie mieliśmy prawo zamienić się z kimś na mieszkanie, ale na wielką płytę trudno znaleźć amatorów, byliśmy więc skazani na pozostanie w swoim. Wyprowadzić się z niego można np. kupując mieszkanie w przedwojennej spółdzielni własnościowej, po 150.000 złotych za metr kwadratowy, lub domek jednorodzinny za 20-30 milionów złotych, sumy dla nas abstrakcyjne, nawet po trafieniu szóstki w toto-lotka.

Po kilku latach remontów i szarpaniny z wiecznemi pijanymi rzemieślnikami nasze mieszkanie nabrało wyglądu standardowego mieszkania kulturalnej rodziny. Szczęście jednak trwało krótko. Pewnego dnia gruchnęła wieść, że w całym bloku będzie się pruć ściany i wymieniać rury centralnego ogrzewania, już zżarte przez

korozję (w domach budowanych przed wojną stare rury służą do dziś!). Przeżyliśmy pół roku piekła i znowu kilka miesięcy szarpaniny z rzemieślnikami, gdyż rozbite ściany trzeba było doprowadzić do porządku na własny koszt. Ostatnio dowiedzieliśmy się, że nowe rury już zaczęły rdzewieć i w przyszłym roku mogą być ponownie wymieniane... Nie warto to chyba zachodu, bo centralne ogrzewanie działa fatalnie. Temperatura w mieszkaniu nie przekracza 17°, zaś częste awarie sieci ciepłowniczej często pozbawiają nas w ogóle na kilka dni ogrzewania i ciepłej wody.

Dotatkową atrakcją w naszym domu jest częste psucie się windy i zawsze brudne, cuchnące łajnem i moczem schody, stale zanieczyszczane przez pijaków, klientów dwóch funkcjonujących w naszym domu melin, gdzie o każdej porze dnia i nocy można nabyć zagrychę i alkohol, przeważnie tanie wino owocowe, zwane bełtem lub alpaga. Udręczeni lokatorzy zwracali się wielokrotnie do milicji, bez żadnego rezultatu. Wtajemniczeni twierdzą, że milicjanci dostają od meliniarzy wysokie łapówki i przymykają oczy. Sytuację pogarsza brak stałego dozorczy. Pan Kazio, obecnie tęgi wąsacz koło pięćdziesiątki, objął funkcje gospodarza domu zaraz po przekazaniu budynku lokatorom i wprowadził się do mieszkania służbowego. Ponieważ bimbał sobie na swoje obowiązki i podobno nigdy nie wziął miotły do ręki, został karnie zwolniony. Doręczono mu nakaz opuszczenia służbowego mieszkania, ale pan Kazio, dobrze zorientowany, tylko śmiał się z tego, wiedząc, że nie zostanie wyeksmitowany, gdyż mieszkań zastępczych nie ma i nie będzie. Teraz patrzy z pogardą na kobiety ze spółdzielni „Czystość”, które raz do roku koło Wielkiej Nocy myją schody. Za mieszkanie nie płaci, żyje zaś dostatnio z handlu walutą i jakichś ciemnych interesów, ciesząc się podobno poparciem ubecji w zamian za różne usługi. Ma ładne meble, kolorowy telewizor i zachodni samochód, najładniejszy na parkingu przed naszym blokiem.

Problemu byłych dozorców, zajmujących mieszkania służbowe, nie potrafiły władze PRL rozwiązać w ciągu 41 lat, pomimo wciąż powtarzających się deklaracji kolejnych ministrów. Nie potrafiły też rozwiązać problemu remontów domów kwaterekowych, i dzisiaj prawie połowa tych domów skazana jest na rozbórkę z powodu przeciekających dachów, grzyba i postępującej dewastacji. Gdzie się umieścić lokatorów, nie wiadomo.

Kolejki, kolejki...

Symbolem socjalizmu są kolejki. Od tych od świtu, przed sklepami mięsnymi, do wielodniowych po meble lub pralkę. Mój dzień zaczyna się od kolejki po *Życie Warszawy* w drodze do pracy. *Trybunę Ludu* można kupić bez kolejki o każdej porze dnia, ale nakład *Życia* jest niewystarczający i już koło dziewiątej rano gazety się nie kupi. Atrakcją *Życia*, równie szmatławego obecnie co *Trybuna*, są ogłoszenia i nekrologi. Emeryci ustawiają się w

kolejkach po *Życie* już o siódmej rano z tego głównie powodu: „Bez tej kolumny z życiem towarzyskim w czarnych ramkach świat byłby smutny” — powiedział nasz sąsiad staruszek.

Lektura nekrologów nasuwa bardzo ciekawe wnioski. Nigdy dotychczas nie umierało nagle, przeważnie na serce, tylu ludzi młodych lub w sile wieku. Nie wytrzymują ciśnienia otaczającej nas ohydnej rzeczywistości bez promyka nadziei. Spadająca z roku na rok średnia długość życia w PRL mówi więcej o „realnym socjalizmie” niż wszystkie przemówienia Jaruzelskiego, które mu pisze sfrustrowany i podobno chory psychicznie dziennikarz, Wiesław Górnicki.

Kolejki... W kolejkach stoi się po wszystko: po mleko, po chleb, po proszek do prania, po słodycze dla dzieci (czekolada ciągle na kartkil), nawet po piwo i wódkę. Od wczesnego rana ustawiają się kolejki przed sklepami wókiennicznymi w nadziei, że około południa „rzucą” ręczniki lub bieliznę pościelową. Kolejki po pralki stały po kilka tygodni, w dzień i w nocy. Władze zlikwidowały problem, podnosząc ceny pralek. Obecnie wystarczy stanąć przed sklepem wieczorem lub o świcie, aby tego samego lub następnego dnia kupić upragniony towar.

Komitety kolejkowe to temat dla socjologa. Powstają samorzutnie natychmiast po uformowaniu się kolejki, gdy zanoszą się na całodzienne lub dłuższe stanie. Zawsze znajdzie się wtedy ktoś z zeszytem, do którego wpisuje się nazwiska według kolejności. Rekordowe kolejki ustawiają się wiosną i latem po wizy włoskie. W pielgrzymkach do Rzymu, organizowanych przez parafie kościelne, „Orbis”, „Gromadę” itd., biorą udział tysiące wiernych. Koszt: kilkadziesiąt tysięcy złotych i około 200 dolarów, pokrywanych przeważnie przez rodziny zza granicy lub wyciąganych z pończoch, gdzie leżały schowane na czarną godzinę. Włosi, znani bałaganiarze, nie potrafią uporać się z masą wniosków wizowych i przyszli pątnicy muszą stać w kolejce wiele dni i nocy. Komitety kolejkowe przed konsulatami działają daleko sprawniej od jego pracowników. Sporządzoną listę odczytuje się kilka razy dziennie o określonej godzinie i skreśla nieobecnych. Nocami dyżurują, z zeszytem w ręce, wyznaczeni przedstawiciele komitetu.

Kolejki to także charakterystyczny szczegół krajobrazu ulicy i lekcja gospodarki socjalistycznej. Gdy przed jakimś sklepem kolejka rośnie w oczach, na pewno rzucono tam jakiś deficytowy towar, np. papier toaletowy, łykowane zielone pomarańcze kubańskie, jugosłowiańskie sardynki czy chińską bawełnianą bieliznę. Powstały też nowe słowa, związane z tym zjawiskiem, jak np. „stacz kolejkowy”. Jest to ktoś, kto stoi w kolejce w celu kupienia atrakcyjnego towaru i odsprzedania go z zyskiem, lub wynajmuje się na godziny do stania za kogoś (100-120 złotych za godzinę). W ten sposób dorabia wielu emerytów, którzy nie mogą wyżyć ze swoich emerytur.

Kolejki są tematem wielu dowcipów, często też powstają tam błyskotliwe spięcia. Jeden z przykładów: przed apteką stoi duża, upiorna kolejka złożona z kalek i staruszków, oczekujących

na deficytowy lek nasercowy. Wszyscy głośno narzekają na brak podstawowych lekarstw i niskie emerytury, klnąc swój ciężki los, generała, partię, Urbana i władze. Najgłośniejszy wyrzeka jazgotliwym dyszkantem zgarbiona staruszka o chudej, ptasiej twarzy i żyłastych, kościstych dłoniach. Stojący za nią brodac, jedyne młody mężczyzna w tym gronie, zwraca się do niej głosem dobitnym:

— Ojciec opowiadał mi, że kiedyś było takie referendum — trzy razy tak. Pamięta to pani?

— Jakże mogłabym nie pamiętać? — odpowiada żywo staruszka, zadowolona, że może zwrócić na siebie uwagę.

— I głosowała pani wtedy?

— Oczywiście! Trzy razy tak — jak wzywały władze.

— I w wyborach do sejmu teraz brała pani udział?

— No pewnie! Poszłam z samego rana, jak wzywała telewizja.

— To teraz siedzieć cicho i nie narzekać! — zagrmiał brodac ze złym błyskiem w oku. — Przez takich jak pani musimy teraz wszyscy taplać się w tym gównie!

Urlopy, wyjazdy wakacyjne, podróże

Wyjazd z dziećmi na wakacje to problem nie do rozwiązania dla wielu rodzin. Na miesiąc pobytu nad zanieczyszczonym Bałtykiem lub zatrutymi jeziorami potrzeba dla kilkusobowej rodziny co najmniej 100.000 złotych, czyli prawie sześć miesięcznych pensji np. nauczycielki. Należy dodać, że nad Bałtykiem jest coraz mniej miejscowości, gdzie wolno się kąpać (zatrucie morza roślinie!) i opalać na plaży, więc w tych jeszcze nie skażonych ceny są o wiele wyższe. Większości polskich rodzin pozostaje wyjazd na lato do krewnych na wsi, jeżeli są jeszcze chłopcy w rodzinie, albo gdzieś w plener z namiotem, do czego nieodzowny jest samochód i sprzęt campingowy, obecnie nie do zdobycia. Dzieci można w ostateczności wysłać na kolonie letnie, organizowane przez szkoły, czy na obóz harcerski, co też jednak poważnie obciąża budżet domowy, gdyż za wszystko trzeba obecnie słono płacić według kosztów rzeczywistych, a te rosną z miesiąca na miesiąc. Istnieją też wczasy pracownicze, dwutygodniowe pobyty po względnie umiarkowanej cenie (kilkanaście tysięcy od osoby), ale rozdzielane są przeważnie przez nowe związki zawodowe. Jeżeli natomiast ma się dużo pieniędzy, można pojechać na urlop z „Orbisem”, „Sport-Touristem” czy innym biurem podróży. Wyjazd z dwojgiem dzieci np. nad Balaton na Węgrzech czy do Bułgarii kosztuje ok. 200.000 złotych, z własnym namiotem taniej. Indywidualnie jechać do krajów socjalistycznych nie można, chyba że dostanie się od znajomych zaproszenie, potwierdzone przez miejscowe władze. Wyjazdy na Zachód też wyłącznie za zaproszeniami. Podśluchane przypadkiem w Biurze Paszportowym: starszy pan, mocno zdenerwowany, mówi do urzędniczki MSW:

— Przez wiele lat pracowałem za granicą. Zarobione pieniądze

przesyłałem do kraju i mam tutaj w banku pokaźne konto dewizowe. Teraz, kiedy chcę dokądś pojechać, muszę błagać znajomych, żeby mi przystali zaproszenie. To poniżające! I narusza prawa człowieka!

— Może pan wyjeżdżać bez zaproszeń — wyjaśnia urzędniczka monotonnym głosem — na wycieczki z „Orbisem”.

Rzeczywiście „Orbis” jest dość operatywny i organizuje wycieczki do wielu krajów europejskich, a nawet egzotycznych, jak np. do Meksyku, Tajlandu czy Japonii. Wyjazdy wyłącznie dla posiadaczy kont dewizowych, ceny światowe, może nawet nieco wyższe, niż w zachodnioeuropejskich agencjach turystycznych. Przedsiębiorczy rodacy szybko się zorientowali, że na niektórych wyjazdach można nieźle zarobić, kupując za granicą atrakcyjne, poszukiwane u nas towary, więc np. na wycieczki po kozuchy do Turcji trzeba zapisywać się wiele miesięcy wcześniej.

Zwykły śmiertelnik, tzn. nie spekulant ani nie mający zasobnych krewnych za granicą, może o takim wyjeździe tylko marzyć. No bo skąd wziąć minimum kilkaset dolarów, skoro zarabia się kilkadziesiąt dolarów miesięcznie? Na odłożenie takiej sumy z normalnych zarobków trzeba kilkunastu lat.

Moja praca

Pracuję w zakładzie państwowym, jak większość moich kolegów ze studiów. Jako bezpartyjny, niezależny w myśleniu i rąbiący prawdę na wszystkich zebraniach nie mogłem awansować i pozostałem na stanowisku kierowniczym niższego szczebla. Jak wiadomo, kariery w PRL robią wyłącznie ci, którzy pasują do maksymy: „Mierny, bierny, ale wierny”. Wróciliśmy do tego po 13 grudnia 1981.

Do „Solidarności” oczywiście należałem, ale aktywistą nie byłem, pozostawiając to młodszemu, mniej zajętemu zabieganiem o byt materialny rodziny. Po wprowadzeniu stanu wojennego dwóch naszych pracowników internowano, kilku zatrzymano na 48 godzin po przeprowadzeniu dokładnej rewizji w mieszkaniu. Drzwi do pokoju naszej zakładowej „Solidarności” wyłamano, zabrano kartotekę członków i biblioteczkę. Książki podobno spalono, nawiązując tym do bliskich partii wzorów hitlerowskich. Ze mną ubecja odbyła tylko jedną rozmowę, wtedy, gdy powstawały nowe związki zawodowe. Grożono mi, że jeżeli się nie zapiszę, mogę stracić pracę i nigdy nie dostać paszportu zagranicznego. Nie zapisałem się, jak większość naszych pracowników. Najtwardsi są fizycyści, mają w nosie ubecję i jej szantaże, w każdej chwili znajdują inną pracę, może nawet lepiej płatną. Prawie wszyscy czytają regularnie *Tygodnik Mazowski* i uwielbiają Zbyszka Bujaka.

Tego dnia, kiedy rozgłośnię zachodnie podały wiadomość o zatrzymaniu Zbyszka, miałem zepsuty aparat i nie słuchałem radia. Zdziwiłem się więc, widząc naszych robotników ocierających łzy.

— Co się stało? — spytałem.

— Jak to? Nie wie pan? Skurwiele ubeki złapali naszego Zbyszka.

Komentowali to głośno, nie kryjąc swej nienawiści do władzy i Jaruzelskiego, którego nazywają ruskim agentem. Nieliczni w naszym zakładzie partyjni (ok. 10 % załogi), gnojki bez charakteru i karierowicze, przemylkali chyłkiem pod ścianami, bojąc się odezwać choćby jednym słowem. Sekretarz POP przybiegł zaafektowany z wiadomością, że w ubikacji ktoś napisał na ścianie „Uwolnić Zbyszka! Śmierć ubekom!”. Zjawili się tajniacy, chcieli szperać w kartotekach i sprowadzić grafologa, ale któryś z partyjnych przypomniał, że tak właśnie było w filmie, parodiującym czasy stalinowskie, „Zezowate szczęście”, więc dali spokój. Napis zamalowano czarną farbą, jak wiele podobnych napisów na ścianach zakładu.

Na schwytanie Zbyszka przeznaczono ogromne sumy pieniędzy, najnowocześniejszy dewizowy sprzęt elektroniczny, zmobilizowano całą armię ubeków i tajniaków. Gdy okradziono naszych sąsiadów, wezwani milicjanci rozłożyli bezradnie ręce:

— Nie złapiemy tych złodziei. Nie mamy ludzi ani sprzętu. Wszystko zabierają ONI!

Przez cztery i pół roku młody elektryk z Ursusa wodził za nos całą ubecję, wielokrotnie wymykając się z zastawionych sideł. Miał swoich zwolenników także na wyższych szczeblach władzy. Opowiadano mi, że na przyjęciu dla generałów, bliskich współpracowników Jaruzelskiego, jeden z nich powiedział, podnosząc kieliszek z wódką:

— Za rychłe schwytanie tego gnojka Bujaka!

— Co takiego? — zaperzył się inny generał. — O, tyle go złapiecie! — wykrzyknął zginając rękę w łokciu wymownym gestem. — To jest nasz komandos, najlepszy z całej kompanii!

No cóż, siła złego na jednego, ale dla władzy to sukces tylko pozorny. Od chwili aresztowania Zbyszek stał się jeszcze bardziej symbolem polskiego romantycznego bohaterstwa i jego oddziaływanie na masy robotnicze będzie rosnąć z każdym miesiącem. Władze nie powinny chępieć się swoim sukcesem. Ten nowy wieźień sumienia przysporzy im więcej kłopotów niż korzyści. Nawet zapowiedź surowego procesu w stylu stalinowskim, przed sądem wojskowym, kompromituje władze jeszcze bardziej i działa na korzyść struktur podziemnych. Represje nauczą pozostałych na wolności działaczy (a jest ich tysiące) ścisłej konspiracji, jak było podczas wojny, lecz podobnie jak wtedy ducha niepodległościowego nie złamią.

A swoją drogą zadziwia głupota Rosjan. Zamiast mieć w Polsce wiecznie dymiący wulkan, gotowy wybuchnąć przy lada okazji, mogliby przemienić Polaków w przyjaciół. Wystarczyłoby zrozumienie naszego narodowego charakteru i udzielenie Polsce statusu np. Finlandii. Powiedział ktoś, że to niemożliwe, bo przez Polskę prowadzą drogi do NRD i Berlina. Trudno o opinię bardziej błędną. Wiecznie kipiąca w podziemiu Polska, niestabilizowana gospodarczo, rządzona przez zniechęcone marionetki

Moskwy, jest stokroć groźniejsza dla ZSSR niż kraj ustabilizowany i naprawdę przyjazny.

Mój zakład pracy jest przykładem nonsensu, rządzącego całą naszą gospodarką. Na kilkuset robotników mamy prawie tyle samo personelu administracyjnego. Wymagają tego różne bezsensowne przepisy, no i idiotyczna, zupełnie niepotrzebna „sprawozdawczość”, której przeważnie nikt potem nie czyta. „Sprawozdawczością” zajmuje się też podległa mi komórka, zatrudniająca kilkanaście osób. Pracujemy „na pół pary”, przeważnie się nudząc, pijąc herbatę, czytając gazety i rozwiązując krzyżówki.

Z reform wyszliśmy zwycięsko, podnosząc ceny na produkowane u nas, coraz gorsze artykuły, które przy braku towarów na rynku i tak znajdują nabywców. Gorzej z eksportem. Za Gierka eksportowaliśmy na Zachód ok. 50 % naszej produkcji, teraz naszych bubli nikt tam nie weźmie nawet za pół ceny. Podobnie jest w innych, znanych mi zakładach. I z czego ma Polska spłacić długi lub choćby procenty od nich? Nasi robotnicy mają na ten temat wyrobione zdanie: „Muszą zapłacić za nas Ruscy, jeśli chcą mieć tutaj spokój”. To też panu Gorbaczowowi do sztabucha.

Nasze lektury i inne rzeczy zakazane

Najchętniej oczywiście czytamy książki wydawane w podziemiu, choć od drobnego druku bolą oczy. Znamy ostatnie wiersze Czesława Miłosza, Ernesta Brylla, Tomasza Jastruna, Anny Kamieńskiej, której śmierć wszystkich tutaj bardzo żartowała. Z prozy czytaliśmy ostatnio Teresy Torńskiej „Oni”, Tadeusza Konwickiego „Rzekę podziemną”, Aleksandra Wata „Mój wiek”, Oli Watowej „Wszystko, co najważniejsze”, Mariusza Wilka i kolegów „Konspire”, Bugajskiego „Przyznaję się do winy” oraz przekłady: Bukowskiego „I powraca wiatr”, „Wiernego Rusłana”, Władimowa, „Opowiadania” Kundery.

Z prasy podziemnej czytamy sporadycznie wiele tytułów, jak np. *KOS-a* czy *Wolę*. W pracy dostają regularnie *Tygodnik Mazowski* i od czasu do czasu wpłacam tam składkę na działalność podziemną (płaci również mój kolega, partyjny, ale swój chłop).

Nasz dom odwiedza co tydzień kolporterka, kobieta jeszcze młoda i nawet ładna, samotna matka, wychowująca kilkuletnie dziecko. Wszystkie swoje siły i życie osobiste poświęciła podziemnej „Solidarności”. Po pracy pędzi do przedszkola, aby jak najszybciej odebrać dziecko i oddać je pod opiekę sąsiadki. Potem rusza na miasto, dźwigając ciężką torbę, gdzie pod codziennymi zakupami zwykłej gospodyni schowane są gazetki i książki.

Gdy patrzę na nią, stającą z wysiłkiem po schodach w swoich wykrzywionych, niemodnych już pantoflach, myślę o ciłym bohaterstwie podobnych do niej kolportererek, bez których nie mogłoby pulsować życie podziemne.

Oto już przyszła. Otarła pot z czoła i uśmiechając się trochę smutno, pije pośpiesznie kawę z podanej filiżanki. Wybieramy

interesującą nas lekturę i oglądamy wydane ostatnio znaczki poczty „Solidarności”, nieraz prawdziwe rarytasy graficzne i filatelistyczne. (Dochód ze sprzedaży idzie na fundusz „Solidarności”). Rzucamy się na znaczki z Bujakiem, nowym więźniem sumienia. Kolporterka przysłuchuje się uważnie szmerom, dobiegającym z korytarza. W każdej chwili mogą zadzwonić do drzwi tajniacy i zrobić rewizję.

Kiedyś nie mogłem powstrzymać się od pytania:

— Niech mi pani powie szczerze, czy pani się nie boi tak narażać siebie i dziecko?

Uśmiechnęła się.

— Pewnie że się boję, ale przecież ktoś musi to robić.

To „musi” powiedziała z takim przekonaniem, że nie mogło być najmniejszych wątpliwości co do jej racji.

Oprócz kolporterki odwiedzają nas czasem niespodziewanie przyjaciele z wiadomością, że u naszych wspólnych znajomych odbędzie się spektakl Teatru Domowego (zakazane sztuki) lub pokaz filmu z kasyety video. Ostatnio oglądaliśmy nakręcony w Paryżu film o *Kulturze*. W średniej wielkości pokoju siedziało na podłodze kilkadziesiąt osób w wieku od 13 do 80 lat, wpatrzonych w pulsujący kolorami ekran telewizora. Gdy film się skończył, rozgorzała naszym nie krępowana dyskusja. Jedni chwalili realizatorów za temat i pomysłowy montaż, inni mieli zastrzeżenia do realizacji. Komentowano wypowiedzi Miłosza i Giedroycia. Potem zaczęto dyskutować na temat aktualnej sytuacji politycznej w PRL.

— Jak długo to jeszcze może trwać? — zapytała starsza pani z żalobnym krzyżkiem „Solidarności” na szyi.

— Niestety wygląda na to, że bardzo długo, proszę pani — odparł siwy pan, którego tytułowano profesorem. — Musimy być przygotowani na długi marsz.

Wielką rolę w życiu naszego społeczeństwa odgrywają zagrańcizne rozgłoszenie, jedyne źródło wiarygodnych informacji. Najpopularniejsze jest błyskotliwe i żywe Radio France Internationale, potem rzetelny Londyn i dobrze odbierany Głos Ameryki. Wolna Europa jest tak zagłuszana, że trudno ją ocenić. W rozmowach na ten temat doszliśmy do wniosku, że zamiast wielu pasm na falach krótkich, warto by nadawać na jednej częstotliwości na falach średnich lub krótkich, ale z radiostacji o takiej mocy, której nie dadzą rady polskie zagłuszarki.

Na zagłuszanie rozgłoszenia zagranicznych przeznaczają się w PRL ogromne sumy i olbrzymie ilości energii elektrycznej. Biedni górnicy muszą fedrować w soboty i niedziele, prowadzi się rabunkową gospodarkę zasobami węgla, za co przeklą nas prawniki, wszystko po to, by mogły bez przerwy pracować zagłuszarki.

Zaś z energią elektryczną są w PRL ciągłe kłopoty. Na prowincji często wyłącza się prąd i nie można wydoić krów elektrycznymi dojarkami, stają tartaki i cegielnie, ale zagłuszarki pracują non stop. Władza totalitarna boi się prawdy jak diabeł święconej wody.

Oficjalna prasa jest drętwa i zakłamana, książki wypatroszone

przez cenzurę z ciekawszych treści. Wydaje się przeważnie (z małymi wyjątkami na pokaz) członków nowego ZLP, czyli Związku Literatów Postuszných, jak powiedział mi taksówkarz. Przybywa cegieł, zalegających księgarnie, podczas gdy brakuje papieru na wydanie książki telefonicznej. Jak może funkcjonować normalne życie w stolicy, w której ostatnią książkę telefoniczną wydano przed ośmiu laty, w czasie których uruchomiono nowe centra telefoniczne i zmieniono mnóstwo numerów telefonu? Jeden z wielu paradoksów naszej rzeczywistości, pasującej bardziej do komedii Mrożka niż do dzieł Lenina.

Kilka przykładów takiej polityki wydawniczej. „Dzieła zebrane” Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego w pięknych sztywnych okładkach długo leżały w księgarniach, nie znajdując nabywców mimo parokrotnej przeceny, aż — po śmierci autora — prawie cały nakład poszedł na przemiał. Teraz taki sam los czeka pięknie wydane „Dzieła zebrane” Artura Sandauera, o treści niewątpliwie bardziej interesującej, ale niechodliwe ze względu na zniewidzoną za konformizm i pieszczanie się przed generałem osobę autora.

Niedawno ogłoszono subskrypcję na „Dzieła zebrane” Janusza Przymanowskiego, który pierwszy po wprowadzeniu stanu wojennego rzucił z trybuny sejmowej oszczerstwa na „Solidarność”. Władze, nauczone doświadczeniem z innymi popieranymi autorami, podobno nakazały nabycie dzieł autora „Czterech pancernych i psa” wszystkim bibliotekom. A Czesław Miłosz swoich „Dzieł zebranych” w PRL doczekać się nie może...

Józef LISIAK

Warszawa, czerwiec 1986

Lothar Herbst do gen. Kiszczaka

Dr Lothar Herbst
ul. Pabianicka 13/9
53-339 Wrocław

Wrocław, 12 sierpnia 1986 r.

Dot. nr akt:
KADR — 60192

Do
Ministra Spraw Wewnętrznych
za pośrednictwem
Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych
— Wydziału Paszportów
we Wrocławiu

ODWOŁANIE

W dniu 5-tym sierpnia br. odmówiono mi wydania paszportu na wyjazd prywatny do RFN celem leczenia choroby oczu, podając iż przyczyny odmowy są określone w art. 4 ust. 2 pkt. 2 ustawy z dnia 17 czerwca 1959 roku o paszportach, uzupełnionych w latach 1971 i 1983. Jak wynika z treści

tego artykułu: „przeciwko wydaniu paszportu przemawia wzgląd o bezpieczeństwo Państwa, obronność, ochrona tajemnicy państwowej albo gdyby mogło to narazić gospodarkę narodową na znaczne straty lub spowodować poważne zakłócenia w jej funkcjonowaniu”.

Podane przyczyny nie mogą mieć do mnie zastosowania, ponieważ w żadnym wypadku moja praca (pracuję jako adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego i zajmuję się historią literatury polskiej i czasopiśmiennictwem wieku XX; obecnie przebywam na urlopie zdrowotnym z powodu choroby oczu) oraz moja działalność literacka (zajmuję się poezją, krytyką literacką i przekładami) nie mają nic wspólnego z ochroną bezpieczeństwa Państwa, jego obronności, ochroną tajemnicy państwowej czy działalnością gospodarczą. Być może istnieją jakieś inne przyczyny, ale nie zostałem o nich poinformowany.

Pragnę zaznaczyć, że mój wyjazd do RFN-u jest związany z chorobą oczu, z możliwością podleczenia tej choroby w warunkach jakie chcą mi stworzyć w Klinice Okulistycznej Uniwersytetu Medycznego w Lubee (jest to dokładnie wyszczególnione w zaproszeniu) oraz osoba prywatnie mnie zapraszająca (również zaznaczone to jest w zaproszeniu); że byłem wiele razy poddawany badaniom lekarskim, próbom leczenia we wrocławskich szpitalach (ostatnio przebywałem w Klinice Chorób Oczu we Wrocławiu na przełomie kwietnia i maja br.), badaniom lekarskim w Zakładach Medycyny Sądowej we Wrocławiu i w Krakowie (w związku z toczącym się przeciwko mnie od 7 października 1985 roku postępowaniem śledczym i sądowym z art. 282 a par. 1 KK i art. 45 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 roku o prawie prasowym) i wszędzie stwierdzano, że stan mojej choroby jest bardzo poważny i wymaga ona intensywnego i dobrego leczenia, w tym również sanatoryjnego. Na podstawie orzeczenia biegłego, kierownika katedry i Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie prof. dr. hab. Zdzisława Marka, w dniu 18 kwietnia br. Sąd Rejonowy dla Wrocławia Śródmieścia, na podstawie art. 15 par. 1 KpK zawiesił postępowanie sądowe aż do mojego wyzdrowienia. Brano wówczas pod uwagę mój wyjazd na leczenie do RFN, ponieważ zaproszenie na to leczenie zostało dołączone do akt sprawy.

Ponieważ do tej pory — mimo wielu pobytów w szpitalach — nie udało się tej choroby zatrzymać, pragnę jednak skorzystać z tej szansy, jaką mi daje klinika w Lubee. Po podleczeniu się, po powrocie, chciałbym również stawić się do dyspozycji sądu, aby zakończyć toczącą się przeciwko mnie sprawę. Na razie jednak zostało mi to uniemożliwione.

Odwołuję się więc od decyzji Wydziału Paszportów Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych we Wrocławiu, uważając ją za krzywdzącą, która uniemożliwia mi skorzystanie z możliwości podleczenia choroby oczu oraz dołączam kserokopie orzeczeń lekarskich i sądowego celem lepszego zapoznania się z tą sprawą.

Proszę o zmianę decyzji i wydanie mi paszportu.

Lothar HERBST

W załączeniu:

- Sprawozdanie sądowo-lekarskie z ZMS w Krakowie
- Orzeczenie Kliniki Okulistyki A.M. w Krakowie
- Karta informacyjna Kliniki Okulistyki A.M. we Wrocławiu
- Wyciąg z protokołu Sądu Rejonowego dla Wrocławia Śródmieście.

JAK DZIAŁA KOLPORTAŻ NOW-ej?

1. Prawie nigdy nie dostaję zamówionej ilości egzemplarzy, na ogół więcej. Kłopot polega na tym, że wydawnictwo jest bardzo niezadowolone, kiedy są jakieś zwroty, nie wie co ma z nimi zrobić, książki długo zalegają w mieszkaniu. Niestety, coraz mniej ludzi kupuje książki, na co składa się wiele przyczyn, również i ta, że wydawnictwo wypuszcza coraz więcej nieciekawych tytułów.

2. Niekiedy dostaję przez pomyłkę ten sam tytuł dwa razy, albo też jakiś tytuł omija moje mieszkanie.

3. Kilka razy w ciągu roku zdarzyło się tak, że przyjąłem na przechowanie książki, których nie przyjął inny punkt. Niestety, nigdy nie wiedziałem, jak długo mam je przechowywać, kiedy mogę spodziewać się ich odebrania. Jest to szczególnie uciążliwe, gdyż w grę wchodzi setki egzemplarzy, które nie mogą przecież stać na środku mieszkania. Jest to wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa, świadczy o bez trosce i nonszalancji.

4. Przez rok współpracy tylko raz lub dwa (chyba przez przypadek) zdarzyło się, by kolporter pojawił się u mnie w umówionym terminie. Zupełnie uniemożliwia mi to sprawne rozprowadzenie książek, tak by jak najkrócej były one w jednym mieszkaniu. Pociąga to za sobą również opóźnienia w zebrawaniu pieniędzy.

5. Współpracuję również z innymi wydawnictwami w kolportowaniu książek, ale z żadnym innym nie mam tych kłopotów, co z NOW-ą. Dlatego też sądzę, że jednak wynikają one z organizacyjnego bałaganu, a nie ze specyfiki naszej działalności.

ZNIECHĘCONY

**STODIECK'S BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA W BERLINIE ZACHODNIM**

Sprzedż wysyłkowa wydawnictw emigracyjnych.

WIELKA OBNIŻKA CEN!

BLISKO 50 TYTUŁÓW TANIEJ!

Katalog „Zima 1986/1987” wysyłamy bezpłatnie
na życzenie.

Stodieck's Buchhandlung

Richard-Wagner-Str. 39. D - 1000 Berlin — 10

Tel.: (030) 341-10-40

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Międzynarodowa Agencja Atomowa w Wiedniu otrzymała 14 sierpnia br. sporządzony w Moskwie raport o przyczynach i skutkach awarii w czernobylskiej elektrowni atomowej. Zachodni eksperci byli uszczęśliwieni: po raz pierwszy zapoznali się oficjalnie z niektórymi detalami sowieckich reaktorów, niektórymi przyczynami katastrofy itd. Nic z tego nie było oczywiście niespodzianką. Ku powszechnej radości Związek Sowiecki dał jednak wyraz dobrej woli i ujawnił sekret nad sekrety — wewnątrz sowieckiej elektrowni atomowej. Wiele pytań pozostało bez odpowiedzi, liczne odpowiedzi nie odpowiadają rzeczywistości, ale jakby nie było, 382-stronicowy raport stanowi namacalny dowód „jawności” — oto ona, każdy może dotknąć.

Eksperti doszli do jakichś wniosków, którymi się zapewne podzielią z innymi ekspertami. Będąc całkowitym ignorantem w dziedzinie fizyki, techniki nuklearnej, elektrowni atomowych itp., rozumiałem jednak, że raport całą winę przypisuje technikom z obsługi reaktora: budowa samego reaktora nie budzi najmniejszych zastrzeżeń. Teza to wątpliwa. Sowieccy fizycy atomowi doskonale wiedzą, że reaktory RBMK-1000, zainstalowane w sowieckich elektrowniach atomowych, zbudowane są według planów, otrzymanych zapewne od Rosenbergow. W każdym razie są niewątpliwie bardzo przestarzałe. Główny konstruktor, I. J. Jemielianow, przeforsował swój projekt dzięki aktywnemu poparciu prezesa Akademii Nauk ZSSR A. P. Aleksandrowa. W owych latach mawiano: „Dotychczas znane były dwa zastosowania energii atomowej — dla celów pokojowych i dla celów wojennych. Jemielianow odkrył trzecie — dla celów własnych”. Dodajmy, że projekt Jemielianowa zwyciężył w niemałym stopniu dzięki temu, że RBMK-1000 wytwarza poza energią także pluton do produkcji bomb atomowych.

Po drugie rozumiałem, że do katastrofy doszło dlatego, że personel przeprowadzał „na własny strach i ryzyko” (??) eksperyment. Twierdzenie, że eksperyment przeprowadzano bez zgody

zwierzchnictwa jest oczywiście kłamstwem, ale nie ma komu zaprzeczyć, bo wszyscy „winni” zginęli. O „nieudanym eksperymencie” sowieccy funkcjonariusze zaczęli mówić wkrótce po katastrofie. Z raportu widać, na czym on miał polegać. Chodziło o zbadanie, jak długo reaktor może pracować w razie awarii systemu chłodzenia, które się widocznie często zdarzały i uchodziły za zjawisko normalne. Największa tajemnica, jaką ujawnia raport (a która jest tajemnicą tylko dla Zachodu) polega być może na tym, że obywatele sowieccy pracują w elektrowniach atomowych tak samo jak wszędzie indziej. Nie ma żadnych powodów, dla których sowiecki człowiek miałby źle pracować w kołchozie, w fabryce telewizorów lub butów, a dobrze w elektrowni atomowej. Wszędzie przecież tylko wykonuje plan.

Jeśli by to twierdzenie wymagało jeszcze dowodów, to dostarczył ich 31 sierpnia wieczorem sowiecki frachtowiec, który rozplątał na dwoje pasażerski statek „Admirał Nachimow”. Zderzenie miało miejsce w pobliżu Noworosyjska, okręty widziały się nawzajem, ba, utrzymywały ze sobą łączność. Mimo to zderzyły się. Ofiary idą w setki. Można naturalnie przypomnieć, że „Admirał Nachimow”, zbudowany przez Niemców sześćdziesiąt jeden lat temu, był najstarszym statkiem pasażerskim na świecie. Ale przecież pływał, dotychczas nie utonął, choć należy sądzić, że załoga pracowała po sowiecku, a kapitanowie najpewniej po pijanemu.

Podkreślmy: wiadomość o katastrofie została opublikowana niezwykle szybko, już 2 września. Potem ogłoszono komunikat o aresztowaniu obydwu kapitanów. Znowu — podkreśla partia — zawinił „czynnik ludzki”.

Publikowanie wiadomości o katastrofach — rzecz dawniej nie-spotykana — ma charakter pedagogiczny. Naród sowiecki ma się uczyć. Równocześnie raport o Czernobylu należy rozumieć jako apel do Zachodu o pomoc w rozbudowie sowieckiego przemysłu atomowego. W apelu zawarta jest też pogroźka: jeśli nam nie pomożecie, to sami pożałujecie — wybuch w Czernobylu dowiódł, że chmury radioaktywne nie potrzebują wiz.

Strach i różne inne stany ducha zachodnich komentatorów i działaczy państwowych powodują, że reakcja Zachodu odpowiada potrzebom generalnego sekretarza. Najlepiej wyrażają ją ostatnie wiersze czwartej już z kolei biografii M. S. Gorbaczowa. Autorem jej jest — oczywiście — dziennikarz zachodnioniemiecki. Dzisiejsze Niemcy Zachodnie mają najlepszy ze wszystkich krajów stosunek do Gorbaczowa. Były korespondent *Die Zeit* w Moskwie, Christian Schmidt-Häeur, wyliczywszy szybko nieliczne znane elementy biografii nowego generalnego sekretarza, podsumowuje: „Czy Gorbaczow jest dobry nie tylko dla Rosji, ale i dla reszty świata? Odpowiedź — warunkowe tak, zwłaszcza jeśli Zachód przyjdzie mu z pomocą. Gorbaczow pragnie władzy, ale nie w imię własnych interesów, lecz by ulepszyć swoje społeczeństwo. Nie uda mu się to, jeśli będzie musiał parować realne czy wymaginowane zagrożenia z zewnątrz. Aby usunąć te zagrożenia

nia, potrzebna mu jest pomoc Zachodu. Właśnie dlatego Zachód może dziś wpłynąć na polepszenie doli zwykłego człowieka sowieckiego¹.

Christian Schmidt-Häeur proponuje Zachodowi, aby przyłożył rękę do budowy komunizmu w Związku Sowieckim, tak aby ludzie sowieccy bez pracy mogli korzystać ze wszystkich plodów rajy na ziemi i nikomu nie zagrażali, skoro im nikt nie będzie zagrażał. Prawdziwy człowiek sowiecki dawno na to czeka i póki co nie pracuje. „Likwidacja skutków awarii czernobylskiej”, by użyć formuły z gazet sowieckich, raz jeszcze pokazała (jakby dotąd brakło dowodów), czym jest „komunistyczny stosunek do pracy”. Centralna prasa sowiecka ogłasza liczne artykuły i korespondencje z Ukrainy, w których mowa jest o heroizmie ludzi, pracujących w Czernobylu przy oczyszczaniu terenu katastrofy. W estońskiej gazecie natomiast — organie miejscowego Komсомоłu — ukazała się między 12 i 16 sierpnia seria artykułów, poświęconych zatrudnieniu w Czernobylu estońskich rezerwistów. Mężczyźni, którzy odbyli już służbę wojskową i są regularnie wzywani na kilkutygodniowe ćwiczenia, zostali praktycznie aresztowani — niektórzy nocą — i zesłani na dwa miesiące do Czernobyla. Kiedy im oświadczono, że służbę w radioaktywnej strefie przedłużono im do sześciu miesięcy, ogłosili strajk. Estoński dziennikarz uspokaja czytelników, do których widać dotarły słuchy o strajku, że wszystko się dobrze skończyło. Z artykułów w estońskiej gazecie wynika, że rezerwiści pracowali w drugiej i trzeciej strefie, gdzie radioaktywność jest niższa, aniżeli w pierwszej. W pierwszej strefie, jak się łatwo domyślić (choć się o tym nie mówi) pracują więźniowie. Oto główna lekcja Czernobyla: praca w Związku Sowieckim jest zawsze pracą przymusową. Wolny (na razie nie aresztowany) człowiek, pracujący ramię w ramieniu z więźniami, zawsze będzie uważał swoją pracę za niewolnictwo.

Sowieccy dziennikarze i pisarze, piejący hymny na cześć „nowej ery” Gorbaczowa, nazywają Czernobyl „strefą wyższej świadomości”. Wozniesiński napisał wiersz o „intensyfikacji sumienia”. Czytając o „zintensyfikowanym” sumieniu oraz „wyższej”, „przyspieszonej” itp. świadomości, przypomniałem sobie bystre spostrzeżenie Diabła, który zjawił się w Moskwie pod imieniem Wolanda. Michaił Bułhakow zapisał jego uwagi w teatrze „Varietés”. Diabeł zawałał bufetowego i zapytał go: dlaczego sprzedajecie w bufecie jesiotra „drugiej świeżości”? „Druga świeżość” nie istnieje. Jesiotr może być tylko świeży albo nieświeży.

Podobnie nie istnieje „zintensyfikowane” sumienie. Sumienie się ma albo się go nie ma.

Czy ci, którzy szczególnie głośno rozprawiają o sumieniu mają je, czy nie, jest pytaniem spornym, tym bardziej, że samo pojęcie straciło w erze sowietyzmu swą biblijną jasność. Nie rozwiązując kwestii, porównajmy dwie epoki, które się dziś ze sobą

1. Christian Schmidt-Häeur, *Gorbachev. The Path to Power*. Ed. I. B. Tauris, London 1986 (istnieje też wydanie niemieckie).

zestawia: „odwilż” po śmierci Stalina i półtora roku rządów Gorbaczowa.

Pierwszym słowem „odwilży” — zaledwie kilka miesięcy po śmierci Stalina — była „szczerłość”. W *Nowym mirze* nr 12 z 1953 roku Władimir Pomerancew zaczął artykuł pt. „O szczerłości w literaturze” słowami: „Szczerłość, oto czego nam brak”. Począwszy od marca 1985 roku w Związku Sowieckim nie przestaje się powtarzać, że „brak prawdy”, że potrzebna jest „prawda”. Nowa era nosi miano „ery jawności”. Czym się ona różni od ery „odwilży”? Przede wszystkim tym, że trzydzieści lat temu wierzono jeszcze w możliwość zmian. Wydawało się, że wystarczy powiedzieć prawdę, a wszystko się odmieni. Najważniejszym elementem „odwilży” był referat Chruszczowa na XX Zjeździe. Ale ruch odnowy, nacisk na „szczerłość” szły od dołów. Dziś nacisk idzie tylko z góry i nie przekracza dozwolonych granic. Jeszcze wymowniejszy jest fakt, że nie pojawiło się ani jedno (dosłownie ani jedno) nowe nazwisko w literaturze, jak to miało miejsce trzydzieści lat temu. Najbardziej charakterystyczną cechą dzisiejszych „buntowników” jest fakt, że wszystko to już przerabiali trzydzieści lat temu. Wypowiedzieli już wszystkie słowa i wszystkie prośby, które dziś powtarzają. Z tym, że dziś proszą o znacznie mniej. Nauczeni doświadczeniem, stali się ostrożniejsi. Dziś mają też już coś do stracenia: w toku minionych trzydziestu lat dokonała się „nienaturalna” selekcja buntowników ery „odwilży”. Najzuchwalsi, najważniejsi, najbardziej utalentowani zostali odsiani. Pozostali ci, którzy się dostosowali, zrozumiałwszy — mówiąc słowami Wasila Grossmana — że największa tragedia, to utracić czarny kawior i musieć się zadowolić czerwonym.

Sałytkow-Szczedrin z właściwym sobie okrucieństwem zdefiniował trzy stopnie, po których zazwyczaj stacza się liberał: najpierw wolność, potem byle co, a na koniec podłość. Wszyscy mówcy z ostatniego zjazdu pisarzy stali w najlepszym przypadku na drugim, a nierzadko na trzecim stopniu drabiny.

Rosyjska literatura zawsze odgrywała ważną rolę w życiu kraju, a często była jedynym głosem opinii publicznej. Tak właśnie było z sowiecką literaturą w okresie „odwilży”. Władimir Dudincew, Aleksander Jaszyn, Władimir Tiendriakow i kilku innych pisali o problemach politycznych, analizowali system sowiecki. Pisarze odpowiadali na pytania, które stawiało społeczeństwo. Pojawiły się książki J. Dombrowskiego, A. Sołżenicyna, W. Bykowa i innych, w których mowa była o tajemnicach niedawnej przeszłości, o łagrach, terrorze, klęskach wojennych. Pisarzy dzisiejszej „ery jawności” przeszłość nie interesuje. Sowiecka historia zdaje się być bezpowrotnie zapomniana. O ile dla pokolenia „odwilży” punktem odniesienia, złotym wiekiem prawdziwego socjalizmu były lata dwudzieste, okres przed Stalinem, oprómienny jeszcze „duchem Lenina”, o tyle dla pokolenia „jawności” punktem odniesienia jest ostatnia stalinowska pięciolatka. Gorbaczow wspomina ją z zachwytem (*Prawda* z 27 lipca 1986). Wtórzuje mu z nie mniejszym zachwytem Czingiz Ajmatow (*Literaturnaja gazeta* z 13 sierpnia 1986). „Zebrania komso-

molskie były takie bojowe..." — wzdycha z nostalgią Gorbaczow. „W naszych młodych, naiwnych, infantylnych duszach szumił duch kolektywizmu, internacjonalistycznej jedności" — odzywa się echem Ajtmatow. Generalny sekretarz i jeden z najśłynniejszych pisarzy sowieckich mają na myśli okres bezlitosnej walki z kosmopolityzmem i „uleganiem cudzoziemskczyźnie", epokę, kiedy słowo Stalina było jedynym prawem.

Sowieccy pisarze zrezygnowali z obrachunków z przeszłością i zajęli się „sumieniem". Głównym tematem książek epoki „jawności" jest sumienie człowieka sowieckiego, a ściślej jego brak. Właśnie o tym świadczą najważniejsze książki ery Gorbaczowa: „Pożar" Rasputina, „Smutny detektyw" Astafiewa, „Dyby" Ajtmatowa... Pisałem już o nich. Ich patos sprowadza się do jednego: degeneracja człowieka sowieckiego dosięgła granic, poza którymi jest już tylko przepaść. Żaden ze wspomnianych autorów nie pyta jednak, kto temu winien.

Jednym z najwymowniejszych przejawów rozkładu człowieka sowieckiego jest rozpad rodziny. W „Dybach" Ajtmatow przeciwstawia ludziom, niezdolnym do stworzenia życia rodzinnego zwarcią, zdrową rodzinę wilków. Wilki bronią dzieci, samiec broni samicy, samica samca — zachowują się tak, jak już nie potrafią zachowywać się ludzie.

Nazwiska wyżej wymienionych pisarzy są znane. Natomiast mało kto słyszał o Ludmile Pietruszewskiej, której sztuki teatralne należy uznać za najostrzejsze oskarżenie systemu, który zламаł duszę ludzką. Ludmiła Pietruszewska tym się różni od innych, że doskonale wie, kto jest winien („Trzy dziewczynki na niebiesko", „Lekcje muzyki"). Sztuki Pietruszewskiej są bodaj jedynym przykładem utworów sowieckich, w których sprawa postawiona jest tak wyraźnie, a wróg nazwany bez osłonek. Pietruszewska przedstawia świat kobiet i mężczyzn, w którym mężczyźni są wrogami kobiet. Najzawziętsze feministki zachodnie nie napisały nigdy niczego równie radykalnego jak oskarżenia Pietruszewskiej i — dodajmy — z równym uzasadnieniem. Jej mężczyźni są zawsze pijakami, impotentami, próżniakami żyjącymi z kobiet. We wszystkich jej sztukach toczy się walka między kobietami i niepotrzebnymi do niczego, zdegenerowanymi mężczyznami.

Jeden z paragrafów „Apelu do obywateli Związku sowieckiego", o którym wspominałem w poprzednim przeglądzie, poświęcony jest kwestiom, które porusza Pietruszewska: „Czy niskie zarobki prowadzą do feminizacji mężczyzn, którzy nie są w stanie wykarmić rodziny... a ich niezdolność do utrzymania rodziny prowadzi do maskulinizacji kobiet?"

W czasach „odwilży" pytano: dlaczego jest nam źle? W epoce Gorbaczowa padła odpowiedź: dlatego, że jest nam za dobrze. W rozmowie z ministrem spraw zagranicznych RFN, Genscherem, Gorbaczow (jak pisze dziennikarz *Spiegla*, 18 sierpnia 1986) oznajmił „wesoło", że „system, zapewniający ludziom pracę, chleb i dach nad głową jest dość liberalny. Problem tylko w tym, że

ludzie u nas mogą dobrze żyć, nie przemęczając się". Generalny sekretarz uważa, że człowiekowi sowieckiemu żyje się świetnie, skoro ma pracę, kęs chleba i dach nad głową. Jak pies łańcuchowy. Słowa Gorbaczowa powtarza Ajtmatow: „W warunkach dobrobytu, a my, co by nie mówić, żyjemy w dobrobycie, nie ma u nas ludzi głodnych, bezdomnych, nędzarzy..." (*Literaturnaja gazeta* z 13 sierpnia 1986). W „warunkach dobrobytu" rodzi się „kult rzeczy" — „czynnik materialny wybija się na czoło", sumienie znika: mówiąc słowami Ajtmatowa, „duchowy potencjał zbliża się do zera".

Niektórzy pisarze sowieccy, pisząc o duchowej degeneracji człowieka sowieckiego, dopuszczają nawet możliwość, że istnieją jakieś wyższe siły (wyższe od Biura Politycznego!), ten i ów wspomina nawet o Bogu. W *Komsomolskiej prawdzie* z 30 lipca 1986 ukazał się obszerny artykuł doktora nauk filozoficznych I. Krywielewa, zatytułowany „Umizgi do bozi". Były duchowny, obecnie specjalista od „naukowego ateizmu" I. Krywielew rozprawia się z sowieckimi pisarzami, którzy — jak np. Astafiew, Ajtmatow, Bykow — „robią umizgi do bozi", co — jak powiedział towarzysz Lenin — jest „nieopisanym obrzydlistwem". Doktora nauk filozoficznych Krywielewa szczególnie oburza to, że wspomniani pisarze powołują się w swych apelach o przyzwyczajenie do „dokument, który uważany jest za pismo święte zarówno judaizmu (w swej części starotestamentowej) jak i chrześcijaństwa". Tymczasem w tym dokumencie — tłumaczy doktor filozofii — między innymi i w „słynnych dziesięciu przykazaniach", znajduje się „zapowiedź najwzwyklejszego masowego ludobójstwa". Nie przypadkiem — zwraca uwagę doktor — „biblijne nastawienia służą współczesnemu żołnierzowi izraelskiemu jako ważny materiał do ideologicznego uzasadniania unicestwienia Arabów". Potrzebne nam są — podsumowuje Krywielew — „masy, a nie starotestamentowe siły".

Masy zaś — zwłaszcza te, które muszą czytać *Komsomolską prawdę*, tzn. młodzież — poszukują właśnie „starotestamentowych sił". W Bogu szukać ich nie wolno, szukają więc w alkoholu albo narkotykach. *Literaturnaja gazeta* zamieściła 20 sierpnia 1986 wywiad z zastępcą naczelnika wydziału śledczego, generał-majorem milicji G. A. Aleksiejewem. Mowa była o narkomanii, która stała się w Związku sowieckim poważnym problemem. „My zamykamy oczy — stwierdza rozmawiający z Aleksiejewem dziennikarz — ale życie toczy się dalej. Płakały matki, bili na alarm lekarze...". Generał-major uchyla rąbka tajemnicy sowieckiej narkomanii, przyznając, że 80% narkotyków jest rodzimej produkcji, czyli nie jest sprowadzane z „przekłętego Zachodu". Wyraża się okrężnie: „Narkolodzy z Dniepropietrowska przeprowadzili kiedyś wyrywkowe badania w szkołach. Uzyskane przez nich dane nie mogły nas nie zatrwożyć". Wyjaśnia nawet, że „narkomani są wyspecjalizowani: jedni zbierają, drudzy skupują, trzeci przywożą, czwarcy sprzedają". Równocześnie jednak uspokaja: „Jestem przekonany, że nie ma żadnych podstaw do mówienia o jakiejś zakonspirowanej 'mafii'". To niezbyt kategoryczne zapew-

nienie budzi wątpliwości. „Dyby” Ajtmatowa, napisane na podstawie archiwów milicji, wskazują na istnienie zorganizowanych grup handlarzy narkotyków. Nie ulega wątpliwości, że wojna w Afganistanie, gdzie sowieccy żołnierze przyzwyczajają się do narkotyków, bardzo zaostrzyła problem, tak bardzo, że trzeba było zacząć o nim mówić. Należy sądzić, że wracający do domu doświadczeni weterani wojny afgańskiej zasilą szeregi „mafii” handlarzy narkotyków.

Wśród morza smutnych wiadomości jedna napawa optymizmem i wiarą w przyszłość. O VIII Zjeździe pisarzy sowieckich wiele już pisano, ale głównemu jego epizodowi poświęcono za mało miejsca, jeśli w ogóle o nim wspomniano. Nie podkreślono jego znaczenia. Na zjeździe wystąpiła poetka Jekatierina Szewieliowa. Szewieliowa urodziła się siedemdziesiąt lat temu, do partii wstąpiła czterdzieści lat temu, a wiersze publikuje od pół wieku. O „poezji” Szewieliowej nie sposób cokolwiek powiedzieć, a i jej przemówienie na Zjeździe nie zwróciłoby niczyjej uwagi, gdyby nie oświadczyła na zakończenie, że w jej pokoleniu „był prawdziwy poeta, który poświęcił sławę literacką sprawie partii i działalności państwowej”. Mógł — zapewniła Szewieliowa słuchaczy — drukować wiersze, wydawać książki (tak jak ona od pięćdziesięciu lat), ale On, Prawdziwy Poeta, „odpychał takie pokusy”. Tym ofiarnym artystą był Jurij Władimirowicz Andropow. Okazało się, że przez długie lata Andropow odrywał się nocą od kierowania KGB i innymi organami i pisał wiersze. Szewieliowa nie mogła się powstrzymać od przeczytania dwu stroftek. Przytaczam je w całości, przekonany, że po polsku zabrzmiały jeszcze głębiej, jeszcze bardziej filozoficznie:

*Wszystko przemija na tym świecie. Nad nami miesiąc,
życie — tylko chwila, niebyt — wieczność.
Kraży po Wszechświecie ziemską kulą,
Wśród ludzi życie i śmierć hula...*

*Lecz prawda, w mgłę zrodzona prawda
Niepowstrzymanie prze do mety
Na Ziemi nowe pokolenia
Wciąż dalej niosą życia sztafetę.*

Kiedy wszyscy genialni generalni sekretarze zostaną ostatecznie zrehabilitowani, w Związku sowieckim (i pozostałych krajach socjalistycznych) pojawi się nowa gałąź literaturoznawstwa: badania produkcji literackiej J.W. Stalina, Mao Tse-tunga, Ho Szi Mina, J.W. Andropowa i innych, którzy być może ukrywają na razie swój niezdrowy pociąg do sztuki.

Adam KRUCZEK

9 września 1986

Kronika niemiecka

Reżym NRD-owski wydał okolicznościowy znaczek pocztowy, upamiętniający 25-tą rocznicę wzniesienia muru berlińskiego. Znaczek o wartości 20 fenigów nosi napis: „25 lat antyfaszystowskiego sztańca”. ■ Członkowie polskich delegacji (administracja na szczelbu wojewódzkim), którzy udają się do RFN na zaproszenie strony niemieckiej otrzymują dziennie ćwierć diety — 7,50 DM. Wojewoda jako szef delegacji pobiera w Warszawie pół diety (15,00 DM) na koszt reprezentacji... ■ Zachodniemiecka Akcja Sühnezeichen (Akcja Pokuty) realizuje, we współpracy ze ZBoWiD-em, istniejący już od 1971 roku projekt utworzenia w Oświęcimiu międzynarodowego ośrodka spotkań młodzieży. W pierwszej fazie budowy, której ogólne koszty wyniosą 3,8 mln marek, powstanie ma budynek seminarium, a także schronisko na 60 osób. ■ W serii publikacji naukowych Uniwersytetu im. Johanna Gutenberga w Moguncji ukazała się praca warszawskiego historyka, prof. Marii Wawrykowej, pt. *Für eure und unsere Freiheit. Studentenschaft und junge Intelligenz in Ost- und Mitteleuropa in der ersten Hälfte des 19. Jahrhunderts (Za waszą i naszą wolność. Studenci i młoda inteligencja we wschodniej i środkowej Europie w pierwszej połowie XIX wieku)*. Maria Wawrykowa zajmuje się w swej pracy analizą powstań, których uczestnikami byli przeważnie ludzie młodzi, w Rosji, Polsce i Niemczech pierwszej połowy XIX wieku, poświęcając szczególnie wiele uwagi polskiemu powstaniu listopadowemu. ■ Od początku sierpnia do początku września bież. roku przebywało na wakacjach w RFN ok. 3,5 tys. polskich dzieci w wieku od 10 do 14 lat. Ich przyjazd do Republiki Federalnej to wynik starań prowadzonych przez powstałą w 1981 roku niemiecką organizację społeczną *Patenschaft Karlsruhe*. Początkowo zajmowała się ona jedynie wysyłką paczek do Polski. Potem jej działalność uległa rozszerzeniu. Prezes organizacji Rolf Dieter Ruppert zaznaczył, że dzieci z Polski przyjechały głównie ze Śląska, którego powietrze jest zatrute, oraz z tych części Polski, gdzie szczególnie dały się odczuć skutki katastrofy atomowej w Czernobylu. ■ 70 działaczy wschodniemieckiego ugrupowania pn. *Inicjatywa na Rzecz Pokoju i Praw Człowieka* podpisało list do PRL-owskiego prokuratora gen. Józefa Żyty, w którym domagają się niezwłocznego wypuszczenia na wolność Jacka Czaputowicza i Piotra Niemczyka, członków ruchu *Wolność i Pokój*. Niezwykły przykład cywilnej odwagi i solidarności naszych sąsiadów zza Odry. ■ Jury Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Locarno przyznało *Złotego Lamparta* polskiemu reżyserowi Januszowi Zaorskiemu za film *Jeziro Bodeńskie* (historia Polaka, który po wielu latach wraca do miejsca, gdzie był internowany podczas drugiej wojny światowej). ■ W 1985 roku polskie obroty z RFN (bez Berlina Zachodniego) przekroczyły 5 mld marek, co jest wynikiem rekordowym w historii. W porównaniu z 1980 roku, w polskim eksporcie do RFN wywóz paliw i surowców zmniejszył się o 3 %, maszyn i urządzeń — aż o 11 %, za to zwiększył się eksport rolno-spożywczy oraz wyrobów przemysłu lekkiego. W eksporcie do RFN paliwa i surowce stanowią 53 %, artykuły spożywcze — 19 %, maszyny — 14,5 %, towary konsumpcyjne — 13 %. Ale co będzie w 1986 roku — po Czernobylu? ■ Dr Karl Dedecius, dyrektor *Instytutu Literatury Polskiej* w Darmstadt (Hesja), w wywiadzie udzielonym *Trybunie Opolskiej*: „Polska książka jest trudna, przede wszystkim dlatego, że jest tam dużo historycznych wiadomości, aluzji u nas niekoniecznie zrozumiałych. Po-

trzebna jest do tego wiedza, do której trzeba niemieckiego czytelnika przygotować". ■ Rząd RFN wypłacił w latach 1949-1986 odszkodowania na łączną sumę 74,2 mld marek przesładowanym różnym narodowości w okresie nazistowskim. 1 listopada bież. roku boński *Bundestag* będzie debatował z okazji wydania VII tomu *Historii Odszkodowań*. ■ W 1984 roku za tranzyt kolejowy w kierunku północ-południe przez port w Rostocku (przez Berlin, Drezno i Dečín do Pragi) NRD uzyskała ponad 120 mln marek RFN. A co z tranzytem przez Polskę? Przejazd pociągu towarowego od granicy wschodniej do zachodniej trwa ok. 30 godzin (prom na trasie Kłajpeda - Mukran w NRD zaledwie 24 godziny). Za tranzyt 850 tys. ton rudy ze Szwecji do Austrii w 1985 roku Polska uzyskała 40 mln DM. Widać z tego, że przewozy tranzytowe są bardzo opłacalne, ale tabor kolejowy PKP znajduje się w opłakanym stanie. Zaledwie 1,5 % taboru przewozi ładunki tranzytowe. ■ W ub. roku 6.672 obywateli PRL ubiegało się o azyl polityczny w Republice Federalnej. W pierwszej połowie bież. roku było ich 3.911. Azylu nie otrzymują Polacy, którzy po opuszczeniu Polski przez trzy miesiące przebywali w innym kraju zachodnim. Zastrzeżenie — według nowych projektów o prawie azylu — może nastąpić w procedurze wydalenia z RFN osób, które prawa azylu politycznego nie otrzymały, także odnośnie uchodźców z Europy Wschodniej (dotąd chroni ich ustawa z 1966 roku). Eksperti bawarskiej CSU stoją na stanowisku, że Polacy, którzy ubiegali się o azyl w razie dobrowolnego powrotu do ojczyzny nie są więzieni i karani. Wśród tysięcy polskich uchodźców w RFN jest sporo pokątnych handlarzy, przemysłowców i różnych kombinatorów mniejszego i większego kalibru. W działalności polityczną prawie nikt nie chce się angażować. *Związek Polskich Uchodźców* praktycznie przestał istnieć. Ambasada PRL w Kolonii wydaje wizy wjazdowe posiadaczom paszportu konwencyjnego („nie przynoszą nam szkody za granicą, za to przywożą marki”). Trudno się dziwić, że Polacy nie cieszą się dobrą opinią w niemieckich urzędach i mają złą prasę. Z Czechami, Węgrami i Rumunami zupełnie inaczej. *Frankfurter Allgemeine*, na podstawie informacji przekazanych przez bońskie MSW, podaje w obszerniej nocie szereg szczegółowych detali wskazujących na istnienie w Lünen (Westfalia) polskiej organizacji przemycającej z Danii przez „zieloną granicę” obywateli PRL na terytorium Republiki Federalnej. W przyłapanym liście z Lünen: „Zasiłek socjalny i praca na czarno zapewnione”. Od 1980 roku w RFN osiedliło się ok. 100 tys. Polaków. ■ Wschodniemieckie pismo *Die Wahrheit* wyraża się krytycznie o stanie polskiej gospodarki: po wprowadzeniu stanu wojennego władze PRL obudziły wiele nadziei na rychłą poprawę. Rzeczywistość wygląda jednak po dawnemu skromnie: wzrastają ceny żywności, benzyny, gazu i elektryczności, metody produkcji są przestarzałe, stąd niska jakość towarów. W sumie bratnia gazeta maluje obraz przyszłościowej polskiej niegospodarności. ■ Ożywiona działalność prowadzi w Hamburgu *Verein zur Förderung Internationaler Solidarität* (Stowarzyszenie Popierania Międzynarodowej Solidarności), na czele którego stoi Hella Jürgens. Organizacja wysyła paczki do Polski i ČSSR (osobom przesładowanym politycznie lub ich rodzinom), urządza wystawy (np. wystawa fotograficzna z okazji 5-lecia *Solidarności*), przeprowadza różne akcje protestacyjne na rzecz więźniów w krajach Europy Wschodniej i współpracuje z *DVPMP* (Niemieckie Towarzystwo Przeciw Nadużywaniu Psychiatrii dla Celów Politycznych). ■ W Königstein (Hesja) odbył się XXXVI Międzynarodowy Kongres „Kirche in Not” (Kościół w potrzebie). 420 delegatów z 24 państw obradowało pod hasłem: *Kościół i prawa człowieka, solidarność z przesładowanymi*. Prof. Władysław Bartoszewski był jednym z głównych prelegentów (jedyne uczestnik z Polski!). Ceniony w RFN polski historyk i publicysta zarzucił m.in. naiwność tym kręgom na Zachodzie, które z dziecięcą ufnością podchodzą do umów, podpisanych z państwami bloku wschodniego, nie troszcząc się, czy i w jakim stopniu zostają one następnie wcielane

w życie; umowa zawarta w Jałcie inaczej była interpretowana przez Stalina, a zupełnie inaczej przez zachodnich aliantów. Zdaniem mówcy młodzież w Niemczech Zachodnich angażuje się w obronę praw człowieka w Afryce i Azji, zapomina natomiast o Europie Środkowej i Wschodniej. Wielkie dzienniki podkreśliły w obszernych sprawozdaniach, że prelegent z Polski nie podzielał wiary w reformowalność systemu komunistycznego. Radiostacje telewizyjne i radiowe nadały informacje o wystąpieniu prof. Bartoszewskiego w dziennikach wieczornych. ■ We frankfurckim *Suhrkamp Verlag* ukazała się antologia pt. „*Die Federn des weissen Adlers*”. *Polnische Erzählungen aus vierzig Jahren* („Pióra Orła Białego”. *Polskie opowiadania ostatnich 40 lat*). Tłumaczył i wydał — Klaus Staemmler. Słowa uznania dla translatorskiego talentu Staemmlera wyraził Tadeusz Nowakowski w omówieniu antologii, opublikowanym na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. ■ W Schleissheim k/Monachium występowała orkiestra kameralna *Polskiego Radia* pod batutą Agnieszki Duczmal (*Süddeutsche Zeitung*: „Precyzyjnie, z wirtuozerią i bez zarzutu”). ■ Koloński oddział *Malteser Hilfsdienst* (Maltańska Służba Pomocy) wysłał do Krakowa kolejny, 150-ty transport z lekarstwami, odzieżą, obuwiem i specjalnym pieczywem przeznaczonym dla diabetyków (4 tony). *Malteser Hilfsdienst* wysłał następny transport w październiku (datki pieniężne właściwie już nie wpływają, tylko zbiórki używanej odzieży przynoszą zadowalające rezultaty). ■ Uchodźcy stanowią w RFN zaledwie 0,2 % całej ludności kraju. Nie ma więc mowy o jakimś naruszeniu substancji niemieckiej czy znieszczeniu tożsamości kulturalnej przez napływ elementu obcoetnicznego. W 1985 roku zarejestrowano 126 tys. uchodźców, we Francji — 167 tys. Na stu azylantów 70 zjawia się w Berlinie Zachodnim poprzez NRD-owskie lotnisko Schönefeld. ■ W kołach politycznych w Bonn mówi się o projekcie uwiecznienia pamięci niemieckich antyfaszystów. Chodzi o to, by w Krzyżowej (Kreisau) na Śląsku, b. majątku Helmuta Jamesa von Moltke, wmurować odpowiednią tablicę, po doprowadzeniu posiadłości do stanu dawnej świetności. Hrabia von Moltke został stracony w 1945 roku po nieudanym puczu generałów przeciwko Hitlerowi 20 lipca 1944 roku. Władze warszawskie unikają zajęcia stanowiska w tej sprawie. ■ Edmund Osmańczyk zaprotestował przeciwko nadużywaniu znaku *Rodła* przez stowarzyszenie, którego inicjator i ludzie przez niego do prezydium powołani nie wspólnego z walką *Związku Polaków w Niemczech* ani z jego ideologią nie mieli, musi budzić zasadniczy sprzeciw”). Edmund Męclewski, przewodniczący *Stowarzyszenia Wisła-Odra* jest zdania, że „akcja pana Osmańczyka” ma charakter „gorszący i społecznie szkodliwy”. „Ziomkostwo” Męclewskiego jest coraz bardziej krzykliwe w różnych antyniemieckich akcjach. ■ Zbigniew Herbert udzielił wywiadu hamburskiemu tygodnikowi *Die Zeit* (2 strony wielkiego formatu opatrzone zdjęciami poety). Rozmowę przeprowadziła wybijająca się publicystka niemiecka Helga Hirsch (niedawno wydała zbiór esejów Adama Michnika). Herbert sądzi, że ci literaci, którzy powoływali się na własną niewiedzę — dla przykładu zbrodnie okresu stalinowskiego — nie mówili prawdy. Wszyscy Polacy o tych okrucieństwach wiedzieli, a więc twórcy nie mogli się wykręcać brakiem rozeznania w tych najcięższych kartach historii. Frankfurcki *Suhrkamp Verlag* wydał już pięć tomików poezji Zbigniewa Herberta. ■ Alexander Tiplt, niemiecki historyk i działacz związkowy z Rosenheim (Bawaria), odznaczony został przez rząd R.P. w Londynie *Złotym Krzyżem Zasługi*. Dekoracji dokonał Tadeusz Nowakowski, przewodniczący *Polskiej Rady Narodowej w Niemczech*. Zasługi A. Tiplta na polu zbliżenia niemiecko-polskiego przedstawiło dwoje historyków polskich: Nina Kozłowska z monachijskiego *Universytetu im. Maximiliana* i Witold Prońb (RFE). ■ W wydawnictwie *Neue Kritik* ukazała się powieść Hanny Krall *Die Untermieterin* (Sublokatora) w tłumaczeniu Anny Leszczyńskiej.

■ Volker Hassemer, zachodniobierliński senator d/s kultury, mówiąc o ludziach pióra w nowoutwartym *Domu Literatary* powiedział, że zadaniem państwa jest przede wszystkim popieranie i wspomaganie działających twórców: „jednym z nich był zmarły we wrześniu ub. roku w Berlinie Zachodnim, mieszkający nad Szprewą od 1971 roku polski poeta, pisarz i tłumacz literatury niemieckiej, Witold Wirpsza”. Żona Wirpszy, Maria Kurecka, przekazała na ręce senatora Hassemmera literacką spuściznę po mężu, darując archiwum berlińskiej *Akademii Sztuki* listy, rękopisy i inne zachowane dzieła wysoko cenionego w RFN pisarza. ■ Zachodniemiecka TV kablowa (*Offener Kanal*) nadała 30-minutowy program pt. *Polscy pisarze w Berlinie Zachodnim*. Audycja została przygotowana przez emigracyjnych dziennikarzy Ewę Marię Słaską i Grzegorza Ziętkiewicza i nadana została w całości w języku polskim. Również w tym wypadku główną postacią programu był Witold Wirpsza. O roli miasta w życiu Wirpszów opowiadała w filmie sama Maria Kurecka. Berlin Zachodni gościł m.in. Witolda Gombrowicza, Marka Hłaskę, Zbigniewa Herberta, Wiktora Woroszyńskiego i Kazimierza Brandysa. ■ *Fiasco* Stanisława Lema w przekładzie Huberta Schumanna wydała frankfurcka oficyna *S. Fischer-Verlag*. ■ W wydanej w PRL przez *Komitet Grunwaldzki* propagandowej gazetce snuje się rozważania historiozoficzne wokół triady Grunwald 1410 — Tannenberg 1914 — Berlin 1945. Dawid W. w podziemnym piśmie *KOS* na ten temat: „Słowem grozi nam germańska inwazja, a jedyny przed nią ratunek to jedność Słowianiszczyzny. Groteskowe? — Tak. Śmieszne? — Nie wiem. Każdy reżym niedemokratyczny potrzebuje ideologii jako źródła legitymizmu, a komunistyczna dawno już przestała funkcjonować. Stąd tęskne zerkanie w stronę *Stowarzyszenia Grunwald*, które nagle stało się awangardą”. ■ Firma *MEXPOL* w Hilden k/Düsseldorfu z prawnego punktu widzenia jest przedsiębiorstwem zachodniemieckim, zorganizowanym w formie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Kapitał spółki jest jednak całkowicie polski. Prawdziwym trzęsieniem ziemi była trwająca ostatnio w *MEXPOLU* kontrola lokalnych władz skarbowych. Firmie wymierzono „domiar” w wysokości 12 mln marek. Chodziło m.in. o finansowanie kosztów licznych delegacji służbowych z PRL. Niemieccy kontrolerzy wyszli z założenia: skoro *MEXPOL* komuś płaci, to ten ktoś pracuje dla niego i uznali delegatów za „nielegalnie zatrudnionych”. Ubiegłoroczne obroty *MEXPOLU* wyniosły 82 mln marek. ■ Wzrosły opłaty (przebiegnie o 50%) pocztowe w ruchu zagranicznym. Polacy muszą płacić według nowej taryfy za zwykły list do RFN 40 zł (poprzednio 25 zł). Paczka do RFN (do 5 kg) — 1.550 zł (poprzednio 1.065 zł). ■ W ciągu pierwszej połowy bież. roku przesiedliło się do RFN 11.500 obywateli NRD. Jest to blisko dwukrotnie więcej niż w tym samym okresie ub. roku. Poprawił się również ogólny bilans ruchu osobowego NRD-RFN: na krótkotrwałe pobyty w RFN i Berlinie Zachodnim wyjechało w ciągu 5 miesięcy bież. roku 65.000 osób w wieku przedemerytalnym (w ub. roku liczba ta wynosiła 26.000). ■ *Galerie Nawrocki* w Dortmundzie urządziła wernisaż prac malarskich Jacka Wesołowskiego (ur. w 1943 roku w Pruszkowie; studia w Łodzi) i Gregora Woldańskiego (ur. w 1947 roku w Warszawie; studia w tamtejszej *Akademii Sztuk Pięknych*). ■ Zachodniobierlińska *Galerie Poll* wystawiła *collage*, rzeźby i rysunki Tadeusza Kantora. ■ Otwarte zostaną wkrótce konsulaty: sowiecki w Monachium i RFN w Kijowie.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika ukraińska

8 lutego 1986 roku ukazał się „Apel” tajnego Komitetu Centralnego Katolików Ukraińskich, skierowany do rządu ZSSR i przekonywujący o potrzebie przywrócenia praw ukraińskiemu Kościołowi katolickiemu (unicy), który w 1946 roku został przymusowo włączony do Cerkwi prawosławnej. KCKU domaga się także uwolnienia więzionych działaczy unickich i podkreśla, że Kościół ukraiński nie przejawia wrogiego stosunku wobec państwa oraz nie uznaje „szowinistycznego nacjonalizmu bez względu na jego źródło”. „Apel” jest pierwszym od ponad roku przejawem działalności Komitetu założonego na Rusi Zakarpackiej jesienią 1982 roku. Jego pracami kierował Josyp Terelia, skazany w sierpniu 1985 roku na 7 lat łagru i 5 lat zsyłki. Komitet wraz z powstałą 9 września 1982 roku i działającą jawnie Grupą Działania na rzecz obrony praw wierzących i Kościoła ukraińskiego wydawał *Kronikę Kościoła katolickiego na Ukrainie*. Ostatni, dziesiąty numer *Kroniki* ukazał się na początku 1985 roku. Po aresztowaniu i skazaniu w listopadzie 1984 roku przewodniczącego grupy Wasyla Kobryna na 3 lata łagru, w praktyce przerwała ona działalność. Obecnie nadchodzą informacje, że wznowiono wydawanie *Kroniki*. ■ We lwowskim miesięczniku *Zowteń* („Październik”) po raz pierwszy przyznano oficjalnie, że metropolita Josyp Slipyj wysłał w 1944 roku delegację do Moskwy, proponując normalizację stosunków między Kościołem greko-katolickim a państwem. ■ 2 lutego br. zginęła we Lwowie w wypadku samochodowym lekarka Ołena Tymofijiwna Antoniów. Jej pierwszym mężem był znany opozycjonista Władysław Czornowil, a drugim również wybitny działacz ukraiński Zinowij Krasiwskij. W listopadzie 1985 roku O. Antoniów powróciła z mężem z zesłania do Lwowa. Od jesieni 1982 roku była obiektem napaści prasowych za kontaktowanie się z dysponentami Funduszu Solżenicyna, przeznaczanego na pomoc więźniom i ich rodzinom. ■ Na Ukrainie działa obecnie, lub znajduje się w budowie, jeszcze 6 elektrowni atomowych oprócz czernobylskiej. Szkody wywołane jej wybuchem oblicza się na 35 mld dolarów. By oczyścić teren w promieniu 30 km od elektrowni, trzeba zedrzcć warstwę gleby grubości 50 cm, co oznacza konieczność wywiezienia 7-krotnie większej ilości ziemi niż przy budowie kanału panamskiego. Z terenu bezpośredniego zagrożenia ewakuowano ok. 100 tys. ludzi, a z Kijowa 250 tys. dzieci. Obecnie życie w stolicy toczy się normalnie, lecz ze względu na prawdopodobieństwo skażenia Dniepru, wodę doprowadza się specjalnym rurowciągiem z Desny oraz kopie się w mieście studnie o głębokości 160 m. Dotychczas zmarło według oficjalnych danych 27 osób, a 197 jest w stanie ciężkim; wedle szacunków zachodnich, poważnie chorych jest 2-3 tys., w ciągu najbliższych 60 lat umrze na raka 25-39 tys. (przy dawce 3,3 rema), a kłopoty ze zdrowiem wywołane radiacją będzie miało 50 tys. osób. Na północnej Ukrainie kolchoźnicy pracują w hermetycznie zamkniętych kabinach zniwiarok. W wypadku zwiększonej radiacji zboże i ziemniaki mają być przerobione na paszę. Nadchodzą też informacje o niepokojach, które miały miejsce po wybuchu. Kolchoźnicy mieszkający wokół Czernobyla na ścianach bunkrów, do których schroniło się naczalstwo po katastrofie wymalowali hasła: „Mordercy Ojczyzny” i „Budowniczości śmierci”. Doszło też do prób podpalenia tych bunkrów oraz do kilku napać na pojazdy wojskowe. W Kijowie wprowadzono na rogach ulicy posterunki milicji i wojsk MWD, by zapobiec panice i ewentualnym wystąpieniom. Obecnie po mieście krąży duża liczba patroli.

Strefę w promieniu 60 mil od Czernobyla otoczył kordon policyjny, nie zezwalający na opuszczenie jej bez specjalnego zezwolenia. W połowie sierpnia organ estońskiego Komsomołu *Noorte Hüül* (Głos Młodych) doniósł, że pod koniec czerwca doszło do dwutygodniowych niepokojów i strajku wśród estońskich żołnierzy strajkujących przy odkazaniu, gdy przedłożono im służbę z 2 do 6 miesięcy. Sowietci odmówili przyjęcia pomocy od Ukraińców z Ameryki. Kongres Ukraińców Kanady wezwał do zaprzestania zbiorów na rzecz ofiar Czernobyla, gdy okazało się, że przekazanie pomocy bezpośrednio poszkodowanym, poprzez organy rządu kanadyjskiego, jest niemożliwe. Tymczasem prasa sowiecka donosi o zwiększonej wydajności pracy kołchoźników ewakuowanych z Czernobyla, podniesieniu się mleczności krów i ochetnikach, pracujących przy odkazaniu po 24 godziny na dobę. ■ KGB poinformowało rodziny więźniów politycznych, odbywających wyroki w łagrach Permu, że w wypadku przekazywania informacji dotyczących stanu zdrowia ich krewnych, zostaną oni pozbawieni prawa do widzeń. Jednocześnie zakazano więźniom przekazywania rodzinom nazwisk współwięźniów pod groźbą otrzymania kolejnego wyroku. ■ W czerwcu br. odbył się w Kijowie IX Zjazd Związku Pisarzy Ukrainy, na którym Przewodniczący Ofeś Honczar i Sekretarz Związku Pawło Zahrybelnyj wystąpili z krytycznymi uwagami. Honczar, po wygłoszeniu zwyczajowych zakłęd, skarżył się na niskie nakłady literatury ukraińskiej i jej uposledzoną pozycję oraz zaproponował ponowne wprowadzenie do szkół nauki ukraińskiej klasyki. Następnie zaś stwierdził, że mimo, iż niektórym język ukraiński wydaje się być „pozbawiony perspektyw, nie ma żadnych podstaw, by wstydić się tego języka”. Ostrzej wystąpił Zahrybelnyj krytykując zaniechanie używania języka ukraińskiego w przedszkolach, szkołach, na uniwersytetach, w przedsiębiorstwach (cała księgowość i dokumentacja prowadzone są po rosyjsku), w organizacjach młodzieżowych oraz w literaturze naukowej, technicznej i społecznej. Oczywiście nie zaznaczył, iż dzieje się tak na polecenie władz, zgodnie ze słynną „Instrukcją taszkienką”. Zahrybelnyj ujawnił, iż nakłady ukraińskich książek nie osiągają nawet dwu egzemplarzy na jednego Ukraińca. Swoje wystąpienie zakończył słowami: „Mówię o sprawach, które nie zawsze zależą od nas, ale od nas, jako obywateli, zależy otwarte mówienie o oczywistych wypadkach przeliczenia się w budownictwie kulturalnym”. Wystąpienia pozostałych delegatów miały charakter normalny. Do nowego Zarządu wybrano przy ogólnym aplauzie Linę Kostenko, młodą utalentowaną poetkę, która zamilkła kilka lat temu nie potrafiąc już dłużej tworzyć w ramach narzuconych przez cenzurę. ■ W latach 1980-1985 nakłady głównych czasopism ukraińskojęzycznych spadły o 30 %, tj. o około 2 mln egzemplarzy. ■ 22 grudnia 1985 roku w Ustrzykach Dolnych wiernym obrządku grekokatolickiego przekazano kościół unicki, który po wojnie został zamieniony przez władze na stację traktorów. Trwają starania o oddanie wiernym budynku kościelnego w sąsiedniej wsi Sianki. ■ Szkolnictwo ukraińskie w Polsce obejmuje jedynie szkołę podstawową w Białym Borze oraz dwa licea ogólnokształcące (w Legnicy i Gurowie Hawskim) i Zakład Ukrainistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Liceum legnickie opuszcza corocznie 30 absolwentów. Skarżą się oni w emigracyjnej prasie ukraińskiej na złe traktowanie przez polskich rówieśników oraz zbyt wielką liczbę Polaków przyjmowanych na studia ukraińskie. Nowa fala emigracji ukraińskiej, osiedlającej się głównie w Kanadzie, pochodzi właśnie z Polski. Jej stosunek do Polaków jest na ogół negatywny. ■ Młodzi Ukraińcy w Polsce organizują coroczne letnie obozy wędrowne po Łemkowszczyźnie. Trwają one dwa tygodnie i mają na celu zapoznanie uczestników z historią rodzinnych stron. ■ Pod koniec grudnia 1985 roku powstała w Lublinie polsko-ukraińska Grupa Pojednania. Jak pisze *Solidarność Nauczycielska* (1 maja 1986), członkowie Grupy „stoją na stanowisku całkowitego wyrzeczenia się sporów terytorialnych między naszymi narodami i akceptacji istniejących obecnie

między nimi granic politycznych”. W „Apelu” Grupy czytamy: „... tylko wspólne działanie naszych narodów może doprowadzić do upadku zienawidzonego moskiewskiego bolszewizmu, do wywalenia niepodległej i niezawisłej Ukrainy, Białorusi, Litwy i Polski oraz innych państw Europy Wschodniej i Środkowej”. ■ W Warszawie ukazał się pierwszy numer pozacenzuralnego pisma *Dialog* (objętość 35 stron) poświęconego sprawom ukraińskim i problemom współpracy polsko-ukraińskiej. ■ Do zaostreżenia stosunków ukraińsko-żydowskich przyczyniło się zniszczenie w Jerozolimie pomnika ofiar głodu na Ukrainie oraz odmowa nadania metropolie Szeptyckiemu tytułu „sprawiedliwego” za jego wystąpienia w obronie ludności żydowskiej w okresie okupacji hitlerowskiej, a zwłaszcza obecne polowania na ukraińskich „przestępców wojennych” osiadłych w USA, Kanadzie i Australii. Strona ukraińska podkreśla, iż nie ma nic przeciwko ściganiu zbrodniarzy odpowiedzialnych za mordowanie ludności żydowskiej lecz sprzeciwia się używaniu w śledztwie „dokumentów” dostarczonych przez KGB i domaga się ścigania byłych członków policji żydowskiej współpracującej z Niemcami przy likwidacji gett oraz osób odpowiedzialnych za zbrodnie stalinowskie. Mimo nacisku Kanadyjskiego Kongresu Żydowskiego rząd postanowił zamknąć 30 września br. prace komisji śledczej, którą kieruje senator Deschênes, większość członków komisji ustosunkowała się negatywnie do zaproszenia ZSSR, celem dokonania przesłuchania świadków na miejscu, ponieważ strona sowiecka — utrzymująca, iż dysponuje dowodami przeciwko 15 osobom zamieszkałym w Kanadzie — odmówiła zadośćuczynienia wymogom procedury śledczej stosowanej na Zachodzie. Najgłośniejszą sprawą było deportowanie do Izraela (27 lutego 1986) staraniem Office of Special Investigation przy Departamencie Sprawiedliwości Iwana Demianiuka, byłego obywatela USA, którego oskarżono o to, iż był znanym z okrucieństwa strażnikiem w Treblince, zwanym Iwanem Groźnym. Demianiuk utrzymuje, że jest niewinny, a zachowane świadectwa żydowskie potwierdzają na razie tę wersję. Demianiuk znajduje się w areszcie tymczasowym bez oficjalnego oskarżenia. Na jego obronę emigracja ukraińska zebrała już 100 tys. dolarów. Wcześniej staraniem tegoż OSI deportowano do Związku Sowieckiego Fedora Fedorenko, którego skazano w Symferopolu na karę śmierci. KGB przekazało OSI około 150 tezek osobowych z dokumentacją przygotowaną w ZSSR. Wielkie oburzenie wśród Ukraińców wywołała seria artykułów Joe Conasona w modnym tygodniku nowojorskim *The Village Voice*, w których oskarżono M. Łebedia, faktycznego kierownika OUN(b) w latach 1941-1945, o kolaborację z Niemcami i popełnienie przestępstw wojennych: mordowanie Żydów, Polaków, Ukraińców oraz obwiniono oficerów Dywizji Waffen SS Hałyczyna, obecnie zamieszkałych w Kanadzie, o znęcanie się nad ludnością żydowską. Fakt opierania się przez niektóre organizacje żydowskie na dokumentacji KGB pociąga za sobą ukraińskie oskarżenia o współpracę sowiecko-żydowską. ■ 5 lipca br. zmarł w Monachium Jarosław Stečko urodzony w 1912 roku w Tarnopolu. Zmarły należał do UW, a następnie do OUN, od 1932 roku pełnił funkcję referenta ideologicznego Krajowej Egzekutywy OUN; aresztowany w 1934 roku i zwolniony w 1937 roku udał się na emigrację, gdzie z polecenia płk. J. Konowalca prowadził prace przygotowawcze do II Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów. J. Stečko był jednym z najbliższych współpracowników Stepana Bandery. W 1940 roku został zastępcą Przewodniczącego Prowodu rewolucyjnej OUN. Był współinicjatorem Aktu z 30 czerwca 1941 roku ogłaszającego niepodległość Ukrainy, i premierem utworzonego wówczas we Lwowie rządu ukraińskiego. Wywieziony 11 lipca do Berlina, następnie osadzony w obozie w Sachsenhausen, gdzie przebywał do jesieni 1944 roku. Od 1945 roku J. Stečko był członkiem Biura Prowodu OUN(b), a od 1964 Prowidykiem OUN(b); od 1946 roku piastował stanowisko Przewodniczącego Antybolszewickiego Bloku Narodów — rodzaju międzynarodowej nacjonalistycznej; był także członkiem Prezydium Światowej Ligi Antykomunistycznej;

tecznej — WACL i Europejskiej Rady Wolności. ■ Rozbicie emigracji ukraińskiej na zwolenników OUN(b) i pozostałych organizacji politycznych pogłębia się. Po opanowaniu przez OUN(b) Ukraińskiego Komitetu Kongresowego Ameryki, przedstawiciele pozostałych organizacji wycofali się z niego, natomiast banderowcy gdy znaleźli się w mniejszości zawiesili obecnie swój udział w pracach Światowego Kongresu Wolnych Ukraińców, co grozi rozwiązaniem SKWU. Banderowcom zarzuca się brak ewolucji od 1930 roku i dążenie do podporządkowania sobie wszystkich przejawów emigracyjnego życia. OUN(b) oskarża zaś swych przeciwników o brak dyscypliny, tendencje anarchiczne i pomaganie wrogom w rozbijaniu ukraińskiej emigracji. Prezydium Sekretariatu SKWU wystosowało apel o zbieranie funduszy na realizację filmu pt.: „Ukraina w drugiej wojnie światowej”, wedle projektu Komisji Badania Głodu na Ukrainie. Wyprodukowany w 1984 roku pod jej kierownictwem film „Żniwa śmierci”, który przedstawia historię wielkiego głodu, zdobył kilka nagród międzynarodowych. ■ Organ OUN(b) *Szlach Peremohy* (Droga Zwycięstwa) ogłosił, „że kiedy... niektórzy Polacy, a nawet (sic!) polskie czasopismo *Kultura*, przekonali się, że sama Polska nie utrzyma się między wielkimi mocarstwami — zaczęli.. pisać i delikatnie przyznawać się, że także oni zawinili, że między Ukraińcami i Polakami nie ma porozumienia” (24 sierpnia 1986). ■ W maju br. Konferencja Ukraińskich Partii i Organizacji Politycznych — KUPPO, skupiająca nie-banderowską emigrację, ustosunkowała się pozytywnie do Apelu polskich organizacji podziemnych proponujących uznanie obecnej granicy wschodniej. Nieco wcześniej odpowiedziało na Apel, również pozytywnie, Zagraniczne Przedstawicielstwo Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej — UHWR. ■ 9 maja 1986 roku w Toronto odbyło się polsko-ukraińskie spotkanie dyskusyjne (80 % przybyłych stanowili Ukraińcy) z udziałem prof. P. Potiecznego i Z. Przetakiewicza. Ze względu na duże zainteresowanie postanowiono kontynuować w przyszłości ten rodzaj współpracy.

Józef DARSKI

Nowość

Nowość

Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie

wydało t. II

Prac Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie — Londyn 1985:

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA KRAJOWE

(pod red. prof. dr Jana Drewnowskiego)

Zbiór 19 przyczynków do wszechstronnej analizy położenia współczesnej Polski pod władzą komunistyczną. Stanowi on niezbędne źródło informacji o Kraju dla każdego Polaka.

Cena £6.90 + 50p porto

Do nabycia:

Polska Fundacja Kulturalna (skład główny)

23 Coleridge St., Hove, Sussex BN3 5AB

oraz we wszystkich księgarniach polskich

16/1

Kronika kulturalna

Sztuka nie umiera

(NIEZALEŻNY RUCH PLASTYKÓW)

Pomysł narodził się zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego, podczas spotkań towarzyskich, kiedy wszelkie, nawet najdrobniejsze formy życia kulturalnego zostały zduszone żołądkiem butem. Pierwsza wystawa zorganizowana została dosyć przypadkowo, wtedy jeszcze nikt nie sądził, że ten nieschematyczny pomysł przetrzeźwi się z czasem w regułę. Nie zrobiono z niej nawet żadnej dokumentacji. Teraz każda z nich jest szeroko dokumentowana na fotografiach, a nawet na taśmie filmowej. Na sicie drukuje się ulotki i mini-katalogi, rozdając je podczas wernisażu, pęczniej książki, wpisów, pomysłów jest coraz więcej. Do dyspozycji zwiedzających jest na ogół przygotowane całe dossier danego autora, z katalogami wszystkich jego dotychczasowych wystaw, co jest istotne dla kogoś, kto styka się z danym plastykiem po raz pierwszy. Ambicją organizatorów jest to by każda wystawa zarejestrowana była na video. Jest to tym bardziej konieczne, że taki wernisaż nie ogranicza się tylko do obwieszenia ścian obrazami i grafikami — towarzyszy im często muzyka oraz różnorodne formy działań plastycznych (*performance, happening* i inne).

Wystawy odbywają się w prywatnych mieszkaniach. Nie są powtarzane nigdzie indziej, ani w galeriach państwowych czy komercyjnych, ani w kościołach. To co zrodzone zostało z konieczności, z niemożności wystawiania gdziekolwiek (tak było na początku stanu wojennego), stało się z czasem dobrą tradycją w środowisku, trwają instytucją niezależnej kultury, tworzonej poza oficjalnym mecenatem jednej i drugiej strony, państwa i Kościoła.

Korzenie tej inicjatywy osadzone są w spontanicznym, czysto społecznym ruchu sprzeciwu wobec „nocy generałów”. Na jej powstanie złożyła się nie tylko zwykła konieczność zaistnienia (z braku innych możliwości wystawiania), ale również określony wybór polityczny. „Polityczność” traktowana jest przy tym nie-dogmatycznie. Już sam fakt, że wystawia się obrazy w ten spo-

sób, że odstępuje się od utartego schematu, ma polityczne znaczenie: rozrywa zamknięty i skanalizowany system obiegu wartości, urozmaica formy życia kulturalnego.

Przy organizowaniu wystaw nie stosuje się żadnych ograniczeń tematycznych i formalnych. Wiele dzieł mogłoby przejść państwową cenzurę, ale też — z drugiej strony — taka forma społecznego mecenatu pozwala innym wypowiedzieć się poza nią w sposób nieskrępowany i pełny, pozwala plastynom robić to, na co mają ochotę i co ich naprawdę interesuje. Ten rodzaj niezależnego mecenatu odpowiada więc na nowe poszukiwania tematyczne i formalne dużej części środowiska plastycznego, którego świadomość została głęboko przeorana przez wypadki ostatnich lat. Nawet okres posierpniowy nie zaktywizował politycznie tego środowiska tak, jak wprowadzenie stanu wojennego. Plastycy dopiero wtedy zaczęli interesować się nowymi tematami, przezwyciężać w sobie wewnętrzną cenzurę, sięgać do form bardziej realistycznych, zdolnych wyrazić polityczny temat. Spontaniczny bojkot państwowych galerii, później rozwinięty w ruch prywatnego wystawiennictwa, pozwolił uniknąć plastynom instrumentalnego traktowania sztuki przez zinstytucjonalizowany mecenat.

Organizacja prywatnych wernisaży wymierzona jest w mecenat państwa, ale nie Kościoła. Choć istnieją pewne ograniczenia i z tej strony. Doceniając w pełni wysiłki Kościoła w dziedzinie mecenatu plastycznego (który, *nota bene*, rozszerza się ostatnio poza Warszawę i Kraków), powiedzieć trzeba, że nie dysponuje on możliwościami, które pozwoliłyby na wystawianie wszystkim, którzy tego chcą. Inną istotną jego barierą — tym razem merytoryczną — jest fakt, że Kościół zainteresowany jest malarstwem w sposób jednostronny, woli tematy religijne.

W prywatnych mieszkaniach wystawia kto chce i co chce (jedynym ograniczeniem to rozmiary tych niezwykle „sal wystawowych”, które nie mogą pomieścić dzieł monumentalnych). Wystawy te są manifestacją określonej stylistyki eksponowania dzieła sztuki — niebarokowej, ascetycznej, mało ozdobnej, bez pompy i sztucznej celebracji. Taki sposób ekspozycji wydobywa do maksimum dzieło sztuki, przede wszystkim dlatego, że sam autor eksponuje własny produkt (tak samo jak korzystniejsze jest, kiedy kompozytor prowadzi orkiestrę wykonującą jego utwór). Znika dystans, jaki dzieli dzieło od odbiorcy na wystawie profesjonalnej; tu, w domu, jest on „pod ręką”, obecny wśród zwiedzających. Można z nim się pospierać, wyrazić swoją opinię, zapytać o dalsze plany — odbiór dzieła sztuki jest wtedy pełniejszy i głębszy. Jest to zupełnie inny, skuteczniejszy i twórczy model edukacji plastycznej, gdzie przełamuje się milczenie i bierność, jakie towarzyszą oglądaniu wystaw w galeriach zawodowych.

Istotne jest też to, że wystawy organizują sami plastycy. Pozwala to na honorowanie środowiskowej hierarchii bez dodatkowych, ubocznych kryteriów zewnętrznych, na nieskrępowane eksponowanie osobowości artysty. Pozwala wreszcie na ominięcie

sztucznych podziałów między poszczególnymi dyscyplinami sztuki, podziałów, które narzucają krytycy.

Najwięcej wystaw odbyło się na przełomie 1983 i 1984 roku. Z dwóch powodów: wtedy jeszcze nie wystawiano w kościołach, a teki malarzy pęczniały pracami nigdzie dotąd nie pokazywanymi. Na przełomie tych dwóch lat przez zaledwie dwa miesiące zorganizowano około 20 wystaw. Miały one liczniejszą publiczność niż wystawy oficjalne, które spontanicznie bojkotowano. Frekwencja spadła nieznacznie dopiero kiedy zaczęto wystawiać w kościołach, czyli gdzieś w połowie 1984 roku (wtedy odbyła się pierwsza wystawa plastyków w kościele na Żytnej). 7 i 8 stycznia 1984 roku odbyła się np. wystawa grupy plastyków zamieszkałych w warszawskim Ursynowie (wystawiali: Piotr Bogusławski, Włodzimierz Dawidowicz, Paweł Lasik, Franciszek Maśluszczak i Jan Rylke, który ją organizował). Z książkowych wpisów zwiedzających wybieram głosy, które mówią same za siebie: „Wystawa niesamowita. Zaskakująca tematyka — tego nigdzie nie zobaczę — tylko tutaj. Jako pracownik galerii — wolałbym pracować tutaj. Prawdziwa uczta dla ducha — takie uczty są najważniejsze”; „Jest źle, a kiedy oglądam tę wystawę — wiem, że jest dobrze. Malujcie tak, pokazujcie tak — w pracowniach, w remizach, na dworcach, w hangarach, wszędzie — bez łaski i... (wyrz nieczytelny — J.P.) tego zakichanego 'mecenasa'. Niech będą sami, a my razem”; „Sztuka nie umiera”; „Listę obecności w tej oazie na pustyni podpisuję...”; „Sława i chwała Jankowi i Hani za trud w zorganizowaniu tak interesującej i potrzebnej wystawy, która robi bardzo duże wrażenie przede wszystkim dlatego, że ma charakter kameralny i pozwala ludziom na bezpośrednio obcowanie z dziełami sztuki i na bezpośrednią wymianę wrażeń z licznym gronem gości. Atmosfera na tej wystawie świadczy o potrzebie i celowości organizowania tego typu wystaw, które są żywe w porównaniu z 'martwymi' wystawami w galeriach oficjalnych”; „Dzięki wam nie muszę zmieniać zawodu. Dziękuję”; „Wystawę ogląda się bardzo dobrze, dużo lepiej niż 'przedwojenne' wystawy w galeriach. Kontakt z obrazami dużo bliższy. Mimo trudu, jakiego wystawa w pracowni wymaga od gospodarzy — prosimy o organizowanie następnych”.

Następne były. W listopadzie ubiegłego roku, w rocznicę odzyskania niepodległości, zorganizowano wystawę ogólnopolską, w której wzięli udział Janusz Ducky, Marek Konieczny i Jan Rylke z Warszawy oraz Maciej Łubowski z Poznania i Maciej Plewiński z Krakowa. Poza wymienionymi już artystami w prywatnych galeriach wystawiali lub będą wystawiać: fotografik Erazm Ciołek, malarze Jan Dobkowski, Antoni Fałat, Andrzej Bienkowski, Witold Masznicz, Waldemar Petryk (który prowadzi własną galerię „Kalipso”), grafik Fredo Ojda czy Grzegorz Doktor, który pokazuje Taj czy czuan, czyli chińską medytację w ruchu.

To zresztą nie wszystkie nazwiska. Ocenia się, że dotychczas odbyło się kilkadziesiąt takich wystaw, trwających 1-2 dni. Jedną wystawę zwiedza przeciętnie kilkaset osób. Są wśród nich przede wszystkim znajomi, krytycy sztuki, młodzież szkolna (znane są

przypadki przeprowadzenia przez nauczyciela całych klas) i studenci. Przychodzą też ludzie, którzy nigdy nie byli i nie będą w galerii, np. sąsiedzi, przypadkowi znajomi i... ubecy. Wiadomo też, że tego typu wystawy odbywają się w innych większych miastach, np. w Gdańsku i Wrocławiu.

Organizatorzy tych wystaw sami pokrywają koszty. Wspólna herbatka jest okazją do żywej dyskusji, formułowania na gorąco ocen, wysuwania nowych pomysłów. Przypadkowy na początku i spontaniczny ruch niezależnej plastyki okrzepł już teraz, stał się sprawniejszy organizacyjnie w dobrym tego słowa znaczeniu: bez formalnego zrzeszania się, bez sekretarek, rachunków, kosztorysów, pieczętek; wszystko odbywa się na zasadzie pozainstytucjonalnej integracji środowiska, odbudowywania społecznych więzi.

Jan PODLASKI

Dziedzictwo W.X. Litewskiego w literaturze emigracyjnej

„Bo mojej ojczyzny nie ma
Bo mojej ojczyzny nic i nikt nie wskrzesi”.

Barbara Toporska, „Wrażenia z podróży do ojczyzny”.

I

Tereny byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego wydały na emigracji ogromne pokłosie literackie: składają się na nie historia, dokumenty historyczne, pamiętniki, publicystyka polityczna, teksty krajoznawcze, beletrystyka, poezja. Same rozmiary bibliografii druków historycznych i pamiętnikarskich, nie mówiąc o pozycjach czasopiśmiennych, oraz odmienne problemy metodologiczne w opisie, analizie i ocenie literatury faktu i literatury pięknej sprawiają, że w tym wstępnym, próbnym, konspektywnym ujęciu tematu ograniczyć się do tej ostatniej. Choć siłą rzeczy tu i ówdzie będą musiała przekroczyć umowną linię demarkacyjną i zajrzeć na tamtą stronę parkanu geograficznego i gatunkowego. Nasuwają się także trudności terminologiczne: mówiąc o pisarzach urodzonych na Litwie i na Białorusi — na Żmudzi, na Wileńszczyźnie, Mińszczyźnie i Nowogródzynie — będą używała

przymiotnika „litewski” — w sensie oczywiście historycznym (tj. dotyczącym mieszkańców terenów niegdyś należących do Wielkiego Xięstwa Litewskiego), a nie współczesno-etnicznym. Jednocześnie jestem świadoma, że termin historyczny i urzędowy nie oddaje sprawiedliwości m.in. wkładowi kultury białoruskiej, ale nie chcąc przeładować tekstu ciężką terminologią, pozostanę przy skrótach: Litwa, Litwin, litewski.

II

Z Litwą bowiem kojarzy się jeden z głównych mitów tkwiących w polskiej świadomości i podświadomości zbiorowej. Litwa — zwłaszcza w wydaniu soplicowskim — to może najślynniejszy *locus amoenus* w literaturze polskiej, kraina ziemskich rozkoszy. Za sprawą Mickiewicza jest tak przesycona poezją, że często trudno rozdzielić legendę i rzeczywistość. Jednocześnie jest to kraj pogaństwa i przynajmniej czterech wyznań religijnych, kraj wajdelotów, znachorów i guślarzy, kraj proroków i mistyków, mesjanistów, duchów, a także męczenników. Tam znajdują się święte miasta polskie, gdzie urodzili się poeci uchodzący za wieszczów, królowie-duchy państwa istniejącego poza czasem. Na jej obszarze rozgrywa się podwójna idylla sieliskości i metafizyki, męczeństwa i narodowego ładu domowego.

Wymienione kategorie tak się zresztą przeplatają, że można mówić o metafizyce ziemi i krajobrazu i o udomowieniu męki narodowej. Na płaszczynie jednostki i społeczności, ludność kresowa była, a może nadal jest, obdarzona pamięcią trwalszą niż gdzie indziej. Przeszłość historyczna była wciąż namacalnie obecna, nauka kościelna bardziej obowiązująca, a przywiązanie narodowe — bez przerwy wystawiane na próbę przez koleje dziejów — przeradzało się w pewien rodzaj patriotyzmu absolutnego. Niech tu na razie wystarczą słowa Stanisława Cata-Mackiewicza, że szlachta zaściankowa „kochała Polskę tak, jak jej nikt chyba nie kocha”.

III

Jak już wspomniałam, dorobek kresów północno-wschodnich cechuje wielka rozpiętość gatunkowa. Skoro cała tradycja tzw. kresowa wywodzi się z „Pana Tadeusza”, nic dziwnego, że podziały gatunkowe zacierają się. W „Dolinie Issy” Miłosza fikcja nosząca wszelkie znamiona czystej poezji stwarza świat realniejszy w smaku i barwach od rzeczywistego. A nieraz utwór publicystyczny nosi piętno najwyższego tragizmu lirycznego: mam tu

na myśli wstrząsający szkic Józefa Mackiewicza pt. „Ponary — 'Baza'” o wymordowaniu Żydów przez Niemców pod Wilnem. Za czasów Wielkiej Emigracji pamięć o przeszłości uratowała poezja. Merytorycznie rzecz biorąc, po drugiej wojnie światowej ziemie wschodnie Rzeczypospolitej zawdzięczają swoje ocalenie głównie, jeśli nie wyłącznie, prozie.

IV

Z punktu widzenia historycznego i chronologicznego na pierwsze miejsce w utrwalaniu losu kresów zasłużyła jednak poezja. Składa się na to kilka przyczyn. Wojna była przede wszystkim doświadczeniem lirycznym. W czterech antologiach poezji żołnierskiej wydanych przez Jana Bielatowicza w Palestynie i w Rzymie (1944, b.r., 1945, 1946) znajdujemy sporadyczne aluzje do akcji wojennej na kresach i inne reminiscencje literackie. Wyłaniają się także kresowe motywy typowo „liryczne”, nastrojowe, mogące jednak służyć za punkt wyjścia twórczości prozaicznej. W „Modlitwie o powrót” Wiktor Trościanko wyraża całą swoją tęsknotę, w „Wilnu mojemu” Ludwika Biesiadowska doznaje poczucia nieprzerwanego bytowania tam, w Wilnie, mimo odległości. Wyłania się także kilka podstawowych sytuacji, charakterystycznych dla późniejszej powieści: w „Spotkaniu z bratem”, „Wileńskich poetach”, „Teatrze na Pohulance” itp. Jerzy Bazarewski kreśli skromne realistyczne wileńskie zdjęcia krajobrazowe. Natomiast Józef Bujnowski rysuje załączkowe, pełne dramatyzmu scenki-migawki z czasów okupacji Wilna, które by się świetnie nadawały do rozwinięcia epickiego.

Poezja żołnierska miała swoje specyficzne zadanie. Była według słów Mariana Hemara „ostatnią linią polskiej obrony”.

V

W tych pierwszych latach wojennych i powojennych właśnie liryka Skamandrytów powstawała pod znakiem arcyepoematu Mickiewicza, spełniała funkcję utrwalenia minionego czasu. Model pamięciowy zaczerpnięty z „Pana Tadeusza” karmi natchnienie pokolenia, które i tak umiało go na wylot. Na ogół w poezji skamandryckiej tego okresu wschodnie rubieże Polski są pokazywane syntetycznie. Poeci podówczas związani z *Wiadomościami Literackimi* zmierzają w kierunku syntezy narodowej. Daje tego przykład m.in. Kazimierz Wierzyński, skądinąd wrażliwy na utajony liryzm krajobrazu litewskiego, żeby wymienić chociażby

jego „Pamiętnik miłości” (1925) i „Litwę jesienną” w przedwojennym zbiorze pt. „Rozmowa z puszcza” (1929). Nawet Stanisław Baliński, poeta, który tradycją liryczną tkwi w ziemi nowogródzkiej, chętnie wyraża i wspomina Warszawę przedwojenną. Jak przeszło, jego poemat pt. „Poranek warszawski” łączy dalekie, dla koroniarza egzotyczne pogranicze wschodnie z centralną Polską.

Balińskiemu zresztą udało się najtrafniej określić stan duchowy i sytuację psychiczną, nawet warsztatową, najbardziej typową dla pisarzy pochodzących z kresów północno-wschodnich. Na początku swojej kariery poetyckiej w „Elegii o ziemi rodzinnej” (w zb. „Wieczór na Wschodzie”, 1928) dał wyraz antynomii, charakterystycznej dla niemal wszystkich przedstawicieli „szkoły litewskiej” — zarówno na emigracji, jak w kraju.

*Nie umiem kochać tej ziemi
Bez której umarłbym z żalu.*

Wyraża tym i nudę, i chęć opuszczenia stron rodzinnych dla poznania świata, a jednocześnie rozdarcie, gdyż w wierszu już emigranckim wskazuje na początek tradycji i jej dalszy rozwój.

*Mickiewicz nam tę ziemię odkrył. Potem rzucił.
Ale nie mógł żyć bez niej i z powrotem wrócił,
I na zawsze tam został... Zbyt ciężka rozłąka.
I teraz po jej ścieżkach nocami się błąka
Wśród księżycowych sosen...*

(„O ziemi nowogródzkiej” w zb. „Tamten brzeg nocy”, Londyn 1943).

A więc leitmotyw wiecznego powrotu, tak charakterystyczny również dla powieści Tadeusza Konwickiego — powrotu do ziemi zamieszkaanej na równych prawach przez żywych i umarłych. Tak to ujmuje poeta minor Ryszard Kiersnowski w wierszu pt. „Zjazd w Nowogródzku” (w zb. o tym samym tytule, Glasgow 1944), w którym wołanie o zemstę nawiązuje do „Dziadów” mickiewiczowskich, a cienie ludzkie na tle krajobrazu jak gdyby zapowiadają postacie na pograniczu niebytu, znane czytelnikom Tadeusza Konwickiego i Zbigniewa Żakiewicza.

VI

Tymczasem na łamach *Wiadomości Polskich* Kazimierz Wierzyński niejednokrotnie narzekał na szczupłość dokonań emigra-

cyjnych prozaików. Co prawda już latem '40-go roku powstał projekt utrwalenia „kraju lat dziecińczych” prozą. Co więcej, w przedmowie do książki zbiorowej noszącej ten tytuł redaktor Mieczysław Grydzewski obiecywał, „że polskość tej książki ciąży wciąż nieco silniej w kierunku Dniepru, niż w kierunku Odry”. Na dobrą sprawę z dziewiętnastu tekstów zawartych w tym tomie tylko osiem da się ściślej związać z kresami, a z tych tylko parę poświęcono kresom „litewskim”. Mowa o świetnym szkicu Kazimiery Iłakowiczówny „Wspomnienie z Inflant” i o wspomnieniu Stanisława Cata-Mackiewicza pt. „Smaczne i futrzane”.

W omówieniu powieści „litewskiej” na emigracji ograniczę się do jej głównych przedstawicieli: Sergiusza Piaseckiego, Floriana Czarnyszewicza, Józefa Mackiewicza i Czesława Miłosza, pomijając na razie twórczość Zofii Bohdanowiczowej, Michała K. Pawlikowskiego, Wiktora Trościanki. Wymieniona czwórka nasuwa zresztą kolejny problem terminologiczny: rozrzućeni pomiędzy Argentyną i Francją, Niemcami i Anglią, pisarze o których będzie zaraz mowa należą do przedwojennej emigracji zarobkowej (Czarnyszewicz), wojennej i wojskowo-politycznej (Mackiewicz i Piasecki, obaj znający z autopsji wszystkie okupacje na Wileńszczyźnie), wreszcie polityczno-ideowej (Miłosz). W stosunku do autorów-kresowiaków termin emigrant-wygnaniec i tak jest względny, gdyż dotyczy również autorów „stamtąd”, jak Konwicki i Żakiewicz, którzy po wojnie wylądowali na bruku warszawskim i opolskim.

Tak jak w prototypie mickiewiczowskim słowo „emigracja” ma podwójne oblicze: wygnanie z pierwotnej ojczyzny i ponowne wyłączenie się z nowego środowiska poprzez wędrówkę wyobraźniową i powrót do praźródła.

VII

Już w roku 1942 — a więc w tym samym roku co „Kraj lat dziecińczych” Grydzewskiego — wyszedł w Argentynie pierwszy epos litewski, „Nadberezyńcy” Floriana Czarnyszewicza. Ta data może więc służyć jako *terminus a quo*, jako otwarcie dla naszych rozważań. „Litewski” dorobek powieściowy rozciąga się na ćwierć wieku (ściślej: 27 lat), kończy się bowiem w 1969 roku powieścią Józefa Mackiewicza „Nie trzeba głośno mówić”. Poza pierwszą trylogią Sergiusza Piaseckiego ta twórczość skupia się jednak w kilkunastu latach. W 1953 wychodzi „Wicik Żywica” Czarnyszewicza, w 1955 „Dolina Issy” Miłosza oraz „Droga donikąd” i „Karierowicz” Mackiewicza; w 1957 „Kontra” Mackiewicza, trochę zaś później „Losy pasierbów” Czarnyszewicza. W 1962 ukazuje się „Sprawa pułkownika Miasojedowa” Mackie-

wicza, w rok później „Chłopcy z Nowoszyszek” Czarnyszewicza. W 1964, roku śmierci Piaseckiego, wychodzą dwa tomy jego ostatniej niedokończonych trylogii, „Człowiek przemieniony w wilka” i „Dla honoru organizacji”; w 1965 zaś „Lewa wolna” Mackiewicza.

Ta chronologia wskazuje na pewną rytmikę wewnętrzną: na intensywną, nieprzerwaną wydajność Mackiewicza, na regularne ale długie odstępy czasowe w produkcji Czarnyszewicza, na gwałtowne zaowocowanie — a może po prostu na poparcie wydawców — u Piaseckiego.

VIII

Cały cykl był więc na ukończeniu, kiedy w dwadzieścia kilka lat po skardze Wierzyńskiego w wielkiej dwutomowej „Literaturze polskiej na obczyźnie” po redakcją Tymona Terleckiego (Tom I i II, Londyn 1964, 1965) żalono się na brak zarówno na emigracji jak i w Kraju „wielkiej, monumentalnej powieści”. W tej samej publikacji uznano jednak „powieściopisarzy Litwinów” za niejako odrębną grupę, gdzie indziej znowu dostrzeżono ich pewne wspólne cechy, podobne problemy narodowościowe i polityczne oraz biegiłość w opisach krajobrazów.

Rzeczywiście wybrane utwory zdradzają podobne dążności. Nawet kiedy autorzy tkwią w narracji tradycyjnej, nawet kiedy nie uciekają się do autentycznych źródeł, określona doza weryzmu pozwala uznać dzieła „Litwinów” za swoiste dokumenty. Jeśli je ująć globalnie, obojętne czy się skupiają na sprawach obyczajowych, etnograficznych, historycznych czy politycznych, stwarzają jedną Wielką Księgę, uzupełniają się nawzajem. Jako zapis doświadczeń korzystają maksymalnie z możliwości przedstawienia nieokrojonej historii. Ci pisarze wywodzący się z prowincji, malując swoje małe miasteczka, las, ledwo zarysowane drogi, leniwe bagniste rzeki, rejestrują jak chyba nikt przedtem kolejne straty obszarów wschodnich.

IX

Historycznie ich dzieła obejmują okres sprzed pierwszej wojny światowej („Miasojedow”, „Nadberezyńcy”), pierwszą wojnę światową (słabe echa na miłoszowskiej Żmudzi, za to pełny obraz okupacji Mińszczyzny w 1918-1919 u Piaseckiego i w „Nadberezyńcach”), wojnę bolszewicką (u Piaseckiego i w „Lewej wolnej”), wreszcie kolejne okupacje Wileńszczyzny w czasie drugiej wojny światowej (w „Drodze donikąd”, „Nie trzeba głośno mówić”, a także w niedokończonych trylogii Piaseckiego). Mackiewicz zaś jest kronikarzem nie tylko historii nieokrojonej, ale historii

kontrowersyjnej, wnosi świeże spojrzenie na mniej znane i mniej popularne jej strony.

W odróżnieniu od „Litwinów” krajowych, Konwickiego i Żakiewicza, „Litwini” na Zachodzie — Czarnyszewicz, Piasecki, Mackiewicz i Miłosz — są jak gdyby obdarzeni pamięcią totalną, mickiewiczowską. Odtwarzają świat integralny zarówno z pamięci, jak i z dokumentów, można by powiedzieć: z pamięci dokumentarnej. Wit Tarnawski pisze o nieomyślnej pamięci emigranta z Huculszczyzny, Stanisława Vincenza, Miłosz o nieomyślnym instynkcie Czarnyszewicza, a Jerzy Stempowski o pewności, z jaką ten ostatni sięga w gęstwinę faktów nagromadzonych w pamięci. Miłosz wreszcie, jak to wynika z rozmowy z Ewą Czarnecką („Podróżny świata — Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze”, New York 1983, str. 112) uważa Mackiewicza za najwyższy autorytet w ścisłym, drobiazgowym obserwowaniu i przekazywaniu realiów. Trzeba przy tym uwzględnić fakt, że główne narracje Mackiewicza powstają w oparciu o materiały źródłowe i opracowania naukowe.

X

U Piaseckiego, Czarnyszewicza, Mackiewicza narrator nie wraca, ale tkwi w otoczeniu, w środowisku, w krajobrazie przez siebie przedstawionym. Pod tym kątem na ogół niewiele odchyła się od dziewiętnastowiecznego wzorca wszechwiedzącego narratora. Panuje więc u tych pisarzy czas linearny — czas chronologiczny wedle kolejności zdarzeń — i akcja linearna, w miarę możliwości przyczynowo-skutkowa.

Można odróżnić czas żmudki u Miłosza, czas kalendarza i brewiarza, w który z rzadka wdziera się historia — i to wyłącznie historia na miarę ludzką, wpisana w topografię, w krajobraz i w tradycję rodzinną. Czas nadberezynski — to znowu czas obrzędów kościelnych i prac rolniczych, czas wiejskiej liturgii i międlenia Inu, poprzecinany przez walki o teren, o światopogląd, o odrębność narodową. U Mackiewicza występuje już czas historyczny w rozumieniu heglowskim. Czas prywatnych doświadczeń koliduje z czasem obiektywnym, z historią-koniecznością. W „Drodze donikąd” jesteśmy dosłownie świadkami przejścia na czas moskiewski, a więc przywłaszczenia i manipulacji czasu przez ideologię.

Uogólniając można stwierdzić, że zamiast krajobrazu sennego, przyszłonego, który występuje u Konwickiego i Żakiewicza mamy przedstawienie świata, umownie uchodzącego za realistyczny.

Sprawa mitologizacji jest nieco bardziej złożona. Twórczość Mackiewicza odznacza się realizmem niemal sprawozdawczym, uni-

ka też heroizowania ludzi, działań czy miejsc. Heroizowanie u Czarnyszewicza nie wykracza poza etos Sienkiewicza lub Rodziewiczówny, reprezentuje poza tym tzw. mentalność zaściankową, mentalność ludzi wychowanych w duchu tych pisarzy. Mitologia miłoszowskiej „Doliny Issy” natomiast składa się ze swoistej poetyckiej płataniny wierzeń pogańskich i chrześcijańskich, w którą został wpisany prywatny mit podmiotu lirycznego. Ciekawa to rzecz, że u autorów krajowych mitologizacja miejscowości kresowych — u Konwickiego Nowej Wilejki, Kolonii Wileńskiej oraz Puszczy Rudnickiej, u Żakiewicza Mołojecna czyli Mołodeczna — idzie w parze z desakralizacją. Zbezczeszczona samobójstwem lub grzechem kazirodztwa arkadyjska kolebka dzieciństwa okazuje się nieraz doliną Józefata.

XI

Warto się zastanowić, co nowego czwórka powieściopisarzy „Litwinów” wprowadziła do tradycji kresowej, która u Syrokomli, Orzeszkowej, Weysenhoffa, także u Miłosza, jest bądź co bądź zakorzeniona w tradycji ziemiańskiej. Spytać można, co oni wnieśli do wizji soplicowskiej. Napomknęłam już, że pod względem strukturalnym i formalnym są raczej tradycjonalistami. O eksperymentalności formalnej nie ma na ogół mowy, choć Miłosz zastrzega się, że mógłby napisać coś awangardowego. Narracja Piaseckiego pewnie też nie narusza przepisów narracji konwencjonalnej. Nawet jeśli przyznamy rację Marii Czapskiej, że nie ma u Czarnyszewicza naśladownictwa Mickiewicza lub Sienkiewicza, niemniej trzeba stwierdzić, że jego chwytły narracyjno-fabularne — potyczki, zasadzki, ucieczki, pościgi — oraz etos rycerski zakodowany w postaciach z Sienkiewicza i Rodziewiczówny należą do przestarzałego schematu, który już za czasów Sienkiewicza zszedł do przygodowych i budujących powieści dla patriotycznej młodzieży.

W grubym uproszczeniu można by uznać obiektywizm narratorski, względny realizm (nieraz epickość) oraz tradycjonalizm strukturalno-narracyjny z jednej strony, a subiektywizm i względną eksperymentalność formalną z drugiej, za zasadnicze wyznaczniki różnicy pomiędzy „litewską” szkołą poza krajem i w kraju. Chociaż, rzecz jasna, takie określenie nie pozwala uwzględnić ani wszystkich warstw „Doliny Issy” ani drażliwego problemu niespełnienia oczekiwań odbiorców „Lewej wolnej” Mackiewicza.

Powieściom tego ostatniego, obojętne czy się je uważa za obyczajowe czy za historyczne, za studia polityczne, za udratyzowane reportaże czy za powieści z tezą, nieraz zarzucano wtręty

publicystyczne. W samej rzeczy broszurki, ulotki, wycinki prasowe, dekrety władz okupacyjnych, projekty traktatów i umów dyplomatycznych umożliwiają wielką eksperymentalną polifonię historyczną, w której wróg dochodzi do głosu i przez to sam się demaskuje. Te wstawki składają się na narrację niemal sensacyjną, która ma wszelkie pozory prawdomówności, mimo że powieści pozostają wytworami fikcyjnymi, świadczącymi o tej „mniej-szej prawdzie” zaanonsowanej przez autora w przedmowach do „Drogi donikąd” i „Kontry”. Te twory na pograniczu fikcji i dokumentacji stanowią nowatorski wkład do literatury kresowej.

XII

Pod względem ideowym sytuacja wygląda nieco inaczej. Jako najgłębszy nurt u Czarnyszewicza Czapska wyodrębnia polskość i religijność. Pointa tkwi w tym, że w swoim dążeniu do połączenia się z rdzenną Polską nadberezynicy okazują wyższe nateżenie polskości od samych Polaków. A wytęskniona ojczyzna odrzuca ich, odstępuje dobrowolnie Rosji bolszewickiej (cytuje tu słowa Czapskiej) „wraz z ćwiercią miliona kilometrów kwadratowych W tekstach pogodnego nadberezynca tai się więc gorzka wymowa.

Idea kresowa, etos Wielkiego Xięstwa Litewskiego, ulega dalszemu rozszerzeniu u Miłosza i u Mackiewicza. U Miłosza dzieje się to za sprawą metafizyki. W „Dolinie Issy” krytycy dostrzegają zamaskowany traktat teologiczny, hymn na cześć pogaństwa, przypowieść o wtajemniczeniu, a co jest może istotniejsze, baśń o przywróceniu i wariant mitu o nieśmiertelności. Jest to więc dość pokaźny wkład do tradycji, nie mówiąc już o tym, że w późniejszej „Ziemi Ulro” (1977) Miłosz wpisał idylliczną wizję soplicowską w intelektualny krąg Blake’a, Swedenborga, Oskara Miłosza i Dostojewskiego.

Natomiast znaczenie Mackiewicza polega na otwartości jego perspektywy — geograficznej, etnicznej, narodowej — i co za tym idzie, religijnej. Uznaje prawdziwe życie tylko w samotności, a prawdę w subiektywności. Tworzy swoistą epickość poprzez antyheroizm postaw. Demitologizuje tradycyjną idyllę kresową poprzez programowo i historycznie sprawdzalną antysielankowość. Przemierzając wielkie obszary terytorialne, ogarnia całe połacie Wielkiego Xięstwa Litewskiego, od hanzeatyckiej Nadbałtyki aż po Prypeć i Polesie, przygarnia aż daleką Kozaczyznę, traktując na równi wszystkie spotykane po drodze wyznania i narody. Szczególnie uderza jego powieść-reportaż pt. „Kontra” — tragiczny rapsod o Kozakach, w którym Kozak już nie jest ozdobnym rekwizytem na tle krajobrazu stepu i kurhanów, ale potencjalnym partnerem politycznym, ginącym w zetknięciu z przysłowio-

wą dwulicowością dyplomacji brytyjskiej. U Czarnyszewicza znajdujemy wzruszającą modlitwę chłopców z Nowoszyzsek:

*Adna u Boha Karalewa
Molitca za nami
Iz Czanstachowy i Paczajewa
I znad Wostraj Bramy (...)
Wa imia Atca i Syna
To nasza malitwa
Tak jak Trojca nam jedyna,
Polszcza, Ruś i Litwa.*

Postawa Józefa Mackiewicza najbardziej się spokrewnia z przejmującą apostrofą Józefa Wittlina w eseju o Lwowie [„Mój Lwów (gawęda)”, Nowy Jork 1946] do „Boga Polaków, Ukraińców, Ormian i Żydów”. Może właśnie przez to Mackiewicz nadał etosowi kresowemu najszerze dotychczas zastosowanie, będące blisko koncepcji „Litwina” Jerzego Giedroycia, który w *Kulturze* paryskiej próbuje zwalczyć stare urazy i kompleksy Polaków, Ukraińców, Czechów, Białorusinów, Litwinów i innych i zmienić ich sposób myślenia, doprowadzić do wzajemnego otwarcia na siebie kultur, które dotąd nie chciały o sobie wiedzieć. Jeśli idea Wielkiego Xięstwa Litewskiego ma jeszcze jakiś trwały sens, to właśnie koncepcja Józefa Mackiewicza najbardziej zasługuje na uznanie.

XIII

We wczesnych latach emigracji nowojorskiej zrodził się — bodaj w głowie Lechonia — pomysł pisanej panoramy miast utraczonych. Z wyjątkiem eseju Wittlina o Lwowie nie od razu doszło to do skutku. Łatwiej było w Polsce powojennej budować socjalizm, niż odtworzyć przestrzeń cywilizacyjną w literaturze poza Krajem. Jednak z upływem lat czwórka powieściopisarzy „Litwinów”, wspólnie, ale jakże odmiennie, stworzyła swoją wielką księgę, gdzie Wielkie Xięstwo Litewskie stanowi epicentrum wydarzeń i zapatrywań. Stworzyła dokumentarne świadectwo o pewnej formie kultury duchowej, pewnej koncepcji ludzkiego bytu, którą nazywamy „kresową”, a którą dwudziesty wiek stał z powierzchni ziemi. Odbudowała z materii czysto słownej wielki skansen etnograficzny, wskrzesiła miejscowości i społeczeństwa, które odtąd mają swoje samoistne istnienie w literaturze tak jak Itaka, tak jak mury świętego Ilionu.

Któryś z krytyków powątpiewał, czy kresy zostały uratowane przez literaturę. Pisano o pamięci Żydów w diasporze, że jest odzyskaniem skrajnie radykalnym, gdyż powstaje przeciwko

śmierci. Wyczuł to Tomasz, młody bohater „Doliny Issy”: „nazwać ptaka w piśmie to prawie to samo co mieć go na zawsze”. Tu może przystają słowa Ksawerego Pruszyńskiego o kłesce polistopadowej, że poeci, czy w tym przypadku raczej prozaicy-Litwini, „lepiej niż generałowie, trwalej niż politycy zasłużyli się sprawie narodowej”. Przypominając nam, że Zachód kiedyś sięgał aż za Mińsk, pisarze-rycerze orderu *Lithuania Restituta* oceniają coś, czego nie zniszczy już ani deszcz, ani wiatr, ani mrozy. Jak wiadomo, niemal każdy szczegół Iliady potwierdziła po wiekach archeologia, antropologia i lingwistyka historyczna. Nie udało mi się znaleźć na mapie nadberezyńskich wiosek Czarnyszewicza, ale archeolodzy, kartografowie i architekci przyszłości na pewno potrafią odbudować cały ten obszar w oparciu o jego wskazówki.

XIV

Tyle o dziełach. Teraz coś o perspektywach rozwojowych. Utwory emigracyjne związane z pograniczem północno-wschodnim dawnej Rzeczypospolitej stanowią cykl zamknięty. Nie żyją już Florian Czarnyszewicz, Sergiusz Piasecki, Stanisław Baliński, Józef Mackiewicz. Nie żyje też Barbara Toporska-Mackiewiczowa, autorka, dla której Wilno było „miastem przeznaczenia”.

Zdawałoby się, że na emigracji tylko z Miłozsem nie ustaje inspiracja litewska. Dążąc do potwierdzenia autentycznych domowych podwalin własnego mitu, „uchodźca z państw urojonych” — jak sam siebie nazywa — utrwala nadal w wierszu znaczące szczegóły zapamiętane z wileńskiego dzieciństwa. W Kraju jego rola w ukształtowaniu świadomości litewskiego rodowodu należy już niezaprzeczalnie do historii.

Laureat nagrody niezależnego pisma *Arka*, Mackiewicz, krąży tam w cichym podziemnym obiegu i zdobywa coraz więcej wyznawców. Przedwcześnie natomiast wyrokować o znaczeniu Czarnyszewicza i Piaseckiego dla mieszkańców PRL-u, gdyż są tam na ogół nieznani, albo znani przez przypadek.

W każdym bądź razie tematyka i obrazowanie kresowe zaadaptowały się na stałe w literaturze krajowej, w której pełnią najrozmaitsze funkcje, i to u autorów w ogóle z kresami nie związanych.

U Marka Nowakowskiego raptowny krzyk „Boże, zmiłuj się nad Wilnem” — tytuł jednego ze szkiców w zbiorze „Raport o stanie wojennym” (Instytut Literacki, Paryż 1982) — nawiązuje do wstępniaka bodaj Stanisława Cata-Mackiewicza z 1939 i do powrotności procesów dziejowych. U Jerzego Ficowskiego aluzja do „Pana Tadeusza” w wierszu noszącym ten tytuł („Errata”, Londyn 1981) oznacza zapomnienie i unicestwienie:

*gdy w zgliszczach soplicowa
rośnie epos ciszy.*

Reminiscencje „litewskie” głównie jednak służą jako skrót odrębności, żywotności i niezłomności duchowej. Podam tutaj jeden bardzo wymowny przykład. Obsesja kresowa wdarła się do świadomości *alter ego* Stefana Kisielewskiego — pisarza w najwyższym stopniu zakorzenionego w inteligentkiej krakowszczyźnie. W jego wielkiej polifonicznej powieści „Cienie w pieczarze”, ogłoszonej pod pseudonimem Tomasz Staliński (Instytut Literacki, Paryż 1971), toponimiczny refren lidzko-oszmiański nawraca jako lejtmotyw znaczący, niemal muzyczny. W jaskini platońskich cieni peerelewskiej Polski, na tle patrycjuszowskiej kultortowej architektury Sopotu, swoiści przybysze z Lidy lub Grodna, z Nowej Wilejki lub Oszmiany, ze swoim „bałagulskim, beztrosko naiwnym ale i praktycznym ciepełkiem”, jedyni oddzielają się od świadomości masowej, wyzutej z treści duchowych, zmiażdżonej do anonimowości.

XV

Jednocześnie, i mimo pozornego zamknięcia cyklu, pewne charakterystyczne napięcia postawy literackiej trwają dalej, przedłużają się w przyszłość. Tworzą nadal Tadeusz Konwicki, od dawna już zaliczony do litewskiego panteonu Mickiewicza i Miłozsa, oraz Zbigniew Żakiewicz, autor dwu powieści o antenatach kresowych: „Ród Abaczów” (Czytelnik, Warszawa 1968) i „Wilcze łąki” (Czytelnik, Warszawa 1982) a także opowiadań o ludziach stamtąd pochodzących („Skoczogonek” z cyklu „Ciotuleńka — opowieści niepokojące”, *Odra* nr 9, 1975). Okazuje się, że ostatni zajazd, ostatnie łowy, ostatni polonez w istocie znaczą raczej początek w literaturze niż koniec, że wraz z ostatnim wajdelotą (Teodor Bujnicki), z ostatnim gawędziarzem staroszlacheckim (Melchior Wańkiewicz), z ostatnim szlachcicem-poetą (Stanisław Baliński) stwarzają *perpetuum mobile* ostateczności i trwania: *le roi est mort, vive le roi*.

Bo rzeczywiście, w kraju mamy obecnie do czynienia z nader ciekawym zjawiskiem, występującym aż w trzech wariantach.

Pierwszy — to dobrowolne dołączenie się do rodowodu litewskiego autorów w ogóle z Litwą nie związanych. W znakomitych „Rozmowach polskich latem 1983” (Instytut Literacki, Paryż 1984) Jarosław Marek Rymkiewicz (urodzony w Warszawie z rodziny łódzkiej) wybiera krajobraz z pogranicza litewskiego jako tło wielkiej debaty o polityce i moralności, a jego sobowtór, „pan Mareczek”, doszukuje się antenatów litewsko-tatarskich. Ta książka, zazwyczaj omawiana pod kątem ideowym i politycznym,

stanowi jedną z najlepszych syntez dziedzictwa kresowego, jakie znam.

Drugi wariant, to faktyczni pogrobowcy Wielkiego Xięstwa. Tu nasuwa się na myśl początkujący poeta, syn łódzkiej rodziny repatriantów z Wilna, z wykształcenia filolog, urodzony już dobrze po wojnie. Pisząc pod pseudonimem Michał Liniewski, utrwała w wierszu wspomnienia zaczerpnięte z drugiej ręki, z ustnej tradycji rodziców oraz z „Albumu rodzinnego”. Tak brzmi tytuł jego debiutu poetyckiego, ogłoszonego na łamach *Pulsu* (1978, nr 3).

Dla trzeciego wariantu można by ukuć nazwę „pogrobowców z wyboru i powinowactwa”. Tutaj wymienić trzeba Włodzimierza Paźniewskiego. Jego powieść „Krótkie dni” (PIW, Warszawa 1983) dotyczy co prawda kresów południowych, ale jest on także autorem esejów o Wilnie. Zdaje się nie być obciążony dziedzictwem krwi. „Jagiellońskiej łagodności” nauczył się od profesora Henryka Elzenberga, wykładowcy filozofii na przedwojennym USB. W obrębie terytorialnym dawnych kresów szuka otwartości i szerokości kulturalnej i duchowej perspektywy.

Mówiąc słowami polonisty krajowego, recenzenta i znawcy omawianych tutaj autorów, po Wielkim Xięstwie Litewskim pozostało jako spadek niezbyt rozległe, ale udzielne Księstwo Litewskie, stworzone przez ostatnich Litwinów mickiewiczowskich, ciągle obecnych w polskiej kulturze. Upatrują oni w duchu pogranicznym, w duchu polsko-litewskim, syntezę ducha jagiellońskiego i ducha mickiewiczowskiego.

Ta mała ojczyzna z wyboru, marzeń i tęsknoty, od lat śniona, Białoruś-Dobroruś — na zawsze utracona, na zawsze ocalona — oscyluje pomiędzy unicestwieniem a przywróceniem do pełnego bytu. Choć odeszła na wieczność, zostaje utrwalona w świadomości zbiorowej, uwieczniona w słowie artystycznym. W tej formie lepiej niż w jakiegokolwiek innej waruje sobie niezależność, dostarcza samowystarczalnemu istnieniu dla wyobraźni i marzeń. Na pewno zasługuje na nieco obszerniejsze omówienie, niż doczekała się dotąd. Wraz z jej wielkim piewą: „Kochajmy tyle Litwy, ile jej zostało”. Bo jeszcze podczas ostatniej wojny, wspominając kraj swoich lat dziecińczych, Stanisław Cat-Mackiewicz pamiętał, jak ongiś patrzył „na ziemię biedną i chłodną deszcz padający na wpółzamarznąłą uzdę końską”. I pomyślał: „oto jak Polska od nas odejdzie, przestanie być Polską”.

Nina TAYLOR

Międzynarodowa nagroda literacka „Vilenica”

Związek Pisarzy Słoweńskich postanowił ogłosić międzynarodową nagrodę literacką „Vilenica”. Nagroda ta jest jeszcze jedną inicjatywą wywodzącą się z obszaru leżącego między Alpami i Adriatykiem, ale własnym zasięgiem przekracza ramy geograficzne tego obszaru. Coroczne przyznawanie nagrody ma na celu zwrócenie uwagi na wybitne artystyczne dzieła w zakresie poezji, prozy, dramatu i eseistyki, które powstały na obszarze kultury środkowoeuropejskiej, sięgającej od Bałtyku do Adriatyku i od Berna do Belgradu. Ten obszar kulturalny, którego integralną częścią jest literatura słoweńska począwszy od XVI wieku aż do chwili obecnej, łączy się z kulturą europejską w szerokim rozumieniu tego słowa. Kultura europejska jest zjawiskiem złożonym, w którym znaczenie i treść połączone są ze sobą w różnorodny sposób, co jest najbardziej widoczne właśnie na obszarze kultury środkowoeuropejskiej. Nagroda „Vilenica” ma na celu zwrócenie uwagi na bogactwo duchowe i moc życiową tych literatur oraz pragnie uwypuklić zasady, mające na celu zintegrowanie różnic w społeczeństwie europejskim, które znalazły swoje odzwierciedlenie w dziełach artystycznych środkowoeuropejskiego obszaru kulturowego jako jego niezwykle istotne doświadczenie i postępowanie kulturalne.

Związek Pisarzy Słoweńskich powołał pięcioosobowe jury, któremu w każdorazowym właściwym wyborze laureatów nagrody spośród oddzielnych literatur narodowych, wywodzących się z kręgu kultury środkowoeuropejskiej będą pomagać specjaliści, należący do najwybitniejszych znawców literatury tych narodów. Przy pomocy międzynarodowych doradców, znawców literatury, członkowie jury należący do Związku Pisarzy Słoweńskich, którzy równocześnie sami są specjalistami w zakresie oddzielnych literatur narodowych, dokonają samodzielnie wyboru laureata.

Międzynarodowa nagroda literacka „Vilenica” będzie przyznawana przez Związek Pisarzy Słoweńskich corocznie w trzecim tygodniu września we wspaniałej grocie krasowej zwanej „Vilenica”, która dała nazwę przyznawanej nagrodzie. Vilenica jest najstarszym obiektem turystycznym tego rodzaju nie tylko w Słowenii, ale także na świecie, udostępniono ją bowiem zwiedzającym już w 1821 roku. Z jej wyjątkowo poetyckim pięknem łączą się nawet liczne legendy, a także jej nazwa („Vilenica” znaczy czardziejskie miejsce) związana z baśniowymi czarodziejkami-wróżkami. Miejsce to jest symbolem łączności między słoweńską oraz środkowoeuropejską kulturą a kulturą ogólnoeuropejską. Położone jest w odległości zaledwie kilku kilometrów od Lipicy. Na-

grode Związku Pisarzy Słoweńskich współfinansowały także słoweńskie przedsiębiorstwa m.in. z Seżany, która będzie również organizatorem uroczystości związanych z przyznaniem nagrody.

Co roku w związku z przyznaniem nagrody będzie wydana w tłumaczeniu słoweńskim książka nagrodzonego poety lub pisarza. Ponadto zostanie wydany kilkunastuwybór innych krótkich tekstów czy fragmentów tekstów laureata oraz relacja z imprez związanych z przyznaniem nagrody „Vilenica”. Tegoroczne imprezy towarzyszące przyznaniu międzynarodowej nagrody „Vilenica” — konferencja prasowa, wieczór literacki pisarzy słoweńskich, spotkanie z pisarzami z innych państw, wieczór literacki laureata nagrody „Vilenica” itd. — będą się odbywać od 18-20 września w Seżanie, Lipicy i w grocie „Vilenica”. Uroczyste wręczenie nagrody odbędzie się w sobotę 20 września właśnie w grocie o nazwie „Vilenica”.

Członkowie jury międzynarodowej nagrody literackiej „Vilenica”, którą przyznaje Związek Pisarzy Słoweńskich:

Drago Bajt, krytyk literacki, eseista i tłumacz;
Jože Hradil, eseista, tłumacz, redaktor wydawnictwa Pomurska založba;
dr Jože Pirjevec, historyk, publicysta, profesor uniwersytetu w Trieście;
Tone Pretnar, eseista i tłumacz;
dr Erich Prunč, poeta, tłumacz, docent uniwersytetu w Grazu;
Veno Taufer, poeta, eseista, tłumacz (sekretarz jury).

Doradcy jury:

dr Jacek Baluch, docent w Instytucie Sławistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie;
František Benhart, eseista i tłumacz, Praga;
prof. Alfred Kolleritsch, poeta, krytyk literacki, publicysta, przewodniczący „Forum Stadtpark”, Graz;
dr Julian Kornhauser, docent w Instytucie Sławistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie;
Antonin J. Liehm, krytyk literacki, redaktor czasopisma *Lettre Internationale*, Paryż;
dr Werner Swossil, redaktor literacki ORF, Wiedeń.
Domonkos Matyás, krytyk literacki, główny redaktor wydawnictwa Szépirodalmi könyvkiadó, Budapeszt;
dr Elvio Guagnini.

Książki

Zreprzywatyzować mit

W chwili, gdy to piszę — połowa roku 1986 — istnieje już coś w rodzaju klasycznego kanonu krajowej poezji pogrudniowej, tj. poezji stanowiącej reakcję czy odpowiedź na rzeczywistość stanu wojennego. Wiersze Marcina Komiegi* z pewnością do tego kanonu należą. Głos ukrytego pod pseudonimem autora dał się posłyszeć wcześniej i zabrzmiał od razu po swoim, zdradzając uformowaną już od dawna i wyrazistą osobowość stylistyczną. Podziemna publikacja, którą mam przed sobą, jest właściwie retrospektywna — wznawia i przypomina dwa zbiorki, wydane w drugim obiegu jakiś czas temu i składające się z wierszy powstałych między grudniem 1981 a czerwcem 1982.

Tak więc — poezja ściśle związana z miesiącami stanu wojennego, na dobrą sprawę historyczny dokument. Czy tylko? Owszem, wiersze te — przynajmniej niektóre — odnoszą się, w sposób nieomal dziennikarski, do bieżących wydarzeń dnia:

*TV poczet judaszów nadaje
 niejaki w. żukrowski na czele pochodu
 w odcinkach
 pobógostawił terror
 przeklął wywrotowców*

Nawet takie notatki nie rezygnują skądinąd z możliwości wpisania doraźnych wydarzeń w szerszy historiozoficzno-moralny kontekst. Cytuję dalszy ciąg wiersza:

*zapewnia go
 wysokim stryczkiem odznaczony
 Massalski z Kossakowskim
 Zabięto z Ankwiczem*

* Marcin Komiega, *Przepowiednie. Pojutrznia*. Wydawnictwo Głos, Warszawa 1985. Wydanie II.

*jakoż pomniejsza szuja
że stanie tak jak oni
pomnikiem niestawy
na cokole powietrza
wysoko
nad tłumem
z głową pysznie wzniesioną
na sznurze zastugi*

(„Pojutrznia”, fragment IX)

Operacją myślową najbardziej typową dla poezji stanu wojennego wydaje się w ogóle w wierszach Komiegi wizja cyklicznie powtarzającej się historii, nawrotów wciąż tych samych polskich zrywów i klęsk. Podobnie jak u wielu innych romantyczno-katastroficznych wizjonerów pogrudniowego okresu, również i tutaj znaczącą rolę odgrywa obciążone gorzkimi emocjami słowo „znów”:

*znów po półtora wieku
Olszynka Grochowska
milcząc po polsku
bitwę o to samo toczy
znów ją przybliży luty
lornetą Dybicza*

*jesteśmy umówieni od wieków
z wolnością
czasem mylimy ją z wiosną
to znowu z jesienią
boimy się że się spóźni
i nikt jej nie pozna*

(„Pojutrznia”, fragment V)

Gdyby jednak twórczość Komiegi pozwalała się oceniać tylko w historycznym kontekście poezji stanu wojennego, nie byłoby warto pisać tej spóźnionej o cztery lata recenzji. Jest chyba inaczej. Propozycje artystyczne autora *Przepowiedni* warto poddać krytycznej dyskusji również i dzisiaj — a to dlatego iż, napisane ponad cztery lata temu, są te wiersze wciąż jeszcze niezmiernie charakterystycznym obrazem pewnego dylematu, przed którym literatura polska stanęła w grudniu 1981 i z którym jako całość do tej pory nie dała sobie rady.

Takich nie rozwiązanych do tej pory dylematów literatury jest właściwie więcej, mam jednak na myśli jeden z nich, może najważniejszy. Łatwo zdać sobie sprawę z jego natury, spoglądając raz jeszcze na zacytowany na wstępie wiersz Komiegi o Żukrowskim. Co w tym utworze niepokoi, to nawet nie jego dziennikarska doraźność — nie ma nic złego w pojęciu poezji okolicznościowej, jeśli tylko jest to poezja dobra. Bardziej niepokojące wydaje się coś, co nazwałbym w skrócie absolutnym utożsamieniem

„ja” z „my”. „Ja” poety, nie tyle w sensie formy gramatycznej ile w sensie jednostkowego punktu widzenia, jest w tym wierszu nieobecne — a raczej obecne jako składowa część wielkiego, zbiorowego „my”, część harmonijnie w tę całość wtopiona. Zaprotętuje ktoś w tym miejscu: przecież ani słowo „my”, ani nawet kategorie gramatyczne związane z pierwszą osobą liczby mnogiej także się w tym wierszu nie pojawiają. Zgoda, ale pojawia się coś ważniejszego niż gramatyka: pojawia się kryterium wartości poezji przyjął stopień wierności, z jaką wiersz formułuje uczucia i refleksje swoich czytelników, utwór Komiegi uznać by wypadło za doskonały. Miliony ludzi, oglądając żalosne występy Żukrowskiego w pierwszych dniach stanu wojennego, nazywały go judaszem i prokowały mu los godny targowiczana. Miliony czytelników mogłyby rozpoznać w tym utworze swoje myśli i reakcje. Miliony mogłyby się z nim bezwarunkowo zgodzić.

Jest tylko jeden mały problem: poezja, z którą każdy bezwarunkowo się zgadza, przestaje być poezją.

Och, oczywiście, Komiega jest zbyt wytrawnym twórcą, aby sobie z tego nie zdawać sprawy. Dlatego nawet w tym, dość skrajnym, przypadku, wiersz nie przestaje być wierszem. Mimo iż nie ma w nim jednostkowej perspektywy, widoczne są przynajmniej ślady poczynań ręki poety, która w odpowiednim porządku ustawia metafory i organizuje rytmy. Inaczej mówiąc, dzięki logice swojego obrazowania i brzmienia wiersz jest jednak czymś więcej niż spontanicznym przekleństwem, które wyrwa się telewidzowi wpatrzonemu w ekranową fizjonomię sprzedawczyka. To „coś więcej” to jednak za mało, aby poszerzyć naszą wyobraźnię czy zmodyfikować sposób rozumowania. Naddatek poety sprawdza się do ozdobienia podzielanych przez wszystkich przekonani paroma figurami stylistycznymi.

Choć, jak powiadam, przypadek tego akurat wiersza jest dość skrajny, w nieco złagodzonej formie można by powtórzyć ostatnie zdanie, omawiając każdy po kolei wiersz Komiegi. Aby nie ułatwiać sobie krytyki, spójrzmy dla kontrastu na inny przykład, z pozoru mniej „dziennikarski”, a bardziej „poetycki”:

*czerwonoczarne sotnie
idą w nogę w noc
(.....)
i salutują im
na znak braterstwa
krwi
z cudzych żył
wypruwanym hakenkrojem
chłopcy Reinefartha
i Dirlewangera

i salutują im
na znak braterstwa
krwi*

z cudzych żył
którą karmi obrzęką wesz
czerwonej gwiazdy
z NKWD mołojcy
rebiata z KGB

Podstawowy koncept wiersza (rozwinęty bardziej interesująco w dalszym ciągu, ale o tym za chwilę) opiera się na założeniu ideologicznej tożsamości komunizmu i nazizmu, „czerwonego” i „czarnego”: z tych dwu źródeł po równi czerpią inspirację dzisiejsze „sotnie” uzbrojonych w pałki krzewicieli polskiej normalizacji. Dobrze. Ale czy dowiedzieliśmy się czegoś nowego? Tak sformułowane, przekonaniam to jest dziś wspólną własnością dziewięćdziesięciu procent ludzi mieszkających między Odrą a Bugiem. Nie chcę pomniejszać wkładu poety: ta banalna teza politologii potocznej wiedzie go w stronę szeregu drobnych odkryć, czasami uderzających swoją pomysłowością, jak w wypadku metafor „obrzęką wesz czerwonej gwiazdy”. Gdyby nawet tego zabrakło, wiersz uratowałoby artystycznie jego zakończenie, w którym „czerwone” i „czarne” zlewają się — dosłownie — w brudną szarość farby, używanej w stanie wojennym do zamalowywania napisów na murach; co jednocześnie zinterpretowane jest jako „puszczenie farby” (zdradzenie się z własnym ideologicznym rodowodem) przez reżym; co z kolei prowadzi do wniosków jednocześnie pesymistycznych („wasze na wierzchu”) i optymistycznych („wasza” farba, znajdując się niby to „na wierzchu”, służy tym samym jako „barwa ochronna”, maskująca tylko „nasze” nie słumione dążenia):

czerwonoczarne sotnie
puszczają farbę
z niej plamy na murach
zamalowały nasz ostatni znak
wasze na wierzchu
nasze pod barwą ochronną
coraz bardziej trwa

(„Przepowiednie”, fragment III)

Tego rodzaju misterne i dowcipne gry znaczeń nadają poezji Komiegi jej indywidualność i sprawiają, że brzmi ona po prostu ciekawiej niż typowy martyrologiczno-mesjaniczny zaśpiew pomniejszych poetów stanu wojennego. Znamienne, że gra znaczeń nasila się i komplikuje, ilekroć Komiega stosuje, na zasadzie wyjątku, perspektywę bardziej osobistą, związaną z jego własnym „ja”:

ja wiem bywałem
aż tak małoduszny
że moja dusza na ramieniu

była niedostrzegalna nawet
powiększającym okiem strachu

(„Przepowiednie”, fragment I)

Urywek ten ucieszyłby amatora „poezji lingwistycznej” swoim zręcznym spleceniem kilku frazeologizmów naraz (w tym również frazeologizmów nieobecnych w dosłownej postaci, a przywołanych tylko pośrednio, w formie przetworzonej: ostatnia linijka to skrzyżowanie wyrażenia „szkło powiększające” z przysłowiem „strach ma wielkie oczy”). A przecież ta lingwistyczna igraszka służy nie popisowi sprawności, lecz sprawom doniosłym i dramatycznym: refleksji nad własnym strachem i własną odpowiedzialnością.

Takich wierszy — wierszy, w których z problemów własnych i z indywidualnego punktu widzenia wychodzi się w stronę spraw, w ostatecznym rozrachunku, ważnych dla zbiorowości — jest jednak w obu tomikach Komiegi zbyt mało. Przeważają utwory, których bazą i punktem wyjścia jest ta czy inna *zbiorowa własność* (powszechnie podzielany pogląd, poczucie społecznej solidarności, narodowy mit, nawet utarta symbolika czy potoczna metafora) i dopiero rozwój wewnętrznej logiki wiersza — a i to nie zawsze, tylko w najlepszych wypadkach — doprowadza do poetyckiej „reprivatyzacji” tej zbiorowej własności, do przetworzenia jawnej dla wszystkich oczywistości w coś mniej oczywistego.

Można w tym, jak powiadam, widzieć odbicie osobliwej sytuacji, w jakiej znajduje się od kilku lat polska poezja. To, co jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych było ironicznym głosem z ubożstwa, głosem znajdującym się w mniejszości dysydenta, jakim z natury rzeczy jest liryk — w ciągu 16 miesięcy „Solidarności” spotężniało w głos ogółu, zostało wzięte na serio i przyswojone przez większość społeczeństwa. Nie chcę przez to powiedzieć, że nagle wszyscy zaczęli czytać wiersze — nie, po prostu tak się złożyło, że poglądy odizolowanych dawniej dysydentów i poglądy większości stały się zbieżne. Uzyskane w ten sposób poczucie wspólnoty stało się dla wielu poetów wartością tak cenną, że zakłócić je czy odrzucić wydawało się im rzeczą nie do pomyślenia — po tragedii grudnia 1981 było zresztą nie do pomyślenia również ze względów moralnych. Niektórzy poeci przeoczyli jednak przy tym ważną różnicę: różnicę między materiałem zbiorowego doświadczenia a materiałem zbiorowego mitu. Poezja, która nie umie się obejść bez pośrednictwa tego ostatniego, w najgorszych przypadkach sprowadza się do komponowania metaforycznych wariacji na temat odwiecznych narodowych symboli; w najlepszych, takich jak niektóre wiersze Komiegi, „reprivatyzuje” mit, mnożąc i komplikując jego znaczenia metodą samodzielnej gry wyobraźni czy języka. Stawiałbym jednak wyżej taką poezję, która zbiorowym mitem w ogóle się nie wyręcza — która obowiązek dania indywidualnego wyrazu zbiorowemu doświadczeniu bierze po prostu na siebie samą.

Stanisław BARANCAK

«Szarlotka w blaszance»

Rozpoczyna się ta książka* notatką o Dostojewskim, a kończy ogólną uwagą o kondycji współczesnego intelektualisty, pisarza. Te dwa tematy będą się przewijać, zresztą obok wielu innych, bardzo różnych obserwacji, spostrzeżeń i refleksji. Gdzieś na początku zaintryguje autor paralelę między posierpniową Polską a Rosją XIX wieku, nie rozwijając jednak tego pomysłu. Raz padną gorzkie słowa pod adresem inteligencji, w innym miejscu odda jej Rudnicki należną sprawiedliwość jako tej grupie społecznej, która w latach siedemdziesiątych zainaugurowała późniejszy przełom. Gdzie indziej spotkamy przejmujący fragment robotniczych losów w „robotniczym” państwie. Albo błyskotliwą analizę wallenrodyzmu współczesnych Polaków. Podziw dla literatury rosyjskiej. Masochistyczną autocharakterystykę spóźnionego *outsider’a*. Wejdą, nie wejdą. Wschód Zachód. Kapitalizm i socjalizm. Itd., itp.

„Sto lat temu umarł Dostojewski” Adolfa Rudnickiego, podobnie jak inne jego książki pisane w formie intelektualnego dzienniczka, przypomina rozsypane koraliki, które trzeba skrupulatnie pozierać i nawlec wedle jakiegoś wzoru na nitkę. Czy jednak taki wzór istnieje dla omawianej tu książki? Porządkujący te koraliki krytyk znajdzie się w nielada kłopotcie. Sproblematyzowanie tej książki, znalezienie dla niej jakiegoś klucza, którym nie byłaby osobowość pisarza, jego autorskie ja rozumiane jako podmiot czynności twórczych, jest po prostu niemożliwe. Jest to zaledwie brulion spraw i zagadnień, ich niedbała i właściwie przypadkowa sygnalizacja. Każdy z poruszanych w niej tematów jest prawie liryczną, poetycką impresją, a nie wyrazem stosunku autora do świata i rzeczywistości. Te zaledwie strzępuszki myśli i zdań, w wielu miejscach książki układające się w swoiste minipoematy, zdania-aforyzmy, które, jak to bywa z aforyzmami, są zarazem prawdziwe i fałszywe (przykład: „Polska jest chorobą, na którą cierpi każdy w tym kraju” — niby słuszne, ale nic nie mówiące). Nieszczęściem tej prozy jest lapidarność i zwięzłość, cnoty skądinąd pożądane, ale tu stanowiące istotną przeszkodę w nawiązaniu jakiegoś dialogu z książką. W rezultacie jest to więc książka na niby, jakby pisana palcem na wodzie, jej poszczególne wątki giną, rozplywają się w szerokim, leniwym nurcie kapryśnej duszy autora. Polska niemożność, polskie rozchwianie duszy, która nie jest w stanie zmierzyć się ze światem na serio i odpowiedzialnie, daje o sobie znać tutaj w sposób wyraźny i dobitny.

* Adolf Rudnicki, *Sto lat temu umarł Dostojewski*, wyd. Przedświt, Warszawa 1984, str. 90, cena zł 230.

Stosując impresyjną metodę samego autora zatrzymajmy się na dwóch wątkach, dobrze charakteryzujących postawę dużego odłamu inteligencji pokolenia Rudnickiego, którego wspólnym doświadczeniem był koszmar ostatniej wojny oraz socrealistyczny „czyszciec”, mający otworzyć przed literaturą bramy raj. Pierwszy to refleksja nad Sierpniem. Nie będę się tu wdawał w meritum przemyśleń pisarza, również i dlatego, że Rudnicki nie pisze na ten temat niczego nowego, co nie zostałoby już napisane lub powiedziane wcześniej. Uderza natomiast jedna charakterystyczna rzecz. Otóż Sierpień i wszystko to, co ze sobą przyniósł ten przełomowy moment, maluje autor w ponurych, ciemnych barwach. Zapiskom na ten temat towarzyszą z reguły okupacyjne, wojenne reminiscencje, spowija je apokaliptyczna aura beznadziei na inną przyszłość, na nową rzeczywistość.

Piszę o tym dlatego, że dla mnie i dla moich rówieśników okres ten ma zupełnie inną barwę. Mimo trudności, realnych zagrożeń, niewiadomej, był to czas obudzonej nadziei, jasności, perspektyw. Autora książki i niżej podpisanego dzieli kilkadziesiąt lat życia i ta odmiennosc jest znakiem głębokiego przedziału pokoleniowego w podejściu do Sierpnia, jego znaczenia, a nawet symboliki (rzecz charakterystyczna: Rudnicki pisze prawie stale o Sierpniu w kontekście wydłużających się kolejek, pustych półek sklepowych i widma głodu, bardzo niewiele jest natomiast w jego książce symboli wyrażających demokratyczne ożywienie, pełnię wolnego życia, zwykłą radość).

Ta pokoleniowa cezura rozgranicza jednocześnie dwa odmiennie sposoby podejścia do zagadnienia wolności, które z taką dobitnością stanęło w ostatnich kilku latach przed Polską. Dla jednych wolność jest niebezpiecznym ryzykiem, niewiadomą, czymś negatywnym, co niszczy i burzy trudno zdobytą małą stabilizację na miarę skarłałej, dwuznacznej rzeczywistości „realnego socjalizmu”. Dla drugich wolność jest czymś niezbędnym dla znalezienia swojego miejsca w rzeczywistości, tak samo ważnym jak chleb, spokój i ciepło.

Ten pokoleniowy przedział ma swoje światopoglądowe przesłanki. Jak na dłoni widać je w książce Rudnickiego. Dotyczą one np. pojmowania literatury, stosunku do rzeczywistości historycznej. To drugi motyw w książce autora „Pałeczki”, nad którym zatrzymam się dłużej. Widać tu wyraźne dążenie pisarza do tego, co nazywa się bezstronnością i obiektywizmem. Jest to lęk, skądinąd zrozumiały po doświadczeniach socrealizmu, przed jakimkolwiek zaangażowaniem literatury w historyczną postać świata, przetransponowany na prywatny użytek mit czystej sztuki, której nie mogą „zbrukać” sprawy polityczne, społeczne itd. Czy jednak w świecie wyraźnie podzielonym taka bezstronność jest w ogóle możliwa? Czy w systemie totalitarnym, gdzie każde społeczne zachowanie ma polityczne znaczenie, można w ogóle hodoować i uprawiać czystą sztukę, czy nie jest to tylko eufemizm skrywający zwykły eskapizm i obojętność? Czy w ogóle wielka sztuka — biorąc rzecz historycznie — kiedykolwiek była bezstron-

na, nie miała swojego doraźnego ostrza wymierzonego w otaczającą ją rzeczywistość? Czy Sofokles, a nawet Szekspir, czy Dante przedstawiali w swej twórczości czyste, wysublimowane i „ponadczasowe” dramaty? Chyba nie.

Dowodem na „bezstronność i obiektywizm” są w książce Rudnickiego te miejsca, gdzie autor czyni wyznania adorujące komunizm („... który wciąż uważam za wielką ideę...”, który „... jeszcze za sto lat będzie żywy...”). Pomijam już to, że autor nie przytacza żadnych argumentów na te przekonania, niczym nie popiera swego stanowiska względem nieprzemijającej wartości tej skraczanej doszczętnie idei — mamy przecież do czynienia z wyznawczą postawą wobec świata i rzeczywistości, która wolna jest od odpowiedzialności za słowo. Powstaje jednak pytanie, jak pogodzić to z adoracją dla ruchu „Solidarność”, który zrodził się z walki z tą formą ustroju? Tę niekonsekwencję można tylko wytłumaczyć właśnie dążeniem do bezstronności i obiektywizmu, chęcią zajęcia pozycji ponad rozdzierającymi naszą rzeczywistość konfliktami i podziałami politycznymi. Te konflikty i podziały zbywa Rudnicki z olimpijskich wyżyn retoryczną figurą, kiedy np. pisze o postaci Sekretarza i Antysekretarza, mając w tym drugim przypadku na myśli postać Wałęsy, albo też kreśląc figury polskiego losu poprzez odwołanie się do narodowej symboliki wallenrodyzmu. Ale czy te efektowne metafory wszystko mówią o nas samych, czy oddają istotę dziejących się przeobrażeń i walk? Czy tego wąskiego i od dawna uprawianego pola skojarzeń i interpretacji nie należałoby wreszcie poszerzyć lub zmienić?

Taka jest ostatnia książka Rudnickiego. Traktuje o wszystkim po trochu, żadnego tematu nie wyczerpując do końca. Sugeruje różne idee i przekonania, ale nie podbudowuje ich żadnym argumentem. Angażuje się właściwie w historyczną, zmienną postać naszej rzeczywistości, ale jednocześnie zazdrośnie strzeże olimpijskiej bezstronności. Obrana przez niego pozycja obserwatora okazała się nagle niezwykle uboga i banalna. „... to strzępuszki historii, tylko strzępuszki. Jak szarlotka w blaszance tkwiłem w historii, a to, co wykrawałem, było nie większe od szarlotki...”.

Ten ostatni cytat pochodzi z innej książki Rudnickiego, z „Niebieskich kartek” wydanych w 1956 roku, które są propozycją bardzo eleganckiego, powiedziałbym wytwornego socrealizmu, znośnego w każdym renomowanym salonie. Słowa te dobrze jednak oddają sytuację pisarza w rzeczywistości ostatnich kilku lat, zarysowanej w „Sto lat temu umarł Dostojewski”. Blaszanka ma sugerować uczestnictwo pisarza w historii, w walce. Znajdująca się w niej szarlotka dowodzi jednak, że to tylko niewinny piknik, śniadanie na trawie.

Jan PODLASKI

Nowy tom Bibliografii emigracyjnej

Przed kilku miesiącami ukazał się po dwudziestoletniej przerwie czwarty tom *Bibliografii druków polskich i Polski dotyczących wydanych poza Polską po 1 września 1939 r.*¹, obejmujący produkcję wydawniczą z lat 1964-1967 i przynoszący opisy 3.344 druków, których część stanowią uzupełnienia dotyczące poprzednich tomów. Tomy te ukazały się w latach 1954-1966, objęły opisy 13.920 druków i znane są jako *Bibliografia Zabielskiej*, od nazwiska inicjatorce i głównej wykonawczynie, śp. Janiny Zabielskiej, zm. 6 kwietnia 1962. Wkład jej pracy dobrze charakteryzuje fakt, że — wobec braku etatu bibliografa i małego zrozumienia celów bibliografii u ówczesnych władz Biblioteki Polskiej, walczącej zresztą o utrzymanie się przy życiu, Zabielska wypisywała kartki z opisami w czasie dyżurów w Czytelni Naukowej, między załatwianiem kwerend interesantów. Po przedwczesnym zgonie Zabielskiej (rak) kontynuowałam rozpoczęte przez nią prace nad tomem trzecim (1958-1963), wydanym w roku 1966, a następnie starałam się o kontynuowanie *Bibliografii* z myślą o dalszych tomach, co w pewnym stopniu ułatwiła subwencja Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku uzyskana dzięki życzliwej pomocy śp. Aleksandra Janty.

Czym tłumaczy się długa, dwudziestoletnia przerwa w publikacji kolejnych tomów, materiały do których były już częściowo zebrane w roku 1973, gdy opuściłam Anglię? Redaktor tomu IV-go dr Zdzisław Jagodziński, obecny kierownik Biblioteki Polskiej w Londynie, który przejął ode mnie m.in. troskę o kontynuację *Bibliografii*, wyjaśnia, że złożyło się na to wiele przyczyn natury finansowej i technicznej, takich jak — czego zresztą nie wymienił — przenosiny Biblioteki do gmachu POSK-u i związana z tym reorganizacja. Trudności finansowe towarzyszyły wiernie *Bibliografii* od początków wydawnictwa. Wymownym tego świadectwem jest wygląd pierwszych trzech tomów, które ukazały się w kilkuset egzemplarzach w odbitkach powielaczowych ze starego Gestetnera. Z radością wyczytałam w przedmowie dra Jagodzińskiego zapowiedź ich przedruku, gdyż — jak się domyślłam —

1. *Bibliography of books in Polish or relating to Poland published outside Poland since September 1st 1939*. Vol. IV: 1964-1967 and Supplements to 1939-1963 (no 1-3344). Ed. by Zdzisław Jagodziński, compiled by Maja Elżbieta Cybulska, Maria L. Danilewicz Zielińska, Zdzisław Jagodziński. London 1985, The Polish Library (Polish Social and Cultural Association), str. XVI, 266, druk w dwu kolumnach. Druga k. tyt. w języku polskim: *Bibliografia druków polskich i Polski dotyczących wydanych poza Polską po 1 września 1939 r.*, wyd. Biblioteka Polska, Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny. Druk Caldra House Ltd., Hove, Sussex.

starożytne woskówki, jeśli jeszcze istnieją nie wytrzymałyby dalszego odbijania. Pamiętając o trudnościach z lat 1950-1970-tych z tym większą wdzięcznością wyliczam nazwiska przyjaciół Biblioteki, którzy, wbrew obojętności „góry”, przychodzili z pomocą moralną, zachęcali do gromadzenia materiałów bodaj w formie kartotek i ułatwiali starania o pomoc na zakup papieru, farby czy pokrycie kosztów odbijania i oprawy; myślę przede wszystkim o zmarłych: Aleksandrze Jancie, płk. Janie Leśniaku, prof. Tadeuszu Sulimirskim i płk. Stefanie Zamoyskim. Wydanie tomu czwartego umożliwiła obok subwencji Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego dotacja, uzyskana dzięki życzliwemu zainteresowaniu problemami bibliografii ze strony red. Jerzego Giedroycia z Fondation Polonaise Littéraire et Culturelle w Szwajcarii.

Trudno wytłumaczyć dlaczego zainteresowanie pracami bibliograficznymi jest na Emigracji tak nikłe i kapryśne. Potrzeba ogarnięcia rejestracją całości kształtu produkcji wydawniczej polskiej i Polski dotyczącej jest dziś oczywista. Bibliografia bieżąca publikowana w PRL-u przez Bibliotekę Narodową w Warszawie nie rejestruje nie tylko poloników zagranicznych ale nawet druków „drugiego obiegu” — zadania bibliografów emigracyjnych wzrosły po roku 1978, gdy ruch wydawniczy zaczął się przesuwać do krajów wolnego świata. Jeśli w latach 1939-1963 ukazywało się poza Krajem przeciętnie około 1.000 tytułów rocznie, to obecnie operujemy cyframi znacznie wyższymi, zwłaszcza na odcinku druków w językach obcych autorstwa Polaków lub dotyczących Polski. Ale nawet przyjmując przeciętny tysiąc rocznie, wobec faktu, że tom IV doprowadzony jest do roku 1967, zaległość urosła do ok. 18.000, nie licząc ujawniających się nadal uzupełnień. Tak np. nie weszły dotąd do *Bibliografii* regulaminy i instrukcje wojskowe z okresu drugiej wojny światowej w liczbie kilkuset i odbitki prac naukowych, częściowo już objęte *Bibliografią prac naukowych w językach obcych ogłoszonych poza Krajem przez uczonych polskich*, której tom I (1939-1962) ukazał się w roku 1964 staraniem Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie i objął 4.011 pozycji. Współautorka tego opracowania p. Jadwiga Nowakowa zgromadziła w Bibliotece Polskiej w Londynie sporo materiałów do tomu II-go. I znów to samo: brak funduszy.

Wydany obecnie tom nie nasuwa zastrzeżeń innych jak to, że obejmuje mniej tytułów i krótszy okres, niż przeciętne poprzednie tomy. Chciałoby się też widzieć w przedmowie informację: „tom piąty w druku”. W związku ze zrozumiałym zainteresowaniem okresem najnowszym kto wie, czy nie należałoby dać pierwszeństwa i jak najszybciej ogłosić materiały za lata 1980-1986.

Postulat wcześniejszego ogłoszenia bibliografii najnowszej ma ten niewątpliwie minus, że oznacza powstanie luki za lata 1968-1979; tomy dotyczące tego okresu mogłyby być jednak wydawane równolegle. W chwili obecnej głównymi źródłami informacji o wydawnictwach świeżej daty są katalogi wydawnictw własnych poszczególnych placówek wydawniczych (np. Instytutu Literackiego w Paryżu, „Libelli”, Londyńskiego „Veritasu”, Oficyny Poetów i Malarzy i in.), katalogi księgarń (np. londyńskiego „Orbisu”, chi-

cagoskiej „Polonii”, wiedeńskiej Księgarni Polskiej a nawet antykwariatu „Lettres Slaves”, sygnalizującego „nowości” wyczerpane na pniu) — wreszcie ogłoszenia i wykazy książek otrzymanych przez redakcje poszczególnych czasopism (np. *Kultury*, *Orla Białego*, *Zeszytów Literackich*), recenzje, notatki o polonicach (np. w *Dzienniku Polskim* i *Tygodniu Polskim* w Londynie). Od dwu lat *Pamiętnik Literacki* Związku Pisarzy Polskich publikuje co roku wykazy nowości książkowych w języku polskim a Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej w kwartalniku *Co czytać* (pod red. Andrzeja Bogusławskiego) omawia ważniejsze wydawnictwa oficyn polskich na Zachodzie (ok. 20 tytułów w każdym numerze). Są to pożyteczne i potrzebne pomoce — nie zastępują jednak fachowo opracowanej bibliografii bieżącej, pojętej jako narzędzie pracy pisarzy, publicystów, bibliotekarzy, księgarzy — słowem użytkowników książki w szerokim znaczeniu tego określenia.

Na oddzielną wzmiankę zasługują bibliografie zawartości czasopism (np. *Kultury* i *Zeszytów Historycznych, Oficyny Poetów*), spisy zawartości poprzednich numerów (np. *Aneksu, Zeszytów Literackich, Antemurale* i in.) oraz bibliografie monograficzne (np. Rimmy-Wolynskiej-Bogert i Wojciecha Zalewskiego „*Miłosz Bibliography*”, Ann Arbor 1983).

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejő, 10 lipca 1986

Berliński "Archipelag"

Trzy lata minęły od wydania, wiosną 1983, pierwszego numeru *Archipelagu* — jak podtytuł informuje: miesięcznika kulturalno-politycznego. Od początku była to inicjatywa kilku młodych, rzutkich ludzi, głównie z Wrocławia i Warszawy, których emigracyjny los zatrzymał w Berlinie Zachodnim — a właściwie inicjatywa jednego człowieka — Andrzeja Więckowskiego. I tak pozostało.

W ciągu tych trzech lat nie zmienił się profil pisma, które miało się zajmować i zajmuje się sprawami bardziej kulturalnymi i literackimi niż doraźno-politycznymi i obok spraw polskich wiele miejsca przeznaczają na przedstawianie spraw naszych sąsiadów — szczególnie niezafałszowanej problematyki niemieckiej.

Każdy numer *Archipelagu* liczy przeciętnie ponad 90 stron i za każdym razem ilustrowany jest przez innego grafika — czy rzadziej — fotografa.

O ile na początku istnienia pisma dużo w nim było materiału

felietonowego, tematycznie związanego z Berlinem, to już po roku pismo wyraźnie przechyliło się ku esejowi, publicystyce historycznej czy historiozoficznej, opracowaniom naukowym, które zwykle otwierają poszczególne numery, Berlin zaś ustępuje tematowi ogólnoniemieckim lub problematyce „polsko-niemieckiego styku”. Ten ostatni wątek, mimo widocznych dużych starań redakcji, nie ma jeszcze do dziś zbyt wyraźnej linii. Być może zresztą należałoby to ująć inaczej: z braku odpowiednich wyspecjalizowanych piór pismo nie podjęło jeszcze w szerszym zakresie tego złożonego tematu (w kraju traktowanego bardzo jednostronnie i skrzywionego przez propagandę) jakim jest wciąż zmieniający się stosunek Polaków do Niemców i Niemców do Polaków, i to zarówno w skali państwowej, jak i prywatnie. Ten niedostatek *Archipelag* nadrabia publikując ciekawą literaturę piękną i eseistykę niemiecką, ze szczególną uwagą wybierając pisarzy „granicznych” i utwory, w których w taki czy inny sposób sprawy polskie dochodzą do głosu.

Mocną stroną pisma jest dział recenzji i szkiców o książkach i autorach. Każdy numer przynosi jakiś esej krytyczno-literacki, często wywiady czy rozmowy z pisarzami. Z tych ostatnich bardzo ciekawe były „Spotkanie z Isaakiem B. Singerem”, rzucające wiele światła na stosunek laureata Nobla do Polski, Polaków i polskiej literatury; wywiad z poetą Tymoteuszem Karpowiczem, mieszkającym od kilku lat w Stanach Zjednoczonych oraz wywiady z emigracyjnym pisarzem rosyjskim Georgijem Władimowem, z Milovanem Džilasem i z pisarzem niemieckim Horstem Bie-neckiem.

Archipelag startował bardzo młodzieńczo i była w tym starcie wiara we własne siły, przerastająca niekiedy realne możliwości, także dufna w te siły zaczepność, co sprawiło, że młody zespół stał się bohaterem kilku przygód, jak przysłowiowy słoń w sklepie z porcelaną. Dziś pismo, nie tracąc nic ze swej cennej młodzieńczości, bardzo spoważniało. Czy to dobrze, nie wiem, ale taka jest zwykle kolej rzeczy.

Włodzimierz ODOJEWSKI

PANI HAŃSKA I CZERNOBYL

Boy-Zeleński w szkicu pt. „Szczęście Marcellego Bouteron czyli nowe listy pani Hańskiej” (tom 12 Pism „Stendhal i Balzak”, wydany przez PIW, Warszawa 1958) cytuje fragment listu pani Hańskiej do córki Anny:

„Wszystkiego tam po trosze. Tu zabawne anegdoty o Rotszyldach... To znów o kapeluszach paryskich, i znów, prawie bez przejścia, o całej serii pożarów na Wołyniu. Spaliły się Bystrówka, Rutycze, spłonął doszczętnie Czernobyl, przeszło tysiąc domów. Żydzi nie chcą już się tam odbudowywać, uważają to miejsce za przeklęte. Przypominam sobie (pisze pani Hańska), że twój ojciec używał przywilej na Sobolucze, na zbudowanie tam miasta; ponieważ to jest nad brzegiem Dniepru, a są tam same piaski, na których nic się nie rodzi, byłoby wspaniale wyhodować tam Żydów...”

APROXIMAÇÕES — ZBLIŻENIA

W kwietniu bież. roku rozpoczęło działalność w Lizbonie centrum APROXIMAÇÕES, które stawia sobie za cel słuzenie idei przybliżenia wartości kultury krajów Europy środkowej i wschodniej wspólnocie języka portugalskiego, zarówno poprzez własne studia, jak i pośrednictwo w udostępnianiu tekstów, bibliografii, przekładów. Centrum nie podlega żadnej instytucji ani organizacji, a w jego pracach bierze udział grupa dziennikarzy oraz studentów i pracowników z kilku portugalskich uniwersytetów. Miesięczny biuletyn *APROXIMAÇÕES. EUROPA DE LESTE EM LINGUA PORTUGUESA*, informuje o pracach i przekładach, jakie powstają na bieżąco w języku portugalskim, zawiera też spis wybranych artykułów z pism poświęconych kulturze krajów Europy środkowej i wschodniej w języku angielskim i francuskim. Poszczególne teksty wysyłane są na życzenie czytelników, którzy pokrywają koszty fotokopii. Ponadto każdy numer tego „pisma w stanie organizacji” przynosi kilka tekstów literackich, recenzję wybranej książki itp. W czterech numerach, jakie dotychczas się ukazały znalazły się m.in. teksty Michała Eminescu, George'a Konrada, Osipa Mandelsztama, Romana Jakobsona, Michała Zeliara, Jaroslava Krejčiego, Roberta Auty, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza, Adama Zagajewskiego, Marii Danilewicz Zielińskiej, Jana Błońskiego, Józefa Tischnera. Inicjatywa APROXIMAÇÕES spotkała się w Portugalii z życzliwym przyjęciem i żywym oddźwiękiem, zyskując moralne poparcie kilku wybitnych przedstawicieli portugalskiej kultury — w sposób szczególny prof. Agostinho da Silva. Prace APROXIMAÇÕES koordynuje Henryk Siewierski. Adres: APROXIMAÇÕES, Apartado 2890, 1122 Lisboa Codex, Portugal.

Nadestane nowości wydawnicze

NOWICKI (Stanisław). *Pół wieku czyśćca. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim*. Str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1986, cena \$ US 13,50, £ 6).

MIRONOWICZ (Anna). *Od Hajnówki do Pahlawi. Wspomnienia*. Str. 75 i 5 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1986).

BARTOSZEWSKI (Władysław). *Warto być przywoitym. Szkic do pamiętnika*. Str. 85 i 11 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1986).

KARREN (Tamara). *Czarne niebo. Wiersze*. Str. 42 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).

Cudem ocaleni. *Wspomnienia z kacetów*. Praca zbiorowa. Str. 327 i 5 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1981).

ZYCHIEWICZ (Tadeusz). *Jozafat Kuncewicz*. Str. 192. (Wyd. Wydawnictwo Calvarianum, Kalwaria Zebrzydowska 1986).

LOWELL (Robert). *Poezje*. Przeł. St. Barańczak, P. Sommer, M. Sprusiński, B. Taborski. Wybór i posłowie B. Taborski. Wydanie dwujęzyczne anglo-polskie. Str. 326 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, cena zł 450).

- TABORSKI (Bolesław), *Cisza traw. Wiersze*. Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, cena zł 50).
- GLAESSNER (Gert-Joachim). *Le pouvoir bureaucratique: solution des conflits en RDA*. Str. 61 i 3 nlb. (Etude nr 13 du Projet de recherche „Les crises des systèmes de type soviétique”, wyd. Index, Cologne 1986).
- MAGOCSI (Paul Robert), MATTHEWS (Geoffrey J., cartographer). *Ukraine. A Historical Atlas*. Str. nlb. (Wyd. University of Toronto Press, Toronto - Buffalo - London, BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Game Plan. A Geostrategic Framework for the Conduct of the U.S.-Soviet Contest*. Str. 288 i 4 nlb. (Wyd. Atlantic Monthly Press, Boston - New York 1986).
- ROSS JOHNSON (A.). *The Impact of Eastern Europe on Soviet Policy Toward Western Europe*. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica CA, USA, March 1986).
- SZPORLUK (Roman). *Marx — List — Palacky. Nationalism in Central Europe*. (Nadbitka z *Cross Currents* 5/1986, str. 25-38).
- WANDYCZ (Piotr S.). *Poland in World History: Inspiration or Trouble-Maker?* (Nadbitka z *Cross Currents* 5/1986, str. 195-208).
- KRZYŻANIAK (Marian). *The Dynamic Incidence of the Long-Term Government Debt in a Neoclassical World*. (Nadbitka z „Public Finance”, International quarterly journal, The Hague, Netherlands, vol. XXXX, nr 3/1985, str. 307-334).
- LEONHARD (Wolfgang). *Der Schock des Hitler-Stalin-Paktes. Erinnerungen aus der Sowjetunion, Westeuropa und USA*. Str. 220 i 4 nlb. (Wyd. Herderbücherei, Freiburg-Basel-Wien, 1986).
- Oberschlesisches Jahrbuch 1985*. Band 1. Str. 375 i 3 nlb. (Wyd. Laumann-Verlag, Dülmen 1985).
- GÓRSKI (Bohdan). *Die Freiheit Osteuropas und Deutschlands Zukunft*. Str. 39 i 5 nlb. (Wyd. Presdok AG, Zürich 1986).
- KORZEC (Paweł). *Piotr Wandycz: „August Zaleski — minister spraw zagranicznych R.P. 1926-1932 w świetle wspomnień i dokumentów”*. (Nadbitka z: „Zeitschrift für Ostforschung” nr 2/1984, str. 287-288).
- RHODE (Gotthold). *Zusammenfassung*. (Nadbitka z: „Die deutsch-polnischen Beziehungen 1919-1932”, Schriftenreihe des Georg-Eckert-Instituts für internationale Schulbuchforschung, Band 22/VIII, str. 195-202).
- RHODE (Gotthold). *Simon Szyszman: „Das Karäertum”*. (Nadbitka z: „Zeitschrift für Ostforschung” nr 3/1984, str. 428-430).
- GLOGOWSKI (Waldemar), KNOBELSDORF (Wladimir). *Die Wahlen zum Sejm in Polen*. (Nadbitka z: „Osteuropa” nr 7/1986, str. 550-556).
- Jahrbuch der Ukrainekunde 1985*. Str. 336. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften, München).
- Rozmowy nr 6*. Str. 200. (Wyd. Rozmowy, Londyn 1986).
- Listy*. Rocznik XVI, kwiecień 1986. (Wyd. Listy, Rzym 1986).
- Antemurale XXVII-XXVIII*. Str. 265 i 5 nlb. (Wyd. Institutum Historicum Polonicum, Romae 1984-1985, cena US \$ 16).
- MARCHESANI (Pietro). *L'immagine della Polonia e dei Polacchi in Italia tra cinquecento e seicento: due popoli a confronto*. (Nadbitka z: „Cultura e nazione in Italia e Polonia dal Rinascimento all'Illuminismo”, str. 347-378, wyd. Leo S. Olschki Editore, Firenze 1986).
- FEIERABEND (Ladislav). *Soumrak československe demokracie*. Str. 321 i 7 nlb. (Wyd. Rozmowy, Londyn 1986).
- DVORAK (Ladislav). *Savle mece*. Str. 171 i 5 nlb. (Wyd. Rozmowy, Londyn 1986).
- BOCHENSKI (Josef Maria). *Cesta k filozofickemu mysleni*. Str. 111 i 5 nlb. (Wyd. Rozmowy, Londyn 1985).

Wolna trybuna

Ofiara jest winna ?

Przykład najogólniejszy: nasze dyskusje o szesnastu miesiącach „Solidarności”. Gorycz pobitych i rozproszonych, którzy utracili już wpływ na bieg dziejów, ale wciąż wierzą, że z ich bolesnych rozpamiętywań wyniknie jakaś cierpka lecz pożywna mądrość po szkodzie: czy „Solidarność” nie poszła za daleko, czy nie chciała zbyt wiele? A ileż popełniła przy tym błędów! Co nas upoważniało do tak lekkomyślnej wiary, tak pięknej nadziei i tak znikomej ostrożności? Po cośmy obrażali partię, podważali pryncypia, ruszali z posad nie tyle glob, ile wystraszonych aparatczyków? Trzeba było chytrze politykować, kluczyć, brać swoje nawet nie w połowie, ale po maleńkim kawałeczku i siedzieć z tym cichutko za dziurawą — lecz przez tyle dziesięcioleci tutaj sprawdzoną — fasadą wszystkim znanego, a więc bezpiecznego zakłamania. Tym naruszyliśmy interesy, sojusze i reguły politycznej przebiegłości, przez co sami zasłużyliśmy sobie na grudniową rozprawę. Pewnie słusznie, pewnie chcąc mniej i mierząc bliżej, przetrwalibyśmy trochę dłużej... Tak, święta racja, głos rozsądku, dlatego coraz rzadziej ktoś nierozważny i niewyrobiony odważy się wypalić, że było to wszystko świętym prawem wolnych ludzi nawet tu, nawet w tej nieszczęsnej części Europy; że to i tak za mało, że następnym razem trzeba jeszcze mocniej, jeszcze dobitniej, jeszcze bezczelniej!

Przykład partykularny: przyłapani na gorącym uczynku „spekulant”. Coś komuś sprzedał, albo zrobił coś użytecznego, co okazało się potrzebne i pokupne, więc osiągnął na tym wysoki zysk. Jak śmiał?! Nawet nie chodzi o to, że nie zarejestrował się w odnośnym urzędzie, nie dopełnił formalności, nie zapłacił podatków, oszwaibił skarb państwa. Jego najstraszniejszym i niemożliwym do wybaczenia przez zbiorowość grzechem jest odważne wyzwanie, jakie niepodległa osoba ludzka rzuca wspólnemu wprawdzie, lecz marniejącemu losowi. Inicjatywa, zaradność, niezależność: tym nas obraził! Może bardziej jeszcze niż wyliczo-

nym mu przez „właściwe organa” nienależnym zyskiem. Albo inaczej: ktoś nikomu nieznanym, chłopak albo dziewczyna, aresztowani z powodów politycznych, szeregowcy podziemia, jedna linijka na liście więźniów sumienia. Po co im to było? Po cholere nosili gazetki, kręcili nielegalnym powielaczem? Mogli przecież nie drażnić władzy, siedzieć cicho jak wszyscy, ponarzekać na ustrój przy wódeczce albo pojechać zamiatać ulice w Hamburgu.

Rozmawiałem niedawno z jednym z przyjaciół Władysława Frasyniuka, tego najbardziej chyba nieszczęsnego z więźniów politycznych PRL. Po dłuższym opisie więziennych szykan, jakim podlega Władek, padło wreszcie to półgębkiem lecz wyraźnie rzucione pytanie: po co mu to? Przecież nie musi wciąż stawać okoniem, domagać się należnych lecz nie zwyczajnych w PRL-owskim mamrze praw. Ustąpiłby trochę, poszedłby na rękę klawiszom, to i klawisze poszłyby jemu. Nawet w celi da się jakoś żyć, ułożyć się z realnym światem, realnym socjalizmem. Przecież mógłby być jak wszyscy, przecież wszyscy więźniowie nie doświadczają podobnego traktowania, przecież Władek sam sobie jest winien!

A zamordowany ksiądz Popiełuszko? Przecież pamiętamy tę niezapomnianą lekcję obrony, która była oskarżeniem: ofiara sama prowokowała swoich katów! Podburzające kazania, nielegalna symbolika, podejrzone przyjaźnie, niestosowne podróże, obraźliwe słownictwo, rozkładowa ideologia. A jest tylu rozważnych i odpowiedzialnych kapłanów, którym ani w głowie podobne wysoki i przez to mogą spać spokojnie, pilnując zdrowia moralnego i regularności religijnych praktyk swoich owieczek. Tak, ksiądz Jerzy słusznie — choć oczywiście nazbyt okrutnie — został ukarany za to, że ośmielił się korzystać ze swego obywatelskiego prawa do wolności słowa, był wierny swej kapłańskiej powinności piętnowania zła i obowiązkowi intelektualisty oddawania sprawiedliwości widzialnemu światu.

A jeśli nawet niesłusznie, to po co pchał palce pomiędzy drzwi? Przecież wie jak jest...

Nieszczęsny Grzegorz Przymek był winien, bo zdjął buty i wyśpiewywał. Marek Antonowicz także — po co stawiał się milicji, przecież wiadomo, że z funkcjonariuszami tylko ostrożnie i po dobremu.

Nawet taki Bratkowski, choć nie siedzi i zdrowie mu od biedy dopisuje. Mało mu artykułów po gazetkach? Jeszcze pisze list do Gorbaczowa. Po co drażni niedźwiedzia? Jak coś się stanie, sam sobie będzie winien.

I tak dalej, i tak dalej...

Nawet w zwykłych sprawach o gwałt czy pobicie prawnicy i reporterzy coraz docieklawiej zastanawiają się nad tym, czy ofiara uczyniła wszystko, co tylko mogła, by nie sprowokować miazdzącej agresji napastnika; czy zastosowała właściwy unik, czy może jeszcze jakiś uprzedzający ruch, jakiś nadzwyczajny środek ostrożności, jakaś szczególna delikatność wobec zagrażającej siły nie mogłyby jednak odsunąć ostatecznego zwarcia?

W ten sposób od dramatu wielkiej polityki aż po powszed-

ność miejsko-gminnych scysji wyrasta nam wielka, zwałista — pewnie że złowroga — ale co najgorsze nieuchronna jak los postać agresora, który przecież i tak musi wcześniej lub później uderzyć, bo od tego jest, bo taka jest jego natura. To, co w tej sytuacji pozostaje potencjalnej ofierze, to tylko przebiegłość i mimikra, a przede wszystkim cicha i uległa mądrość, jakiej nabywa się tylko przez znajomość dotkliwie garbujących skórę realiów.

Polak wytrzyma.

W ten sposób zło przestaje być złem, zaś nikkzemny nawet czyn zostaje uwolniony od jego oceny, bo przecież mówimy tylko pragmatycznie o skutkach, za które odpowiedzialność ponosi przecież także pokrzywdzony. Krzywdzący dobrze o tym wie, o to mu zresztą cały czas chodziło, by jego agresja i wymuszenie przestały być pojęciami z zakresu etyki, a stały się co najwyżej dotkliwymi zrządzeniami losu, zaś najlepiej — immanentnymi cechami marnie urządzonego, lecz niestety nieuchronnie realnego świata. Do kogo mieć pretensję o niszczący huragan? Czyż ktokolwiek rozsądny obwinia wilka, że pożera i gryzie? Lepiej poszukać bezpiecznego schronienia.

W ten sposób silny — choćby i krzywdzący — jawi się nie tyle lepszym i bardziej znośnym, ile nieodwołalnym. Nie zdobywa sankcji moralnej, prawnej czy jakiegokolwiek innej, ale nabiera mocy realiów i wyrastając w ten sposób wysoko ponad nieprzydatne tu tradycyjne wartości, może pozwolić sobie nawet na porozumiewawcze „oko” do pokrzywdzonych, uśmiechając się do nich zadowoloną z siebie gębą któregoś ze swych aroganckich rzeczników.

Potępiać, wołać o opamiętanie? Apelować do uczuć i wartości? Nie moja to rzecz, zresztą i tak nie potrafię. Rejestruję tylko styl myślenia rozpowszechniający się w dzisiejszej Polsce, obserwuję postępy jego cichej osmozy. Sam staram się być rozsądnym, więc pewnie mu ulegam.

Jerzy SURDYKOWSKI

Kraków, czerwiec 1986

Pojęcia i gwóźdź

(PRAWICA — LEWICA, CZĘŚĆ II)

Ten tekst jest dalszym ciągiem artykułu: *Jaka prawica jest Polsce potrzebna* (Kultura nr 6, 1986). Przypomnę, o czym mówił pierwszy tekst (ten o prawicy) i jak był skonstruowany.

Na pytanie o prawicę można nie odpowiadać, uważając, że prawica nie jest Polsce w ogóle potrzebna. Nie uważam, aby tak było, więc na pytanie odpowiedziałem.

Aby odpowiedzieć na przytoczone pytanie, pożytecznie jest wiedzieć, co to jest prawica, umieć ją poznać i co najmniej niekiedy umieć powiedzieć, który z dwu poglądów lub które z dwu działań uważa się za bardziej prawicowe od drugiego.

We wspomnianym tekście przez politykę prawicową rozumiałem taką, która zmniejsza zakres upaństwowienia, a przez lewicową — taką, która ten zakres zwiększa. Tak rozumiałem pojęcia lewicowości i prawicowości, że z dwu polityków lub dwu ruchów politycznych bardziej lewicowy jest ten, który chce więcej upaństwowić. Ten, który chce upaństwowić mniej, jest bardziej prawicowy.

Zróznicowanie pod względem lewicowości i prawicowości może dotyczyć działań lub projektów tego samego zespołu, może dotyczyć ludzi zaliczanych do tego samego większego obozu politycznego. Na przykład wśród tych, którzy określają się jako socjaliści lub socjaldemokraci, są tacy, którzy chcą upaństwowić więcej, i tacy, którzy chcą upaństwowić mniej. Zwolennicy większego upaństwowienia są bardziej lewicowi (w rozumieniu słów przyjętym we wspomnianym artykule). Jeśli więc socjaliści francuscy chcą upaństwowić więcej niż socjaldemokraci szwedzcy, to — przy wspomnianym rozumieniu terminów — ci z Francji są bardziej lewicowi, ci ze Szwecji bardziej prawicowi.

Wyjaśniam to, aby (w razie potrzeby) ułatwić zrozumienie, że pożytecznie jest zdecydować się, w jakim znaczeniu używa się słów. Łatwo stwierdzić, że słowa *prawica* i *lewica* używane są w różnych znaczeniach.

Czasem lewicę i prawicę definiuje się szanując przekonania ludzi. Mówi się: jest lewicowy (albo prawicowy) ten, kto za takiego się uważa i za takiego jest uważany. Kłopot polega na tym, że co według jednych jest lewicą (albo prawicą) — nie jest nią według innych. Zwłaszcza socjaliści niekiedy chcą odrzucić komunistów poza lewicę. Można więc próbować znaleźć właściwości (przede wszystkim poglądy) w znacznej mierze wspólne dla znacznej części ludzi uważanych za lewicę (albo prawicę).

Istnieją wielowymiarowe definicje lewicy i prawicy: uwzględniające jednocześnie rozmaite właściwości (w tym poglądy o różnych tematach), czasem te właściwości są dość luźno związane ze sobą, wtedy można być lewicowym (albo prawicowym) pod jednym względem, a pod innym nie.

Niekiedy lewicę i prawicę określa się formalnie, a nie treściowo, na przykład lewica miałaby dążyć do zmiany, prawica zaś podtrzymywać *status quo*, lewica miałaby być krytyczna a prawica skłonna do aprobaty. Kryteria te jednak wydają się o tyle mało naturalne, że potocznie rozumiana prawica jedne urządzenia społeczne chciałyby aprobować i podtrzymywać, inne — nie. Próbuje się więc wskazać, jakie *status quo* prawica chce podtrzymywać; takie określenie przestaje być formalne.

Niektóre określenia dotyczą dziedziny zainteresowań: lewica miałaby być wrażliwa na sprawy moralne (zwłaszcza w gospodarce), odczuwać krzywdę społeczną, prawica miałaby być w tej

sprawie obojętna, natomiast interesowałaby się prawem i innymi niż lewica aspektami gospodarki: raczej wytwarzaniem, gdy lewica raczej podziałem tego co wytworzone (ale mówiło się też o *industrializacji socjalistycznej*, przypisując lewicy zainteresowanie produkcją).

Według niektórych określeń lewica popiera rewolucję, prawica — ewolucję, według nieco innych definicji lewica byłaby zwolenniczką innowacji, prawica — tradycji (zróznicowanie dotyczy skłonności do uznawania, że tradycja może być wartościowa po prostu dlatego, że jest tradycją).

Niekiedy określając lewicę i prawicę nie mówi się o poglądach i celach politycznych, ale o cechach charakteru i postawach psychicznych, które uważa się za lewicowe lub prawicowe (albo będące u podstaw lewicowości lub prawicowości). Na przykład lewica miałaby składać się z zawistników i nie lubić, gdy inni czują się zbyt dobrze, albo (wedle innych autorów) składałaby się z ludzi twórczych — w przeciwieństwie do nietwórczej i skostniałej prawicy. Mówi się też, że lewica ma poczucie humoru, prawica zaś miałaby być go pozbawiona. Według innego poglądu byłaby to różnica rodzaju: poczucie humoru lewicy byłoby bardziej wschodnioeuropejskie, zaś prawicy — nie każdej zresztą — bliższe angielskiemu. Dla niektórych lewica to optymiści, gdy prawica jest pesymistyczna (ale Lenin — uważany często za lewicowca — optymista w sprawie możliwości przebudowy społecznej, pod pewnym względem był pesymistą: nie był zadowolony z ludu, który, według niego, był zacofany, potrzebna więc była dyktatura i partia bolszewicka w roli przewodnika).

Istnieją filozoficzno-eschatologiczne określenia lewicy (która chce zbudować Królestwo Boże na Ziemi) i prawicy (wierzącej w grzech pierworodny). Prawica miałaby też uważać, że natura ludzka jest mniej więcej stała, lewica, że sporo w niej można zmienić.

Niektóre odróżnienia dość luźno wiążą się z poglądami społecznymi: na przykład lewica ma być ateistyczna, prawica religijna. Czasem mówi się też, że lewica jest antyklerykalna. A z zupełnie innej dziedziny: lewica miałaby być antyamerykańska i popierać kraje Trzeciego Świata, prawica — być proamerykańska. Można uważać, że po takich reakcjach nietrudno lewicę poznać, ale że nie są to reakcje niezbędne ani wystarczające, by zaliczyć kogoś do lewicy.

Nic w tym złego jeśli określeń jest wiele: jest w czym wybierać. Jeśli jednak ktoś chce dołączyć swój głos do dyskusji, dobrze jest sprecyzować, o czym się mówi. Wybrałem określenie lewicy i prawicy ze względu na pożądany i osiągnięty stopień upaństwowienia. Co do innych spraw można sprawdzać, czy i jak są związane z kryterium zakresu upaństwowienia, tak jak można sprawdzać, co jest związane z lewicowym samookreśleniem. Na przykład ludzie uważający się za lewicę występują często w polityce zagranicznej przeciw rządowej polityce amerykańskiej lub uważają za *postępowe* te dyktatury w Trzecim Świecie, które

same się za takie uważają. Są to skłonności, nie trzeba uznawać, że na mocy definicji muszą to być poglądy powszechnie przez lewicę podzielane.

Z lewicą lub prawicą związane są obrazy i symbole: czerwony sztandar ma być lewicowy, krzyż — prawicowy. Nie jest to jednak odróżnienie oczywiste, te wybory i odrzucenia można badać, nie uważając ich za definicyjne kryterium lewicowości i prawicowości. Wiadomo w każdym razie, że lewicowców na Zachodzie denerwował krzyż, portret papieża i biało-czerwone sztandary na bramie Stoczni Gdańskiej.

Lewica może nie lubić niektórych słów — na przykład słowa *antykomunizm* (*nie ma wrogów na lewicy*). Ale to też nie jest konieczne.

Decyzja, że przez prawicę i lewicę rozumie się to a nie co innego, jest sprawą, której zrozumienie sprawia niekiedy trudności. Zdarzają się też trudności w rozumieniu określeń, polegające na tym, że ktoś łatwiej posługuje się słowami w celu *klasyfikowania* (zaliczania do prawicy i lewicy) niż w celu *porównywania* (pod względem lewicowości i prawicowości).

Pisałem w artykule, że Polsce potrzebna jest prawica, bo Polsce potrzebne jest mniej upaństwowienia. Jaka prawica? Odpowiadałem: areligijna (polityczno-gospodarcza, a więc nietożsama z Kościołem jako instytucją religijną), aideologiczna i niedogmatyczna, nienacjonalistyczna (taka, której celem zasadniczym nie byłoby zwalczanie mniejszości), otwarta na świat i chcąca wiedzieć co się na świecie dzieje, tolerancyjna. Dlaczego? Między innymi dlatego, że ta, którą uważam za mniej potrzebną, już bywała, można ją było znaleźć, skrzyknąć, zorganizować. Wśród rzeczy i spraw potrzebnych, może potrzebniejsze od innych są te, których jest mniej, które trudniej uzyskać lub zbudować.

Słowa *socjalizm*, *socjalista*, *socjalistyczny*, tak jak *lewica* i *prawica*, mienią się znaczeniami. Podobnie jak w przypadku lewicy i prawicy, można uważać za socjalistów tych, którzy sami się za takich uważają lub którzy za socjalistów są uważani, i podobnie jak w tamtym przypadku, nie ma w tej sprawie zgody: co dla jednych jest socjalizmem, dla innych nim nie jest. *Socjalizmu realnego* niektórzy socjaliści nie uważają za socjalizm, ale inni powiedzą, że jest to jedna z odmian albo co najmniej krok na drodze do prawdziwego socjalizmu (na przykład z racji ograniczenia własności prywatnej).

Socjalizm to niekiedy idee i pragnienia, wyrażenie woli, krzyk protestu, żądanie naprawy. To wybór solidarności, bardziej robotniczej niż innej (ale nie zawsze sprawa się do solidarności robotniczej ogranicza). To obrazy i symbole, wybrane tradycje, skądinąd kojarzone z lewicą: wspomniany już czerwony sztandar, zaciśnięta pięść (rysowana czasem z kwiatkiem), pieśni rewolucyjne, bohaterskie postacie, wydarzenia z przeszłości, które uważa się za własne i szczególnie istotne. To pewien obraz odrzucanego i wybranego ładu społecznego. Słyszany też o *socjalizmie naukowym*. Na ogół tej ostatniej nazwy używają jego zwo-

lennicy, podczas gdy przeciwnicy mówią, że z nauki można korzystać, ale że socjalizmu naukowego jeszcze nie widzieli i że — przy zwykłym rozumieniu słowa *nauka* — doktryna, która wybiera i wyznacza cele, może się nauką posługiwać, ale nie może być *naukowa*.

Socjaliści, tak jak socjaldemokraci, różnili się i spierali między sobą. Partia Lenina i partia Róży Luksemburg nazywały się socjaldemokracją, ale Róży Luksemburg (tuż przed śmiercią) nie podobały się osiągnięcia Lenina (rewolucja rosyjska), obydwójce zaś nie aprobowali socjalistów polskich domagających się niepodległości (Róża Luksemburg zwalczała niepodległość Polski teoretycznie, Lenin — w praktyce). Nie spodobałoby się im także socjaldemokraci współcześni — za to choćby, że dbają o demokrację i że gotowi są oddać władzę. Lenin wysłałby im wiązanek epitetów, napisałby, tak jak miał w zwyczaju, że to reformiści i rewizjoniści, że zdradzają interesy klasy robotniczej i wysługują się burżuazji.

Bez względu na wieloznaczność słów, intelektualiści często chcą i lubią być lewicowcy i socjalistyczni. By ułatwić im życie, tworzy się pojęcia lewicy i socjalizmu jako czegoś dobrego (*socjalizm to dobra rzecz*). Jeśli coś jest złe, nie może być lewicą ani socjalizmem.

Etymologicznie i historycznie socjalizm to uspołecznienie, przede wszystkim w gospodarce: ziemi, bogactw naturalnych, środków produkcji, handlu, komunikacji, opieki społecznej, medycyny, oświaty, nauki, informacji, kultury, wychowania. Aprobata tych uspołeczeń nie jest powszechna. Uważa się, że co najmniej część spośród nich przynosi sporo niekorzystnych skutków. Co zatem robić?

Sięga się po ratunek pojęciowy. Stwierdza się, że jeśli gdzieś jest niedobrze, nie ma tam socjalizmu ani uspołecznienia (lub prawdziwego uspołecznienia), choćby na przykład nacjonalizowano (upaństwowiano) w celu uspołecznienia i w zgodzie z *teoriami socjalistycznymi*. *Teorie* mówią o tym, że wartość tkwi w pracy, że kapitaliści zagrabiają wartość dodatkową, że własność prywatna i chęć zysku przyczyniają się do zubożenia klas wyzyskiwanych, i wobec tego uspołecznienie jest niezbędne. Szczegółowa dyskusja na ten temat zabrałaby dużo miejsca. W każdym razie silne antagonizmy społeczne często rzeczywiście występują, ale zwłaszcza w krajach komunistycznych, gdzie władcy już sporo upaństwowili.

Odróżnienie uspołecznienia i upaństwowienia ma sens i jest prawdą, że jeśli upaństwowienie ma być drogą do uspołecznienia (ma ułatwiać społeczny wpływ na decyzje), to państwo powinno być demokratyczne i nie powinno wtrącać się do wszystkiego. Dlatego można twierdzić, że socjalizm (jako tendencja do uspołecznienia) wymaga demokracji. Trudniej jest dopatrzeć się sensu w powiedzeniu, że demokracja wymaga socjalizmu (bo to zależy od opinii większości: jeśli większość nie chce socjalizmu, to brak socjalizmu jest w zgodzie z demokracją).

Współczesne socjalistyczne partie i ruchy ideowo-polityczne zdają sobie sprawę ze sprzeczności praktycznych i konfliktów: na przykład między równością i wolnością (gdy zwiększa się równość, zmniejsza się wolność), między równością a rozwojem gospodarczym, między doktryną (przewidującą upaństwowienie i równość) a potrzebami praktycznymi. Stąd ustępstwa, raz na rzecz praktyki, raz doktryny (jeśli się chce być z nią w zgodzie). Zdarzają się konflikty między demokracją a wolnością (socjaliści często jedno i drugie aprobują i te konflikty rozumieją). Większość może zażądać deportacji lub jeszcze ostrzejszych działań wobec mniejszości; demokratyczne decyzje (zgodne z wolą większości) niekoniecznie szanują wolność. Chęć reprezentowania *klasy robotniczej* i jej interesów jest co najmniej niekiedy w konflikcie z reprezentowaniem *ludu*, narodu lub kraju (to zależy między innymi od proporcji robotników; gdy socjaliści sprawują rządy, często są skłonni uwzględniać interesy ogólniejsze). Interes własnego kraju bywa w konflikcie z innymi wartościami (by chronić własny kraj, trzeba niekiedy występować przeciw innym). Socjalizm, który rozumie takie konflikty, nie jest jednolity, jest gotów z socjalizmu (uspołecznienia lub upaństwowienia) ustępować i przyjmować inne cele i wartości (a wśród nich — cele i wartości wzajemnie konfliktowe, ograniczające się wzajemnie).

Fredro napisał bajkę o gotowaniu zupy z gwoździa. Zadanie — wydawałoby się — trudne, ale wystarczy dodać inne składniki. Na tej zasadzie do socjalizmu dodaje się cele i wartości charakteryzujące inne ruchy społeczne (mogą się temu dziwić doktrynerzy, ideolodzy i planiści życia społecznego, którzy dokładnie wiedzą, jak społeczeństwo powinno wyglądać). Socjaliści zgadzają się z liberałami, demokratami, narodowcami, niepodległościowcami: aprobują pluralizm i demokrację, szanują wolność, uprawnienia mniejszości, własność prywatną i prawo, dbają o interesy narodu, kraju i państwa, mniej natomiast, i nie tak bezwarunkowo, mówią o socjalizacji — uspołecznieniu, co w historii (i w zgodzie z etymologią) miało być celem, który ich charakteryzuje i odróżnia od innych ugrupowań i tendencji politycznych.

W ten sposób socjalizm jest eklektyczny i dostosowuje się do życia społecznego, które — zwłaszcza poza armią i więzieniem — jest właśnie eklektyczne: barwne, nieregularne, niezgodne z pomysłami planistów.

Socjalizm, który dba jednocześnie o różne sprawy, miał niekiedy kłopoty z własnym dziedzictwem, z wypracowaną poprzednio frazeologią, z odziedziczoną doktryną. Ten socjalizm nie zawsze chciał się do swej niejednorodności i do zapożyczeń przyznać, powtarzał niestosowane już w praktyce hasła głoszone poprzednio, opierał się przed ich zmianą. Gdy Bernstein wprost formułował kolejne odstępstwa od doktryny, powiedziano mu: *to się robi, tego się nie pisze*.

Czy socjalizm jest Polsce potrzebny? Dzięki demokracji i wpływowi na decyzje państwowe można odstępować od etatyzmu, można też zmniejszać wszechwładzę państwa dzięki komunalizacji

cji i decentralizacji własności państwowej. Takie możliwości społeczeństwa i takie zmiany własności nazywa się niekiedy socjalizmem. Można też socjalizmem nazywać reprezentowanie polityczne pracowników lub nawet dokładniej — robotników (co wykracza poza zwykłe zadania związków zawodowych). Socjaliści polscy potrafili w przeszłości nie być doktrynerzy i wyznawać więcej niż jedną wartość. Partia Piłsudskiego walczyła przede wszystkim o niepodległość, partia Pułaka o niepodległość, wolność i demokrację. Socjalizm nielewicowy może być jednym ze sposobów ograniczania despotyzmu państwowego. W tej roli socjalizm może być Polsce potrzebny. Taki, który zawierałby sporo ingrediencji niespecyficznie socjalistycznych.

Jakub KARPIŃSKI

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 415 — DOKUMENTY

PROTOKOŁY TZW. KOMISJI GRABSKIEGO

TAJNE DOKUMENTY PZPR

Opracowanie i wstęp Grażyny Pomian

Przesłuchania: Edwarda Babiucha, Edwarda Gierka, Zdzisława Grudnia, Mieczysława Jagielskiego, Piotra Jaroszewicza, Stanisława Kowalczyka, Jerzego Łukasiewicza, Tadeusza Pyki, Franciszka Szlachcica, Jerzego Pińkowskiego, Jana Szydłaka i Tadeusza Wrzaszczyka.
Str. 432. Cena F. 180,00.

TOM 421 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Zawiera m.in. opracowania: Alfa: *Koppa (Stanisław Mierwa — z cyklu „Rozmowy niekontrolowane”)*; D. Beauvois: *Polacy na Ukrainie 1831-1863*; St. Wachowiak: *Wojna i okupacja 1939-1945*; M. de Hernandez-Paluch: *Nie wiem co się z tym dzieje...* (Rozmowa z przedstawicielem Huty im. Lenina); *Wywiad z Władysławem Krasińskim*; Hugh Gibson: *Powrót do Warszawy*; *Protokoły przesłuchań wicemin. Skarbu J. Koźuchowskiego przed Komisją, powołaną przez gen. W. Sikorskiego do zbadania przyczyn klęski wrześniowej oraz obszerny dział RECENZJI i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 70,00.

14-9-86

Ks. Eugeniusz Plater, który od 1982 roku zajmuje się niezmiernie ofiarnie koordynacją pomocy charytatywnej dla Polski z ramienia Episkopatu polskiego, obchodzi 25-tą rocznicę przyjęcia święceń kapłańskich. Ks. Plater prowadzi do tej chwili Dom św. Antoniego w Paryżu, gdzie znajduje pomoc i schronienie wielu nowoprzybyłych z Kraju Polaków.

1-10-86

Redaktor naczelny londyńskiego *Dziennika Polskiego* i *Tygodnia Polskiego*, Mikołaj Szumski, odszedł z tego stanowiska. Na jego miejsce przyszedł Andrzej Czyżowski, były współpracownik Radia Wolna Europa. P. Szumski został wybrany na członka Rady Powierników Polskiej Fundacji Kulturalnej.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W umowach zbiorowych między przedsiębiorcami konfekcyjnymi a związkami zawodowymi zakazuje się wszelkiej pracy w mieszkaniach robotników. Wielkie przedsiębiorstwa konfekcyjne rozdzielają swe zamówienia kontraktorom-właścicielom małych fabryczek zatrudniających zwykle około dziesięciu osób — przeważnie kobiety. Wykończona odzież wraca następnie do wielkiego przedsiębiorcy. W ciągu ubiegłych 40-50 lat technologia w przemyśle krawieckim zmieniła się tylko minimalnie. Dopiero ostatnio technologia wkracza w tę dziedzinę wytwórczości. Nowe urządzenia, które zaproponowano przemysłowi krawieckiemu, pozwalają na to, by robotnik produkował rozmaite części odzieży nie opuszczając swego mieszkania. Instalacja znajdująca się w jego mieszkaniu przesyła impulsy do urządzeń znajdujących się w jego dawnym zakładzie pracy, w którym obecnie pracować będzie kilku techników dozorujących cały proces. Robotnik pracujący w domu jest nadawcą a wykwalifikowani technicy w fabryce — odbiorcami. Projekty te wywołały na wysokich szczeblach związkowych gwałtowny sprzeciw. W szczególności ILGW (Międzynarodowy Związek Robotników Konfekcji Damskiej) w osobie Sekretarza i Skarbnika Związku Jay Mazura uznał, że nowa technologia grozi interesom robotników. Czy tak będzie — przyszłość okaże. Na razie zagraża ona związkom. Organizatorzy związkowi zawsze mieli prawo wstępu do każdej niezrzeszonej fabryki, by namawiać jej pracowników do wstąpienia do związku. Niezależnie od tego w zakładach objętych umową zbiorową mogli rozmawiać z robotnikami, wysłuchując wielu słusznych lub niesłusznych skarg na pracodawcę. Umowy zbiorowe dawały związkowi prawo ścigania z listy płac około 16 do 18 %. Tak było kilka lat temu. Na tych dochodach i na składkach związkowych płaconych przez robotników związki bazowały swoje istnienie. Bez tego haraczu nie byłyby w stanie utrzymywać swej rozbudowanej biurokracji. Te 16 czy 18 % plus członkowskie składki mogą nadal wpływać do kas związkowych nawet przy zastosowaniu nowej technologii, która prawdopodobnie zwiększy ilość wyprodukowanego towaru, obniżając kosztą robocizny. Ale właśnie tego nie życzy sobie związek. Jego inspektorzy nie będą mogli nakłaniać niezrzeszonych, by się zrzeszyli. Poza tym organizowanie strajku będzie praktycznie niemożliwe. Nasuwa się pytanie: co dalej? Od wielu lat związki, które kiedyś skutecznie walczyły i wywalczyły elementarne prawa robotnicze, od dawna weszły w fazę instytucjonalizacji. Jest to w zasadzie los każdej organizacji, która zrodziła się, by wcielić w życie jakieś ideały, z czasem staje się strażniczką swoich własnych interesów. Dlatego Jay Mazur — ważna osobistość w ILGW — sprzeciwia się wprowadzeniu nowej technologii do przemysłu konfekcyjnego. Jeśli jednak

związki osiągną sukces i utrzymają przestarzałą organizację produkcji, nowa technologia znajdzie się bardzo szybko w Tajwanie, Południowej Korei a co gorsza w Japonii. Obecna sytuacja amerykańskich związków zawodowych nie jest bynajmniej wesoła. Wśród kilkudziesięciomilionowej masy robotników tylko 8 % jest zrzeszonych. ■ Sytuacja na froncie walki z narkotykami bardzo się ostatnio pogorszyła, ponieważ na rynek wszedł nowy produkt tzw. „Crack”. Jest to kokaina zmieszana ze zwykłą sodką do pieczenia, która z wielokrotnia jej działanie, a co gorsza — po jednorazowym zażyciu staje się nałogiem.

Zbigniew BYRSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Z inicjatywy Kongresu Polonii Kanadyjskiej odbył się „maraton” telewizyjny — zbiórka na pomoc dla Polski w związku z katastrofą w Czernobylu. Przez godzinę stacja w Buffalo przyjmowała telefoniczne zgłoszenia z Kanady, głównie z prowincji Ontario. W ciągu tej godziny po obu stronach granicy zadeklarowano 45 tys. dolarów. W zbiorce telewizyjna, ale już bez udziału Kanady, trwała dalsze dwie godziny i ogółem zebrano 75 tys. dolarów, które zostaną przekazane Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski. ■ Premier Mulroney przeprowadził pewne zmiany w składzie rządu, przygotowując się już do wyborów, które powinny się odbyć za dwa lata. Wicepremierem, prezesem Privy Council i przywódcą większości w Izbie Gmin został dotychczasowy minister transportu — Donald Mazankowski, pochodzenia polskiego. Sekretarzem Stanu i ministrem wielokulturowości został były mayor Toronto, David Crombie. ■ Na scenie U.C. Playhouse w Toronto zespół młodych aktorów prezentował od 12 do 24 sierpnia bież. roku obrazy dramatyczne stanu wojennego w Polsce pt. „Restoration of Order” („Przywrócenie porządku”) w układzie i reżyserii Markowi Łukasiewiczowi, dziennikarzowi i współdzierzący swoje powstanie Markowi Łukasiewiczowi, dziennikarzowi i współpracownikowi dziennika *Globe & Mail* w Toronto, który był w Polsce w chwili ogłoszenia stanu wojennego. W okresie stanu wojennego uczestniczył on w przedstawieniach tzw. teatru domowego. Po powrocie do Toronto przetłumaczył, skoorwiewione teksty oraz zapisy reżyserskie i inscenizacyjne zrealizował to na scenie. ■ Kasa Kredytowo-dynowała całość, a Heatcote zrealizował to na scenie. ■ Kasa Kredytowo-Pożyczkowa (Credit Union) parafii św. Stanisława - św. Kazimierza w Toronto — największa polonijna instytucja finansowa — osiągnęła w sierpniu br. 100 mln dolarów wkładów. Powstała ona w 1945 roku z inicjatywy ks. Stanisława Puchniaka, ówczesnego proboszcza parafii św. Stanisława. ■ Przed siedzibą konsulatu generalnego PRL w Toronto 22 lipca br. odbyła się demonstracja, zorganizowana przez Kongres Polonii Kanadyjskiej, Okręg Toronto, Z.N.P.-K., Federację Polek w Kanadzie, Centralny Komitet Organizacji Weterańskich i Polish-Canadian Action Group dla zmanifestowania łączności z więzionymi działaczami opozycji w Polsce. ■ Na zaproszenie Konferencji Polskich Księży i Episkopatu Kanady przybędzie 7 października bież. roku z wizytą Prymas Glemp. W ciągu 10-dniowego pobytu Prymas odwiedzi ośrodki polonijne w Ottawie, Toronto, Hamilton, Brantford i Missauga w prowincji Ontario, Edmonton i Calgary w prowincji Alberta, Vancouver w British Columbia oraz Montreal w Quebecu. Ks. Antoni Mendrela, prowincjał o.o. oblatów i przewodniczący Konferencji Polskich Księży wschodniej Kanady zapewnia, że wizyta Prymasa będzie miała charakter wyłącznie duszpasterski.

B. H.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Paryż, 31 sierpnia 1986.

Czytelnik prasy zachodniej przyzwyczajony jest od lat do artykułów wyszukujących „liberałów” i „twardogłowych” w PZPR. Istnieje nawet pewna prawidłowość, wedle której „liberałami” są zawsze pierwsi sekretarze PZPR, którym Zachód powinien pomagać, by do władzy nie doszli „twardogłowi”.

Podobne artykuły ukazują się także po 13 grudnia 1981 roku. Wedle nich generał Jaruzelski miałby być jednym z liberałów, którego należy ratować zachodnimi kredytami i przyjęciem PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego przed zagrożeniem ze strony „twardogłowych”, potworów zapewne, może nawet komunistów. Jedyna różnica między okresami przed i po 13 grudnia — to ta, że dziś trochę mniej jest dziennikarzy i politologów, którzy publicznie głoszą tezę o liberalizmie Jaruzelskiego.

Z tym większym zaskoczeniem wysłuchałam audycji „Fakty, wydarzenia, opinie” Radia Wolna Europa 20 sierpnia 1986 roku. Ciepły, budzący zaufanie głos dzielił się ze słuchaczami „kolejną zachodnią opinią” na temat tego, co dzieje się w Polsce. Opinia ta, jak podano, ukazała się w *New York Times*’ie. Narrator, używając kilkakrotnie zwrotów „autor”, „według autora”, „pisze *New York Times*” i „stwierdza *New York Times*”, zajmował się kolejną „zachodnią koncepcją” używania marchewki i kija. Skoro, wedle „zachodniej opinii”, generał Jaruzelski jest obłączony przez „twardogłowych”, którzy mają mu za złe „liberalną” politykę (tu *New York Times* miał wymieniać budowę kościołów, otwartą politykę paszportową i „niemożność uporać się z prasą podziemną”), to Zachód powinien natychmiast ofiarować generałowi Jaruzelskiemu „marchewkę”, co umożliwiłoby mu dostarczenie do wodów... — nie wiem na co, bo w tym miejscu liberalny generał Jaruzelski uniemożliwił mi odbiór rozgłośni.

Dla niewtajemniczonych wyjaśnię, że *New York Times* zamieszcza bądź artykuły podpisane imieniem i nazwiskiem, bądź artykuły redakcyjne, na ogół określane jako takie przez RWE. Tym razem zastanowiło mnie, że wyraźnie nie był to artykuł redakcyjny, istniał jakiś autor, którego nazwiska RWE nie ujawniała, sugerując, że jest to kolejna „zachodnia opinia”. Zajrzałam więc do *New York Times*’a. Na taki luksus nie mogą sobie zwykłe pozwolić słuchacze RWE w Polsce.

Przyznam, że spodziewałam się, że na stronie „wolnych opinii”, gdzie umieszcza się artykuły o rozmaitych zabarwieniach politycznych, z obroną Khadaffiego i atakami na Reagana włącznie (artykuły takie nie reprezentują polityki redakcyjnej), znajdę artykuł podpisany przez kogoś z polonijnych politologów, którzy mają zwyczaj namawiać, aby wręczać (cudzą) marchewkę Gomułce, Gierkowi i Kani. Niewiele się omyliłam. Nie ujawnionym przez RWE autorem, reprezentantem „zachodniej opinii” okazał się Milan Svec, scharakteryzowany przez *New York Times* w następujący sposób: „Milan Svec, były czeski dyplomata i student moskiewskiego Instytutu do

Spraw USA i Kanady uciekł do Stanów Zjednoczonych w 1985 roku. Obecnie jest senior associate w Fundacji Carnegie na Rzecz Międzynarodowego Pokoju”. Artykuł rzeczywiście wydrukowano na stronie „wolnych opinii”.

Miejmy nadzieję, że gdy Daniel Passent zamieści artykuł na tej stronie *New York Times*’a, co mu się już w przeszłości zdarzało, RWE nie nazwie tego w „Faktach, wydarzeniach, opiniach” „kolejną zachodnią opinią” lub „stwierdzeniem *New York Times*’a”.

Rysownik *New York Times*’a chyba poznał się na panu Svecu. Ilustracja do artykułu przedstawia dwu jeźdźców. Jeden siedzi na strusiu, który schował głowę w piasek, drugi na potworze, szczerzącym zęby. Ten na strusiu podaje temu drugiemu pieniądze. To jest pewnie „marchewka” dla potwora, o której pisze pan Svec. Jego opinie wydrukowała redakcja *New York Times*’a, ale nie są one aż tak bardzo zachodnie.

Łączę wyrazy szacunku

Irena LASOTA

Kraków, 26 czerwca 1986.

Nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu ukazała się ostatnio pozycja: „Protokoły tzw. Komisji Grabskiego. Tajne dokumenty PZPR” („Biblioteka Kultury”, Seria „Dokumenty” Nr 50). W przedmowie do tej książki Pani Grażyna Pomian pisze: „Protokoły tzw. komisji Grabskiego zgodnie z obawami jej przewodniczącego wydoszły się z pancernych kas Komitetu Centralnego. Wydał je jako prawdziwy druk samizdatowy Krakowski Komitet Przeciw Przemocy”.

Informacja ta jest błędna i myląca. Struktura o nazwie wymienionej we wstępie nie istnieje, jakkolwiek zachodzi wyraźne podobieństwo z nazwą działającej w Krakowie Obywatelskiej Inicjatywy „Przeciw Przemocy”, która jednak z wydaniem „Protokołów” nie ma nic wspólnego. Prawdą jest natomiast, że „Protokoły” po raz pierwszy i — o ile nam wiadomo — jedyny zostały w kraju opublikowane pod tytułem „PZPR o sobie staraniem Małopolskiego Komitetu Walki o Praworządność przez Wydawnictwo „Kraków”. Rzecz miała się następująco: jesienią 1984 roku Małopolski Komitet Walki o Praworządność wszedł na kilka godzin w posiadanie przedmiotowego tekstu. W tym krótkim czasie udało się zrobić odbitki kserograficzne całości liczącej ok. 700 stron i oryginał zwrócić. Następnie, ponieważ obawiano się, aby wskutek np. przypadkowej rewizji materiału bezpowrotnie nie stracić postanowiono go „rozmnożyć”. Najpierw zaczęto przepisywać na maszynie w pięciu kopiach. Gdzieś w połowie tej pracy uznano, że pięć egzemplarzy to zbyt mało, aby mieć absolutną pewność, iż tekst dotrze za granicę we właściwe ręce. Zarzucono więc to przepisywanie i zaczęto od nowa przepisywać na matrycach białkowych. Kiedy to zrobiono, zlecono Wydawnictwu „Kraków” druk i oprawę. Wydrukowano pewną ilość egzemplarzy, zbyt małą na szerszy wewnętrzny kolportaż, ale gwarantującą skuteczną wysyłkę tekstu.

W maju 1985 roku odwiedziła Pana przebywającą okresowo w Paryżu Pani, która awizowała starania Komitetu w sprawie przekazania tekstu, co wkrótce potem nastąpiło. Tego wszystkiego P. Grażyna Pomian zapewne nie wiedziała i nie o to też chodzi. Natomiast na wszystkich wydanych w Krakowie tekstach umieszczono tłustym drukiem nazwę Komitetu i nazwę Trudno więc wytłumaczyć, skąd w wydaniu Instytutu Literackiego wzięła się nazwa „Krakowski Komitet Przeciw Przemocy”. Podkreślamy to szczególnie mocno nie tylko ze względu na prawdę historyczną, lecz głównie ze Wydawnictwa. RWE czytając w odcinkach ten tekst zawsze to zaznaczało.

względem na to, że zbliżona nazwą Inicjatywa Obywatelska „Przeciw Przemocy” ogłosiła w swoim czasie nazwiska swych członków, którzy wskutek nieodpowiedzialności P. Pomiana mogą być narażeni na poważne konsekwencje.

Pani Grażyna Pomian nie podaje tytułu krakowskiego wydania, nie wspomina również, że śródtytuły „zapożyczyła” z redakcji krakowskiej, przypisując wyłącznie sobie opracowanie i przygotowanie do druku. Na marginesie pragniemy zaznaczyć, że budzi naszę wątpliwość zastosowana przez P. Pomian metoda opuszczenia niektórych charakterystycznych zwrotów i „poprawienia” stylu. Decydując o wydaniu tekstu bez tego rodzaju poprawek wychodziliśmy z założenia zachowania maksymalnej wierności z oryginałem w trosce o rzetelność przekazu historycznego. Skoro obecnie ukazuje się on w serii „Dokumenty”, to warto było wziąć to także pod uwagę. P. Pomian (za RWE) „dorobiła” do tekstu indeks nazwisk, nie ma ich za dużo, lecz nie ustrzegła się od błędów — np. jednemu z nielicznych premierów PRL było na imię Józef, a nie Jerzy (str. 426). Obawiamy się, że takich błędów w obszernym tekście może być więcej. Są to jednak rzecz jasna drobiazgi wobec faktu dezinformacji co do źródła przedruku publikacji — co nie powinno mieć miejsca w wydawnictwie tak zasłużonym dla kultury polskiej, jak Instytut Literacki.

Prosimy uprzejmie o opublikowanie niniejszego sprostowania na łamach *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* oraz o usunięcie powyższych nieścisłości w następnych wydaniach „Protokołów”.

Z wyrazami szacunku

z upoważnienia
Małopolskiego Komitetu Walki o Praworządność
oraz Wydawnictwa „Kraków”

Wacław MAJEWSKI

Antony, 5 września 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po zapoznaniu się z listem pana W. Majewskiego uważam za konieczne wyjaśnienie pewnych poruszonych w nim spraw.

O istnieniu „Protokołów” dowiedziałam się z Radia Wolna Europa, skąd dostałam egzemplarz, który dostarczyłam Instytutowi Literackiemu i na tej podstawie zapadła decyzja o ich wydaniu. O ile wiem, żaden inny egzemplarz nie wpłynął do Instytutu podczas przygotowywania „Protokołów” do druku. Posiadany przeze mnie egzemplarz, *nota bene* bez strony tytułowej, był zbiorem nie najlepiej powielonych kartek, gdzie trudno było dopatrzeć się jakiegokolwiek opracowania redakcyjnego, a nawet zwyczajnej korekty, sądząc po pozostawionych błędach ortograficznych. Chyba, że za opracowanie tekstu uznamy dwu i pół stronicowy wstęp, który nie zawierał żadnych informacji podanych w liście pana Majewskiego, oraz wprowadzenie śródtytułów będących cytatami z wypowiedzi osób odpowiadających przed Komisją. Niektóre z tych tytułów-cytatów zachowałam w swoim opracowaniu.

Moja praca nie ograniczyła się ani do „wygładzenia” tekstu ani do „dorobienia” indeksu nazwisk, którego zresztą nie ma: są natomiast krótkie notki biograficzne członków Komisji Grabskiego i osób przez nią przesłuchiwanych. Niedopatrznie w korekcie sprawiło, że Józef Pińkowski zamienił się w jednym miejscu w Jerzego; ocenę zasadności wniosku, że takich błędów może być więcej, pozostawiam czytelnikom, zwłaszcza tym, którzy mieli dostęp do obu wersji „Protokołów”.

O przyjętej przeze mnie metodzie opracowania tekstu pisałam we wstępie i nie chcę powtarzać podanych tam argumentów. Zaznaczę jedynie, że wątpliwy wydaje mi się kult „oryginału”, gdy ten ostatni jest transkrypcją taśmy dźwiękowej. Do transkrypcji takowej, jak każdemu wiadomo, wkładają się przeinaczenia i błędy nawet wtedy, gdy sporządzana jest w najlepszych warunkach, co w tym przypadku przecież nie mogło mieć miejsca.

Pozostaje sprawa najważniejsza: błędnego przypisania autorstwa krajowego wydania „Protokołów”. Bez karty tytułowej byłam zdana na informację, których nie mogłam sprawdzić. Słyszałam różne wersje, najczęściej powtarzał się Krakowski Komitet Przeciw Przemocy i Małopolski Komitet Walki o Praworządność. Wybrałam ten pierwszy. Przyznam, że nie rozumiem, jak mogę zaszkodzić komukolwiek przypisując wydanie „Protokołów” instytucji, która — jak pisze pan Majewski — nie istnieje. Niemniej przeto przepraszam wszystkich zainteresowanych za tę przykrą pomyłkę nie ze złej woli popełnioną i której nie omieszkałam poprawić, gdy nadarzy się sposobność po temu.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Grażyna POMIAN

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Andrzej Chilecki z nadzwyczajną skrupulatnością odnotowuje w swej „Kronice niemieckiej”, umieszczonej w *Kulturze* wszelkie wydarzenia, odnoszące się do zagadnień polsko-niemieckich. Oczywiście w nawale tej pracy nie może zagłębiać się we wszelkie szczegóły zauważonego problemu.

W ostatniej „Kronice” (*Kultura* nr 7/8, 1986) pisze: „Na konferencji Paneuropa-Union, zorganizowanej w Monachium, sprawy polskie referowali dr Herbert Czaja (CDU) i Tomasz Mianowicz (Monachium). Powoływano się często na artykuły opublikowane w paryskim *Kontakcie* (Maciej Rybiński i Stefan Krupiński)”.

Czytając to, trudno mi było uwierzyć, że sprawy polskie referował na pierwszym miejscu dr H. Czaja, prezes Związku Wyszędzonych Niemców z Polski, największy rewizjonista obok dr. H. Hupki, prezesa Ziomkostwa Śląskiego (obaj członkowie Bundestagu z ramienia rządzącej dziś w Niemczech Zachodnich partii CDU). Natomiast wcale nie byłam zdziwiona, że dr Czaja powoływał się na artykuł p. M. Rybińskiego pt. „Zwierciadło”, zamieszczony w *Kontakcie*. Artykuł ten jest pełen nieścisłości, niezgodny nie tylko ze stanem faktycznym, być może wyrażającym pobożne życzenia autora, raz ze stanem polemizowanym w *Kulturze* z artykułem nieznanym wszystkim jej czytelnikom, bo umieszczonym w innym piśmie. Moje uwagi posłałam do *Kontaktu*, a kopię załączam do wglądu Panu Redaktorowi *Kultury* Jerzemu Giedroycowi.

Polemizowałam już z p. Rybińskim na łamach prasy polonijnej. Nie wiem tylko, czy jest to jego prawdziwe nazwisko, czy przybrane. Nazwisko drugiego wymienionego autora, p. Stefana Krupińskiego, to pseudonim. I z nim już nieraz dyskutowałam na łamach prasy.

Szkoda, że p. Chilecki nie podał chociażby jednego przykładu, na jaki powołał się dr H. Czaja.

Z szacunkiem

Stefan MARCINKOWSKI

Wrocław, 30 sierpnia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule (j.a.) „Notatki z Polski” (*Kultura* nr 3/462) znalazły się dość zaskakujące stwierdzenia:

1. „Można więc przypuszczać, że nie grozi im (młodym z FMW) los NZS-u, który praktycznie przestał istnieć, ponieważ jego najaktywniejsi działacze zostali wchłonięci przez solidarnościowe podziemie” (str. 82).

2. „Ustępowanie ze stanowisk było zresztą praktycznie jedyną formą protestu środowiska akademickiego. Nie ruszyli się studenci, wyjąwszy tłumne pożegnania na Politechnice Warszawskiej prof. Findeisena oraz petycję Uniwersytetu Gdańskiego w obronie prof. Taylora. Tak więc władzy udało się wreszcie zrealizować pierwszy etap 'normalizacji' na uczelniach, do czego przyczyniała się od 13 grudnia 1981” (str. 82-83).

Odczucia autora mijają się z rzeczywistością.

Ad 1. Niezależne Zrzeszenie Studentów, zdelegalizowane już 5 stycznia 1982 roku jako pierwsza w stanie wojennym niezależna organizacja (jeszcze przed SDP i „Solidarnością”), zachowało we Wrocławiu ciągłość działania i struktur. W tej chwili istnieje na Uniwersytecie Wrocławskim, Politechnice, Akademii Rolniczej, Medycznej i Wychowania Fizycznego.

W roku akademickim 1985/1986 NZS Uniwersytetu Wrocławskiego wydał 19 numerów pisma *Komunikat*, z którego przedruki poza prasą wrocławską (*Z Dnia na Dzień*, *Solidarność Walcząca*, *Szkoła Podziemna*) zamieszczały też pisma warszawskie (np. *PWA*);

- wznowił wydawanie pisma *CDN*;
- wraz z kilkoma innymi strukturami rozpoczął wydawanie kwartalnika *Konkret* (ukazały się już 2 numery);
- Oficyna Wydawnicza NZS U.Wr. współwydała II krajową edycję „Nomenklatury” Woslenskiego;
- uczestniczył w pracach Rady Oświaty Niezależnej przy RKS regionu Dolnośląskiego;
- przeprowadził bardzo wiele akcji ulotkowych i malowania napisów (także np. na tramwajach), zwłaszcza w okresie „czystki” na uczelniach (grudzień 1985) i akcji „Frasyniuk” (maj-czerwiec 1986);
- zorganizował, wspólnie z Młodzieżowym Komitetem Oporu, 2 manifestacje uliczne (kwiecień-maj 1986) oraz msze w rocznicę Marca '68 i katyńską.

We Wrocławiu ukazywały się też inne pisma: *Na indeksie* (NZS Politechniki, kilka numerów), *Gazeta Akademicka* (pismo środowiskowe, Wrocław-Łódź, 4 numery), *AWF* (NZS Akademii Wychowania Fizycznego). Poza Wrocławiem, gdzie organizacja jest najsilniejsza, NZS działa jeszcze w Krakowie (pismo *Przegląd Akademicki*), Warszawie (oświadczenia podpisują NZS-y z trzech uczelni: UW, PW, SGGW-AR, ponadto pismo *Miś* (Międzyuczelniany Informator Studencki), w Szczecinie (pismo *Peryskop*, po pierwszym numerze nastąpiły aresztowania) oraz Łodzi.

A więc czy naprawdę „praktycznie przestał istnieć”?

Ad 2. Natychmiast po zwolnieniach ze stanowisk (koniec listopada 1985), w obliczu krążących informacji o przygotowanych listach z nazwiskami pracowników i studentów, przeznaczonych do wyrzucenia, Zarząd Uniwersytecki NZS zdecydował się ogłosić gotowość strajkową. Miała się ona przerodzić w strajk okupacyjny w momencie zwolnienia jakiegokolwiek pracownika lub studenta. W czasie jej trwania (2 grudnia 1985 - styczeń 1986) NZS przeprowadził dużą kampanię informacyjną, także poza uczelnią, m.in. wydał w 10.000 egzemplarzy „Apel do robotników i społeczeństwa Wrocławia”. W efekcie — mimo że rektorowi Uniwersytetu pokazano w Ministerstwie Nauki, Techniki i Szkolnictwa Wzszego listę „ekstremistów” do natych-

miastowej relegacji lub rozwiązania umowy o pracę — nikogo nie wyrzucono. Nie było to zapewne wyłączną zasługą ostrej reakcji środowiska studenckiego, ale np. na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie protesty (podpisywanie petycji) były nieporównanie słabsze, bardzo szybko zwolniono kilku „niewygodnych” pracowników administracji. Potwierdza to jeszcze raz zasadę: „im większy opór, tym większy zysk społeczny, tym mniejsze straty”.

Sądymy, że stało się tak na skutek niedoinformowania, a nie złej woli autora, którego publicystykę na łamach *Kultury* z przyjemnością czytamy od paru lat.

Z upoważnienia Zarządu Uniwersyteckiego NZS

Aleksander WOŁYŃSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawet pracy opowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.S., RFN; A.L., USA; M.N., Grecja; K.J., Francja; N., Dania: —
Z wierszy nie skorzystamy.

B.S., USA: — Opowiadanie *Przyjaciel młodzieży* jest źle napisane i nieciekawe.

E.C. w Kraju: — Szkolarski i dość jałowy wydaje nam się taki sposób omawiania tomu wierszy (w tym wypadku Zagajewskiego), który za pomocą cytowanych (z komentarzem recenzenta) urywków fraz poetyckich usiłuje „objaśnić” myśli i obrazy poety.

J.S., Francja: — Trudno *Tataraki* nazwać opowiadaniem; raczej okruczeństwami z dzieciństwa, i to błahy.

W.W., Francja: — Lepsza byłaby rzeczowa nota informacyjna o czterech latach działalności księgarni.

Z.E., Szwecja: — Nasza ocena siedmiu opowiadań Pana przyjaciela w Kraju wypadła negatywnie.

K.M., Anglia: — Krótkie opowiadanie musi być oparte na jakimś pomysle; brak go w *Początku*.

K.P., USA: — Pana powieść *Atramentowa anarchia* nie została przez nas zakwalifikowana do wydania.

Cz.B., Glasgow: — Artykułu „Czy istotnie 'Apel w obronie Polaków w Rosji'” nie zamieścimy.

takim decyzjom to zgodzić się na drogę od kryzysu utajonego do otwartego. Uznać chaos za porządek.

Na ideę niepodległości nikt nie ma monopolu: ani rząd ani opozycja. Obie strony muszą jej strzec. Zdawałoby się, że tylko opozycja może zmitologizować niepodległość, oderwać ją od codziennych problemów, które musimy rozwiązywać ponad różnicami postaw i poglądów ale i rząd potrafi usprawiedliwić każdą swoją uległość wobec zewnętrznych nacisków i każde żądanie od społeczeństwa podległości, właśnie argumentem obrony polskiej niepodległości.

Niepodległość może — czasem musi — być cenzurowana. Póki jednak niepodległość jednostki i narodu jest w samej swojej istocie nieuczciwa a nawet karalna, póki dla postawy niepodległościowej nie ma amnestii, wszystkie inne akty prawne tworzą tylko namiastkę społecznej umowy i ugody.

Czy władzy się to podoba czy nie — polskie społeczeństwo zachowało swój pluralizm i nie ono ponosi odpowiedzialność za to, że partia w ciągu kilkudziesięciu lat historii III Rzeczypospolitej nie znalazła dla niej właściwych form politycznych i wciąż woli zastępować autentyczną społeczną samoorganizację jej imitacją. „Polski kształt dialogu”, o którym pisał ks. Józef Tischner, rysuje się wciąż dramatycznie: sukcesy porozumienia mierzymy od dna kryzysów. Paradoksalnie ta sama władza wytyka Kościołowi jego konserwatyzm, kontrreformacyjność. Tymczasem realny socjalizm, młodszy o dziesięć wieków od chrześcijaństwa już nieraz roztoczył nad nami ciemności inkwizycji, polując na przeciwników swojej wiary i niszcząc zakazane książki.

Gdy powstał z ruin zespół sakralny, którego częścią jest siedziba Waszej Eminencji, Prymas Wyszyński upomniał architektów uczestniczących w konkursie-seminarium: nie budujcie form, które z sacrum uczynią profanum. Pisał, że oglądając niejedno dzieło współczesnej architektury ma odczucie, że „te umęczone formy są świadectwem umęczonej duszy”. Trudno będąc architektem nie przypomnieć sobie tych słów w murach Mokotowa, funkcjonalnej czaso-przestrzeni zbudowanej w części jeszcze za caratu. A jeśli nie zamyka mnie ona szczelnie jak chciałaby tego władza, zawdzięczam to ludziom, którzy nie godzą się być tylko funkcjonariuszami systemu. Dzięki nim moje słowa przenikają na zewnątrz. Ci anonimowi niepodlegli chcą być wolni, jak ja, jak my wszyscy, choć przez moment. Dla naszych dusz umęczonych zbyt ciasnymi formami, znakiem wolności staje się chwila obywatelskiego nieposuszeństwa. Właśnie dzięki tym niepodległym po obu stronach muru, będąc sam sobie żeglarzem w mojej głodówce nie czuję się samotny.

Solidarność nieraz wystarcza za program pozytywny, choć okazała się równie wieloznaczna i trudna do wpisania w nasz los jak niepodległość. Braterstwo bliźnich pozwala mi patrzeć w przyszłość, wierzyć w zwycięstwo dobra nad złem. Niech list mój będzie dowodem, że nie koncentruję się na krzywdach i cierpieniach, że mam świadomość moich racji, prawdy i godności o których pisze Wasza Eminencja. Pamięć o tym czym był i czym jest i czym mógłby być nasz kraj nie pozwala mi zejść z pokładu.

„Res sacra miser” — pisze na zakończenie listu Wasza Eminencja. Nikła znajomość języka Kościoła pozwoliła mi tylko złożyć w odpowiedzi słowa starego wyznania wszystkich solidarnych i niepodległych: „Res sacra Polonia”.

Goście dziękuję Waszej Eminencji za troskę i zrozumienie pozostając z głębokim poważaniem,

Czesław BIELECKI

- Dr Jadwiga Maurer, Lawrence, KS (USA) — dla uczczenia pamięci prof. Ludwika Krzyżanowskiego — \$ 50,00 F. 325,00
- Stowarzyszenie Polskiej Kultury w Austrii, Wiedeń — zamiast kwiatów na grób zmarłego w Wiedniu prof. dr. Andrzeja Zięby, prorektora UJ. — przekazuje na fundusz wydawniczy *Kultury* sumy złożone przez: S.P.K. w Wiedniu — F. 400,00; Ośrodek Kulturalno-Sportowy S.P.K. Belgia w Ramsau (Austria) — F. 400,00 oraz ks. Prałata doc. dr. Bonifacego Miązka — F. 400,00; Mariana Gomułkę — F. 300,00; Jadwigę i Andrzeja Balko — F. 300,00; Gertrudę i Bolesława Karwat — F. 300,00; Marię i Jerzego Wandel — F. 300,00 (wszyscy zamieszkali w Wiedniu) — razem: F. 2.500,00
- Norbert Żaba, Stockholm — dla uczczenia pamięci płk. Wacława Makowskiego — Krs 100,00 F. 100,00
- Anonimowo z Paryża, po raz 22-gi F. 200,00

DZIEKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

- Zbigniew Brzeziński, McLean, VA (USA) — \$ 1.000,00 F. 6.500,00
- Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA) — na pomoc dla więźniów politycznych — \$ 100,00 F. 650,00
- E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL F. 200,00
- Jan Jaworski, Bloomington, IN (USA) — \$ 50,00 F. 325,00
- L. L. Kejna, Launceston, Tas. (Australia) — na apel *Kultury* na pomoc dla walczących w Kraju F. 12.050,00
- Józef Kleszczyński, West Hartford, CT (USA) — na fundusz więźniów politycznych w Kraju — \$ 12,00 F. 78,00
- K. S. Marszałek, Londyn — £ 40,00 F. 388,00
- Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ US 100,00 F. 650,00
- Teresa Romer, St. Eustache (Kanada) — na prasę niezależną w Polsce — \$ can. 63,00 F. 300,00
- S. z Waszyngtonu — z okazji 40-lecia *Kultury* — dla walczącego Podziemia — \$ 500,00 F. 3.250,00
- E. C. Skibiński Oberrohrdorf (Szwajcaria) F. 394,17
- Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — Krs 350,00 F. 350,00
- „Sukiennice” w Los Angeles, CA (USA) — na pomoc dla rodzin uwięzionych i prześladowanych w Polsce — \$ 65,00 F. 422,50
- A. A. Świdorski, Ottawa — na pomoc rodzinom uwięzionych — \$ can. 20,00 F. 95,00
- Dr Roman Turowski, Caracas (Wenezuela) — \$ US 26,00 F. 169,00
- W czwartą rocznicę śmierci śp. Jerzego Jana Piorkowskiego zmarłego 1 października 1982 — od Żony i Córk (New York) — \$ 34,00 F. 250,00

Jadwiga Narebska, Los Angeles, CA (USA) — zamiast kwiatów na trumnę śp. Wandy Wawroskiej, zmarłej 24 sierpnia 1986 roku w Los Angeles — na Fundusz Wydawniczy „Solidarności” — \$ 30,00 F. 195,00

SEM z Los Angeles, CA (USA) — dla uczczenia pamięci i zgodnie z życzeniem zmarłej tu 24 sierpnia br. śp. Wandy Wawroskiej — na prasę podziemną „Solidarności” — \$ 15,00 F. 97,50

Adam Rudzki, New York — dla uczczenia pamięci dr. Jana Danka, zmarłego 2 września 1986 — na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego — \$ 100,00 F. 650,00

Wojciech Szczygalski, Zurych — na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego — Fr.szwajc. 30,00 F. 121,00

EUGENIA HELLER

ur. 29 listopada 1922 roku w Stonimie, wykładowca języka rosyjskiego i historii kinematografii rosyjskiej na Uniwersytecie PARIS IV, zmarła w Paryżu 23 września 1986 roku.

Wyrazy szczerego współczucia Mężowi, Synowi, Synowej i Wnuczce

składają

PRZYJACIELE Z „KULTURY”

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1986.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 7948.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Przenumerata	
		1/2-rocznica	roczna
Ceny na rok 1986			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311			
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 8,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 47,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 92,00 DM 150,00 F. 440,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.			
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.			
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego. Tel.: 871-48-47; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Cal. 92104; Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,00	\$ US 35,00	\$ US 68,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przeżyłka pojedynczego numeru — F.6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 418 — ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

POCZĄTEK

Nowa książka autora znakomitej „Mszy za miasto Arras” jest opowieścią w pewnym sensie historyczną. Za „początek” polskiej teraźniejszości Szczypiorski uważa Warszawę pod okupacją hitlerowską w rozlicznych aspektach. Opis losów bohaterów powieści jest historią niektórych korzeni polskiego „dzisiaj”: hitlerowski „początek” rzuca cień na komunistyczny „ciąg dalszy”.

Str. 160.

Cena F. 65,00.



TOM 419 — MAREK NOWAKOWSKI

«GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...»

Piąta książka Marka Nowakowskiego w „Bibliotece Kultury” zawiera opowiadania: AMAZONKA, WIZERUNEK, „GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...”, ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH, ROZMOWA i GLOBUS.

Str. 176.

Cena F. 70,00.



TOM 422 — JACEK TRZNADEL

HANBA DOMOWA

Książka Jacka Trznadla prezentuje czytelnikowi szereg jego rozmów ze znanymi polskimi pisarzami, kiedyś komunistami, którzy starają się opowiedzieć o swoim romansie i zerwaniu z partią. Te rozmowy mają ogromne znaczenie dla zrozumienia procesów, jakie zaszły wśród ludzi pióra w Polsce od powstania PRL do dziś. Trznadel opracował rozmowy z nadzwyczajną skrupulatnością i znawstwem przedmiotu i, co cenne, nie ograniczył się wyłącznie do pisarzy eks-komunistów, ale włączył do książki, tytułem przykładu, rozmowy z pisarzami, którzy przeszli przez komunizm z podniesionym czołem. Ozdobą książki jest rozmowa Trznadla ze Zbigniewem Herbertem.

Str. 320.

Cena F. 120,00.